

BIBLIOTEKA
PW
SP
ZRAKOW

9511

KDN., 15. 10. I. 53, 20.000

Henryk Sienkiewicz
NTY WOJCIECHOWSKI

00576

HENRYK SIENKIEWICZ



KONSTANTY WOJCIECHOWSKI

2876

HENRYK SIENKIEWICZ

(HENRYK SIENKIEWICZ, PROTOPLASTA ZAGŁOBY,
ŻYWIÓŁ SUBJEKTYWNY W TRYLOGJI SIENKIEWICZA,
WOJSKO POLSKIE U SIENKIEWICZA).

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM
STANISŁAWA SOBIŃSKIEGO

00576
L. 125



K S I A Ź N I C A - A T L A S

ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE I WYDAWNICZE

TOW. NAUCZ. SZKOŁ ŚREDN. I WYŻSZ. SP. AKC.

LWÓW — WARSZAWA

1925

431



9511 ✓

~~2876~~
~~Wypożyczalnia ksiąg~~
~~Lwów, ul. Wolności 1 (Bajorego)~~

425

SŁOWO WSTĘPNE.

To drugie, pośmiertne już wydanie książki ś. p. Konstantego Wojciechowskiego o Sienkiewiczu zjawia się w przededniu sprowadzenia do Polski zwłok wielkiego twórcy Trylogji. Z za grobu już odzywa się ten głos hołdu i czci dla tego, który wśród ciemnych mroków niewoli czarodziejstwem swego genjuszu, dla pokrzepienia serc, wskrzeszał przeszłość rycerską, pełną chwały i klęsk, grzechów i świętości.

Wśród huraganu wojny światowej pisał ś. p. Wojciechowski te karty pełne pietyzmu dla wielkiego pisarza. Nie przeczuwał, że na ostatnich stronach przyjdzie mu zanotować żałobną wiadomość o śmierci najlepszego „ambasadora Polski“. Nie było danem twórcy „Krzyżaków“ dożyć tej chwili, kiedy na polach Francji nad Marną legł pokonany przeniewierczy zakon teutoński. Cudownem jednak było zrządzenie Opatrzności, że kiedy autor „Potopu“ do snu wiecznego zamykał powieki zdala od ojczyzny, wśród potopu krwi, co świat zalewała, w krwawej zorzy, w łunie pożarów świecącej nad Polską, zmartwychwstawał żołnierz polski w żywej postaci, jakgdyby wskrzeszony z grobu, ucieleśniony cudem miłości i wiary, przywołany do życia potęgą siły twórczej. Zmarłego, który nieśmiertelnością obdarzył rycerzy swoich i wolontarjuszów.

Pod sam koniec 1916 r. pisał Wojciechowski te słowa o Sienkiewiczu: „żądał od nas wiary, prostej a niezachwianej, nieugiętej jak dogmat, nie rozumującej a wiecznie żywej, wiary w przyszłość, w zmartwychwstanie. Kto takiej wiary nie miał, nie był dla Sienkiewicza Polakiem, jak nie jest chrześcijaninem, kto w Boga nie wierzy“.

Niech mi będzie wolno dać tutaj świadectwo prawdzie, jako towarzyszowi pracy i powiernikowi myśli autora słów powyższych, że on sam zawsze posiadał i w serca młodzieży wszczepiał tę wiarę głęboką i niczem niezachwianą, żywą i nieugiętą wiarę w zmartwychwstanie Polski, mimo, że dookoła tyłu było wątpiących małodusznie...

I niechaj te słowa dobrego nauczyciela, znakomitego wychowawcy młodzieży polskiej w powtórnym, pogrobowem wydaniu książki znów idą w świat, jako wyrazy hołdu i czci dla wielkiego twórcy, niech wyjdą na spotkanie śmiertelnych szczątków Sienkiewicza, wracających na łono Ojczyzny, zarazem zaś niechaj się szerzą jako wyrazy pochrzeptienia, umocnienia we wierze tych wszystkich, którym troska o przyszłość Polski wskrzeszonej zasępia dziś czoło, serca napęlnia niepokojem.

Książka Wojciechowskiego o Sienkiewiczu, wydana w r. 1916 w Bibljotece Macierzy Polskiej, jest opracowaniem „popularnem“ tematu, popularnem w najlepszem tego słowa znaczeniu, przeznaczonem dla szerszych warstw, przede wszystkim zaś dla młodzieży. Pisał ją dobry nauczyciel, gruntowny znawca piśmiennictwa polskiego, zasłużony badacz naukowy, przede wszystkim jednak wybitny wychowawca, pedagog z bożej łaski. Umiął przemawiać do duszy

młodzieży. Posiadał niezwyklej dar jasnego wykładu, ożywiało i przepajał głębokiem umiłowaniem przedmiotu, uczył, jak rzadko kto, ukochania mowy ojczystej, uczył miłować jej piękno i bogactwo, potrafił ze skarbów literatury polskiej wydobywać umiejętnie najcenniejsze wartości dla kształcenia serc i umysłów.

Te wszystkie zalety posiada rozprawa o Sienkiewiczu. „Najlepszą cześć oddajemy poecie, pisarzowi, poznając go. Oby ta książeczka przyczyniła się do zrozumienia dzieł Sienkiewicza, bo takie jest jej zadanie“ — temi słowy zakończył autor cenną swoją pracę. Nauczy ona nie tylko rozumieć dzieła Sienkiewicza, ale także zrozumieć i ocenić olbrzymią rolę, jaką twórczość jego odegrała w życiu narodu polskiego.

Po kapitulacji Paryża w roku 1871 pisał Klaczko: „zimno zrobiło się w Europie“. Jakżeż zimno było w Polsce temu pokoleniu, które zrodzone po klęsce ostatniego powstania i po pogromie Francji pod Sedanem, po trzykroć było „urodzone w niewoli, okute w powiciu“. W polityce świata triumf wszechwładny i siła przed prawem, w Polsce teoria konieczności godzenia się z losem, doktryna trójjloalizmu. W atmosferze nauki szkolnej jeszcze silne blaski romantyzmu, ale na dojrzałą młodzież już oddziaływanie mocne doktryny monizmu materialistycznego. W poglądach na przeszłość z dwóch krańców przeciwnych, odzywały się głosy potępienia Polski szlacheckiej, z zarówno ugodowego obozu zachowawczego, jak i ze stronnictw radykalno-społecznych. Wrażliwsze serca szarpała rozterka, załamywały się sumienia, szamotały się myśli w mocnej sieci pajęczej. Na piersiach legła ciężka, przytłaczająca zhora.

I oto nagle wśród szarpaniny i rozterki, nierzadko martwoty lub smutku i rozpacz — poszum skrzydeł husarskich! Potężny wichur zmuchnął wydmy piaszczyste, zieloną ruń odłonił. W powietrzu wizja rycerskiej przeszłości wielkiej. „Czem była i jest Trylogja dla Polski i Polaków? Jest to pieśń na cześć bohaterstwa, miłości ojczyzny! Jest nowiną dobrą, umocnieniem dla wątpiących... Jest głosem wielkim wołającym: nie wolno wyzbywać się nadziei! niemasz mocy, któraby nas zmoęła!“

W tem tajemnica niespożytej siły Sienkiewicza! I na dzień dzisiejszy płynie z dzieł jego otucha i pokrzepienie.

Niechże ta książka, dziś pogrobowa, pogłębia wśród młodzieży i pokolenia dojrzalego zrozumienie Sienkiewicza i niewygasłą cześć dla Niego.

Duchy obydwóch, wielkiego twórcy, i tego skromnego a tak zasłużonego uczonego i nauczyciela, który uczył poznawać głębiej, kochać i cenić Sienkiewicza, spotkały się już na elizejskich polach, gdzie króluje doskonała Prawda i wiekuista Mądrość.

Do ś. p. Autora tej książki zastosować można te same słowa, które on napisał na ostatniej jej karcie na wiadomość o śmierci Sienkiewicza: „zmoęła go praca nad siły, zmoęła troska o los ojczyzny“. Gdyby żył jeszcze, niewątpliwie ulepszyłby wydanie tej rozprawy o twórcy Trylogji, rozszerzył ją i pogłębił. Uzupełniłby niedomówienia z pierwszego wydania, pisanego jeszcze w ostatnich latach niewoli. Nie danem mu jednak było doczekać chwili sprowadzenia ciała Sienkiewicza do Polski. Niechaj dla pokolenia młodego, dla tych, którzy w rowach strzeleckich, w okopach, rozko-

szowali się lekturą Sienkiewicza, i dla tych najmłodszych, dla których niewola polityczna Ojczyzny, staje się już niemal legendą historyczną, niech ta książka tak skromna w swojej prostocie, a tak cenna, będzie poradnikiem i przyjacielem przy lekturze utworów autora „Łańnika“, kluczem do poznania wielkości Sienkiewicza, zarazem zaś do odczucia serdecznego oraz zrozumienia znaczenia i głębi tego hymnu wspaniałego, jakim wielki pisarz zakończył „Krzyżaków“:

„Więc tobie, wielka, święta przeszłości i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!“

Stanisław Sobliński.

HENRYK SIENKIEWICZ¹⁾.

I.

Pokolenie po roku 1863. — Młodość Sienkiewicza. — Nowele. — Postaci w nowelach, dola ich. — Tło czasu. — Tendencja. — Krzywda ludzka. — Uczucie miłości. — Żywiół rycerski. — Realizm. — Rodzaje wzruszeń. — Humor. — Ironja. — Przedmiotowość. — Obrazy przyrody. — Niewola tatarska. — Zapowiedź „Trylogji“.

Po klęsce roku 63-go wyrastało w Polsce nowe pokolenie. Różne ono było od swych ojców, jak różnemi były warunki, wśród których żyć mu przyszło. Zniknęła na czas długi wiara w skuteczną moc oręża, ale że naród mimo przegranej na polu walki praw do życia wyrzec się nie myślał, usiłowania młodych zwróciły się w innym kierunku. Poczęto nawoływać do pracy. Uwłaszczenie ludu wiejskiego groziło wielu właścicielom większych majątków ruiną, należało więc pomyśleć o lepszej uprawie ziemi, by zwiększyć jej wydajność. Chłop polski, pozostawiony teraz sobie samemu, stawał często wobec nowych spraw i zagadnień (samorząd gminny) bezradny, trzeba było przeto podać mu pomocną rękę, by go ochronić choćby przed wyzyskiem pisarza gminnego. Ale prócz tego leżała odłogiem dziedzina przemysłu i handlu, piekącą była sprawa oświaty szerokich warstw, szkół rzemieślniczych, ochron, mądrego kształcenia kobiet. Młodzi zabrali się do działania na tych wszystkich polach z zapalem najszczerszym. Jedni poczęli się krzątać około

¹⁾ Drukowane w r. 1916 we Lwowie, nakładem „Macierzy Polskiej“.

nauczania, drudzy wstępowali do fabryk, inni wołali w pismach o pracę „od podstaw“. „Precz z marzycielstwem“ — taki głos rozlegał się raz po raz — precz ze skargami, narzeka słaby, silny — buduje.

Do grona „młodych“ należał również Henryk Sienkiewicz (ur. w r. 1846). Miał lat dwadzieścia, kiedy wpisał się do Szkoły Głównej. Słuchanie wykładów, nauka do egzaminów nie przeszkadzały mu, jak i innym, w zajmowaniu się sprawami ogólnymi, które poruszały wówczas umysły. W wydanych w rok po skończeniu uniwersytetu opowiadaniach p. t. „Humoreski z Teki Worszyty“ przedstawił młodego człowieka, szlachcica, Wilka Garbowieckiego, jak krząta się około oświaty, jak pragnąłby nauczyć włościan lepszej uprawy gruntów i rozbudzić wśród sąsiadów przedsiębiorczość przemysłową. Ale „nikt nie jest prorokiem między swymi“ ma Wilk do zwalczania przeszkód zbyt wiele. Otoczenie nie rozumie go, są i tacy, którzy uważają go za człowieka niebezpiecznego. Nie jest to łatwo torować nowe drogi.

Równocześnie drukował Sienkiewicz wiele artykułów w pismach codziennych i tygodniowych i razem z Bolesławem Prusem ośmieszał fałszywą arystokrację, wołał o zakładanie spółek, banków, szkółek, o budowanie dróg, regulowanie rzek, o pracę — od podstaw. Wszelako nie dziennikarski zawód miał się stać właściwem polem młodego pisarza. W Litwosie (tak podpisywał się Sienkiewicz) ukryty był olbrzymi talent poety, o czem świadczyła już zresztą jedna z młodzieńczych jego powieści, kiedy zaś w roku 1875 ukazał się „Stary sługa“, a w rok potem „Hania“, głos najszerszego podziwu rozległ się w całej Polsce. Potem, po podróży do Ameryki, pojawiły się inne nowele, „Szkice węglem“, „Janko muzykant“, „Za chlebem“ i t. d. — a wówczas zrozumieli wszyscy, że trzydziestoletni ledwo autor sięga wprost po berło, które dotychczas dzierżył jeszcze w drżą-

cych dłoniach sędziwy Kraszewski, że przewyższy nie tylko autora „Starej baśni“, ale wszystkich, jacy byli w Polsce kiedykolwiek, autorów powieści. Nie wiedzieli tylko tego jeszcze, że sława Sienkiewicza przekroczy granice Polski, że zachwycać się nim będzie nie tylko cała Europa, ale i cały świat.

Cóż kreślił Sienkiewicz w Nowelach, jakie wprowadzał postaci, jakie myśli poruszał, czem tak czytelnika ujmował, dlaczego nowele te są tak piękne?

Jakie wprowadzał postaci i jaka ich dola? Oto poznajemy „starego sługę“, Mikołaja Suchowolskiego, wiarusa z czasów napoleońskich, niezmiernie przywiązanego do swego pana i całego jego dworu, zdolnego do ujęcia się o cześć pańską (o czem wszelako stary Mikołaj będzie milczał), prawiącego dziwy o swoich wyprawach. Zaczyna ten starzec ma jednak i swe śmieszności: zrzędzi okropnie na wszystkich (dostaje się nieraz i panu), wtrąca się do wszystkiego, rządzi się jak szara gęś, a kiedy pocznie snuć wspomnienia z przeszłości wojennej, zagalopowuje się tak, że aż budzi przerażenie słuchaczy. „Czy się dobrze biłem? — mówi. — Co się nie miałem dobrze bić. Raz pamiętam była wojna... Stoję ja sobie w szeregu, no! w szeregu, mówię, aż tu podjeżdża do mnie naczelny wódz, niby chcę powiedzieć — od strony przeciwnej, i pada: Ej ty, Suchowolski, znam ja ciebie! żebyśmy, pada, ciebie złapali, tobyśmy, pada, i całą wojnę skończyli“.

— A o pułkowniku nie wspomniał? — pyta pan.

— A jakże! przecie wyraźnie mówiłem, że, pada, ciebie z pułkownikiem“.

Taki to jest Mikołaj. Umiera w zgrzybiałym wieku, a jedyną troską starca na łożu śmiertelnem jest wnuczka jego, Hania. Ta Hania, śliczna piętnastoletnia dziewczyna, sierota, to bohaterka następnego opowiadania Sienkiewicza.

Gorzką miała być jej dola. Zakochał się w niej bez pamięci „opiekun“ jej, starszy od niej o rok, syn państwa, Henryk, ale zazdrosny o przyjaciela swego, ślicznego chłopaka (Tatara z rodu), Selima, z dumy z miłością się taił. Henryk bowiem jest dumny, zamknięty w sobie, Selim wesoły, szczery, otwarty, gdzie się zjawi, wnosi radość. Selim i Hania pokochali się, ale że Hani grozi wywiezienie (ojciec Henryka chce go z Hanią rozłączyć), Selim Hanię porywa. Między przyjaciółmi dochodzi do pojedynku — Henryk ciężko ranny. Biedna Hania zaś, odwieziona przez ojca Selima z powrotem, zapada na ospę (panowała właśnie we wsi ta choroba). Śmierć krąży nad łóżem obojga. Ale nie umarło żadno — tylko przecudna Hania powstała z łóża zeszpecona okropnie. Miłość ulatuje, jak ptak spłoszony, z serca Henryka i Selima, obaj czują dla nieszczęśliwej tylko wielką litość. Zbyt jednak są szlachetni, by się cofnąć, obaj gotowi poświęcić się i pojąć sierotę za towarzyszkę życia. Ale Hania ofiary takiej nie przyjmie. Biedna przywdziewa szaty siostry miłosierdzia i poświęci swe młode życie dobru bliźnich.

Dlaczego wzrusza nas tak „Hania“, o tem jeszcze pomówimy.

Nie mniejszego (innego jednak) wzruszenia doznajemy, czytając „Szkice węglem“. To znów straszna opowieść o chłopie Rzepie, jego żonie i pisarzu gminnym, łotrze — nie wiadomo, czy bardziej ohydny, czy bardziej śmiesznym — Zołzikiewiczu. Zołzikiewicz, nieszczęście gminy, upodobał sobie w Rzepowej, ładnej dwudziestoletniej kobiecie, ale zawadza mu jej mąż „chłop rośły jak topola“, mocarz, co to jak „plunie w garście, a chwyci za topór, a machnie, a stęknie, a uderzy: to aż sosna zadrży, a wiór na pół łokcia się od niej oderwie“. Rzepę tedy trzeba by usunąć — ale jak? Jest właśnie pobór. Zołzikiewicz w porozumieniu z wójtem upaja chłopą i daje mu do podpisania nibyto prośbę

o las, a naprawdę umowę, na podstawie której Rzepa zobowiązuje się iść w sałaty za syna wójtowego. Gdy chłopisko wytrzeźwił się, dowiedział i zrozumiał, co uczynił, popadł w rozpacz — w niemniejszą jego żona. Wszystkie sposoby, których chwylała się Rzepowa, by ocalić męża (wstawienictwo u wójta, księdza, u dworu, u naczelnika powiatu) zawiodły — idzie nieszczęśliwa sama do pisarza po papier. Pisarz zyskuje wszystko, czego chciał, ule umowy nie zwraca. A Rzepa, dowiedziawszy się, co go spotkało, szaleje: ucina żonie toporem głowę, podpala dwór, a potem szuka zemsty na pisarzu. Ale pisarz zdołał się schronić.

Tego to pisarza poznajemy nawskróż w całej jego ohydzie i z wszystkimi jego śmiesznościami. Jest to człowiek — tak przynajmniej sam twierdzi o sobie — „z edukacją“ (klasy drugiej nie skończył tylko dzięki niesprawiedliwości profesorów), człowiek to szanujący się, traktujący chłopów z pogardą. Na pozdrowienie „pochwalony“ kiwa tylko wypomadowaną głową — człowiekowi z edukacją nie wypada mówić „na wieki“, zwłaszcza że pan pisarz wie, iż „dusza to para i basta“. Edukowany człowiek jest elegantem, nosi zabójczo żółte spodnie, przedziwne kamizelki, bajeczne krawaty — słowem „cisto paryską“ garderobę, dzieło mistrza Srula, krawca z Osławic. Niedarmo jednak pan Zółzikiewicz stroi się jak rajski ptak, ufa, że przecież zwróci na siebie uwagę panny Jadwigi Skorabiewskiej, córki dziedzica. Gdzie tam! Panna Jadwiga, gdy pan pisarz jest u nich na obiedzie, patrzy na niego „jak na płot, na kota, na talerz“. „Czy ona tego nie rozumie, że to i kosztuje?“ — myśli wtedy z rozpaczą pan Zółzikiewicz, nie traci jednak nadziei, że może przecież kiedyś panna „przydepnie mu nogę pod stołem“.

Co robi jednak pan pisarz na obiedzie u pana Skorabiewskiego? Hm, pan pisarz jest ważną figurą, przed sąd gminny przychodzą czasem i sprawy dworskie, a ławnicy

i wójt słuchają ślepo pana pisarza. Niech no tylko powie „jesteście durnie“, a milkną wszyscy strwożeni, czy nie popełnili czegoś niemądrego. We dworze pan pisarz umie się zachować, opowiada o sobie, o swoich stosunkach, choć wszyscy patrzą wtedy w talerz. Człowiek z edukacją rozumie jednak, że to pewno moda taka. Nie obraża się też, gdy pan Skorabiewski, nie czekając, aż pan pisarz pocznie się żegnać, klepie go w łopatkę i powiada „no, to bywaj zdrów, panie Zołzikiewicz!“ — tak widocznie dzieje się w dobrych towarzystwach. Przy podaniu ręki panu Skorabiewskiemu wygarnia pan Zołzikiewicz z dłoni dziedzica „coś szeleszczącego“, ale jako człowiek dobrze wychowany nie zapomina szepnąć, „a, panie dobrodzieju, między nami to niepotrzebne“. Już to braku zapobiegliwości nikt nie zarzuci panu Zołzikiewiczowi, za każdą sprawę w gminie ściąga od stron „na kancelarję“ i „na nieprzewidziane wydatki“ — oczywiście własne. Co bowiem pan Zołzikiewicz zarządzi, to święte, każdy ma przed nim respekt, ba, wie pan pisarz coś o każdym i potrafi z tego zrobić użytek. Z takim lepiej ostrożnie...

Czy są tacy panowie Zołzikiewiczze? Było ich przed laty sporo, a i dziś jeszcze może się znajdą. Że poczęli znikać, w tem niemało zasługi Sienkiewicza, on to bowiem „Szkiecami węglem“ otworzył wszystkim oczy na ten wrzód, który ropiął na ciele niejednej gminy.

A postaci w innych nowelach?

Poznajemy (w noweli p. t. „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“) jednastoletniego chłopczykę Michasia, dziecko wcale nie bez zdolności, nie mogące sobie jednak dać rady z obcym językiem wykładowym. Michaś zamęcza się tedy nauką (bardzo kocha Mamusię, nie chce jej sprawić przykrości), a usunięty ze szkoły dostaje zapalenia mózgu. Biedne dziecko kona w objęciach zrozpaczonej matki.

W „Janku muzykancie“ główną postacią jest również mały chłopczyka, dziesięcioletni, chorowity, właśnie Janek,

„muzykantem“ zwany przez wieś, bo na jedno tylko jest „łapczywy“ — na granie. „Wiosną uciekał z domu kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na łąkach derkotać, bąki po rosie burczeć, gdy koguty piałły po zapłociach, to on spać nie mógł, tylko słuchał, i Bóg go jeden wie, jakie on i w tem nawet słyszał granie...“ Szczytem marzeń tego dziecka były skrzypki, to też gdy Janek obaczył raz skrzypce lokaja w kredensie, olśniło go. Jak oczarowany począł pełzać ku nim, by się ich choć dotknąć. Posądzono go o chęć kradzieży, a stójkowy z wyroku sądu gminnego wymierzył mu za to tyle rózów, że biedne dziecko trzeciego dnia zmarło. Bóg mu da w niebie prawdziwe skrzypki...

W noweli „Jamioł“ (anioł) sierotkę Marysię, po pogrzebie matki jej, wiezie zimową nocą do sąsiedniej wsi parobek dworski. Kumoszki upewniają sierotę, że lękać się niczego nie potrzebuje, bo nad nią jest „jamioł“. W drodze sianie przewracają się, parobek, który uraczył się przedtem, zasypia, dziecko idzie samo ku wsi drogą leśną. Wreszcie znużenie ogarnia Marysię, usiada. „Przez chwilę myślała, że po białości śniegowej matula idzie ku niej od strony cmentarza. Nikt nie szedł. Dziecko było jednak pewne, że ktoś przyjsć musi. Kto? Anioł. Przecie stara Kulikowa mówiła, że „jamioł“ jest nad nią... Cicho! istotnie ktoś idzie; śnieg, choć miękki, szeleści wyraźnie... Dziecko podnosi z ufnością senne powieki... Co to?!! Szara jakaś trójkątna głowa, o sterczących uszach, przypatruje się dziecku pilnie... straszna, ohydna...“ Nie trzeba domysłności, by w tej trójkątnej głowie poznać wilka...

Chłop Wawrzon Toporek i córka jego, jasnowłosa Marysia, oboje z Poznańskiego, z Lipiniec, to znów dwie główne postaci w noweli „Za chlebem“. Jadą do Ameryki, zwiedzeni przez agenta kompanji przewozowej. Ach, jak zwiedzeni. Nie czeka na nich w Nowym Yorku żaden „komi-

sarz“, mieszczą się w ohydny domu najwstrętniejszej dzielnicy, wydają ostatek grosza, wreszcie dostają się na bruk w nędzy. Dzięki zacnemu Polakowi, zamieszkałemu w Yorku, który się nimi zaopiekował, jadą przy jego pomocy do Arkansas, gdzie — według ogłoszeń — wydziela się bezpłatnie grunt. Niestety znachodzą, wraz z innymi osadnikami, nie grunt, lecz las dziewiczy, który trzeba dopiero korcować. Trud nad siły, w osadzie poczyną się dziać źle, grozi głód, wreszcie nadchodzi powódź, która unosi Wawrzona i Marysię na ścianie domu. Biedny chłopisko, chory już przedtem, zgryziony śmiertelnie, że siebie i córkę wydał na zatracenie, umiera na onej tratwie wśród żółtych, spienionych fal olbrzymiej powodzi. Ale Bóg miłościwy dał mu śmierć pogodną, w obłędzie gorączki zdało mu się, że wraca do ziemi rodzinnej... A Marysia? Marysię uratowała łódź, ale nieszczęsna dziewczyna miała dożyć gorszej doli, niż ojciec. Nie ujrzała nawet w marzeniach przedśmiertnych ni krzyża przydrożnego w Lipińcach, ni kochania swego, Jaśka Koniuchy, którego zostawiła za morzem, zmarła w Yorku w nędzy i w obłędzie.

Również krwawa dola byłego żołnierza, Skawińskiego, co w roku 30-tym dostał krzyż, własną ręką w ataku na bagnety zdobył dwie chorągwie (w noweli „Latarnik“). Na gorzkiej tułaczce zeszło mu życie, aż wreszcie cudem prawdziwym dostał miejsce latarnika w Aspinval, w Ameryce — w Panamie. Zamieszkał w wieży nadmorskiej, w dzień dawał znaki okrętom wywieszaniem chorągwi, w wieczór zapalał światło. Dobrze mu było teraz — znalazł spokój. „Czuł coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejs niedostępnej skale lub pieczarze“. Ale poczta przyniosła mu książki polskie — Pana Tadeusza... „Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy... Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem... Tak nas powrócisz cudem na ojczyznę łono...“ Zaczytał się starzec,

a potem rozmarzył... „Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: pamiętasz? On pamiętał a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski...” Ba, nietylko widzi, ale i słyszy! Oto głosy skrzypiec i basetli i okrzyki: u-ha! u-ha! toć to ułani podkówkami ognia krzeszą...” A tam pieją kury, a w oddali skrzypią studnie...” Ot nieszczęście, zaspał starzec, zapomniał zapalić latarnię, łódź rozbiła się na mieliźnie, musi iść precz... I idzie na nową tułaczkę, przyciskając do piersi książkę, co mu mówi o onych pagórkach leśnych i łąkach zielonych — tam, w kraju...

A któż nie zna Bartka zwycięzcy, onego Bartka z Pogńębina, co to pod Gravelotte „szalał jak burza“, co to „osmalony dymem, oblany krwią, nie pamiętny na nic, każdym uderzeniem przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwalał głowy“? I któż nie pamięta późniejszych jego dziejów i jego wędrówki do miasta z szlochającą żoną i dzieckiem, za służbą, gdy Just zajął jego chatę i dobytek?

Ale chłop polski u Sienkiewicza nie zawsze jest tak niedołążny, jak Wawrzon i Bartek, a o Mazurach mówi autor w „Za chlebem“: „Mazur, gdy czuje sękacza w łapie, a zwłaszcza jeszcze, gdy ma po Mazurze z każdego boku i Mazura za sobą, niebardzo komu ustąpi, a temu, coby mu nadto w drogę lał gotów krzyknąć: dyćwa nie ciarachy, nie targajta, bo zgniema, aż będzieta chramać!“ Naogół przecież owej tężyzny chłopskiej niewiele widzimy w pierwszych opowiadaniach Sienkiewicza.

W jakich czasach dzieje się to, co autor kreśli w nowelach? Chwile to współczesne młodości Sienkiewicza, albo bezpośrednio przed rokiem 63-cim, albo tuż po owej burzy. Tchnienie nieszczęśliwej wojny unosi się ponad utworami, wypadki łączą się z krwawym rokiem pośrednio lub bezpośrednio. W zakończeniu „Starego sługi“ czytamy: „Upłynęło od tego czasu lat kilkanaście. Na mogile pocziwego sługi

porosły bujne wrzosa cmentarne. *Nadeszły smutne czasy. Burza rozniósła święte i ciche ognisko mojej wioski...* a Hania... Hej! tzy się kręca". Wypadki w „Szkicach węglem“ wyprzedzają „burzliwe czasy“. Stąd to pochodzi, że pan Zółkiewicz wie coś takiego o każdym, co, gdyby wyszło na jaw, mogłoby popchnąć niejednego w nieszczęście. „Na Rzepę pisarz też wiedział jakieś sprawy. Kazali Rzepie *wozić w czasie zawieruchy jakieś papiery*, to i woził. A jemu to co? Zresztą on wtedy miał piętnaście lat i jeszcze za gęsiami a świńmi chodził. Ale potem pomyślał, że jednakże za ono wożenie papierów może być odpowiedzialność, więc się pisarza bał...“ A w noweli „Z pamiętników poznańskiego nauczyciela?“ „Rodzina Michasia — czytamy — była kiedyś bardzo zamożna, ale — za dużo kochali... więc *rozmaite burze rozchwiały fortunę...*“ Zresztą ów chłop w nowelach Sienkiewicza, przeważnie ciemny, niezaradny, wyprowadzany w pole przez pisarzy gminnych i obcych agentów, to chłop z siódmego dziesiątka ubiegłego stulecia. A wreszcie tendencja pism naszego autora z tej doby, to tendencja wpływająca z położenia społeczeństwa, przedewszystkiem zaś ludu, po roku 63-cim. Bo pisma Sienkiewicza, te właśnie, o których mówimy, są — niektóre przynajmniej — tendencyjne.

Najwyraźniej się to uwydatnia w „Szkicach węglem“. Autor pokazuje nam sąd gminny taki właśnie, jaki istnieć nie powinien, wójta takiego, jakim wójt być nie powinien, a dalej stosunek chłopą do gminy, księdza, wójta... Jakież to stosunek? Gmina nie dba o słuszne interesy jednostki, bo tam rządzi pisarz, zresztą ludzie ci nie dorośli jeszcze do rządów, ksiądz każe Rzepowej ofiarować cierpienia swe Bogu, dziedzic zaś oświadcza, że do spraw gminnych z zasady się nie miesza. Jakiego tego następstwa, wiemy.

Ale z tendencją spotkamy się i w innych utworach. Biedny „Janko muzykant“ mógł być sławnym skrzypkiem,

wielkim artystą, w dziecku bowiem mieszkał duch Boży, nikt się nim jednak nie zajął, nikt nie zwrócił na niego uwagi. W dzień po jego śmierci powrócili państwo do dworu z Włoch, wraz z panną i kawalerem, co się o nią starał. Kawaler mówił: Go za piękny kraj te Włochy? A panna: I co to za lud artystów! Szczęśliwym się jest, gdy się tam wyszukuje talenty i gdy się je popiera... Nad Jankiem szumiały brzozy... To wymowne. Czyż autor nie woła i w „Szki-cach węglem“ i w „Janku muzykancie“: zajmijcie się ludem, nie usuwajcie się od niego, nie dozwólcie Zółzikiewiczom, by zdzierali i ogłupiali chłopą polskiego, nie dopuść-cie, by nad Jankami szumiały przedwcześnie brzozy!

A dlaczegoż to Wawrzon Topór sprzedaje gospodarstwo dostatnie i płynie do Ameryki po śmierć własną i córki? Przez proces. Procesował się z sąsiadem o szkodę w koni-czynie, o trzy ruble — sprawa się wlokła, koszty procesu rosły, Wawrzon przegrał, a za opór sądowi poszedł do are-sztu. A tu właśnie żniwa wypadły, zboże porosło, plon prze-padł, na przednowku — biadał Wawrzon — „chyba ziemię będą gryźli oboje z dziewczyną“. Więc gdy się zjawił agent z obietnicami, chłopisko, rozsierdzone już, dało się skusić. A jemu tu poco zostawać? ma-li się na zatracenie podać? Podał się na zatracenie, ale przez proces niemądry, ale dla-tego, że usłuchał obcego przybłądy, że nie został. A obo-wiązkiem zostać, ziemi strzec, zagona jednego nie utracić. Bo choćby i doszło się do państwa w Ameryce, cóż stąd? co będzie z dziećmi? czy nie zapomną mowy ojczystej? Ów pocziwy panisko, który zaopiekował się Wawrzonem w No-wym Yorku, kiedy sobie począł przypominać strony ro-dzinne, co chwila ukradkiem ocierał oczy — tak kochał swoją ziemię — ale jego syn, choć go ojciec po polsku na-uczył, mówi już tylko po angielsku, a wnuk z pewnością i nie zrozumie już nawet polskiej mowy. Ot liście oderwane z drzew! Posłużą za nawóz obcym polom...

Znajdziemy tendencję i w „Jamiole“ — w uwagach o propinacji, tendencja narodowa przenika „Pamiętniki poznajńskiego nauczyciela“ i „Bartka zwycięzcę“. W innych nowelach tendencji brak, ale wszystkie niemal jednocześnie pewnego rodzaju wspólność tematu — wszystkie bowiem prawie mają za przedmiot przedstawienie krzywdy ludzkiej, najczęściej niezastużonej.

— Krzywdy ludzkiej. Straszna krzywda dzieje się Hani. Zaopiekować się miał nią Henryk (przysięgł to umierającemu Mikołajowi) i pięknie się zaopiekował! A Selim, nie myśląc, że zniestawia sierotę, porywa ją, jak Tatar prawdziwy, i wiezie do ojcowskiego domu. „Mieliśmy — powiada Henryk w chwili, gdy sumienie do niego przemówiło — za szorstkie ręce i zmieliśmy ten delikatny kwiat, rzucony pomiędzy nas losem... Hania, ta łagodna, bezbronna istota, była między nami tem, czem gołąbka w gnieździe drapieżnych ptaków...“ A jakiejże strasznej krzywdy doznaje Rzepa i nieszczęsna jego żona przez złość, niegodziwość i podłość ludzką, jakiej krzywdy Janko muzykant — przez ludzką głupotę, jakiej krzywdy Marysia, córka Wawrzona, z winy ojca, jakiej krzywdy zwycięzca z pod Gravelotte, Bartek, lub najnieszczęśliwszy z wszystkich, Michaś. To też przy czytaniu tych nowel smutek ogarnia czytelnika, wrażliwszy ociera łzę. Kto jednak umie wnioskować, powie sobie, że autor, który w młodości już wyłącznie prawie niedolę ludzką malował, musiał się tą niedolą szczególnie wzruszać, że musi to być człowiek niezmiernie zacny, o sercu wyjątkowo dobrem, czułem. I wniosek taki będzie słuszny.

Niedola ludzka wzruszała Sienkiewicza, a w szczególności niedola ludu. Z ludu bo pochodzą prawie wszyscy jego bohaterowie: Rzepa i jego żona, Wawrzon i córka jego Marysia, Janko, sierotka Marysia w „Jamiole“, Bartek i Magda.

A jak odczuwał gorzką dolę sierocą, jak umiał ją kreślić! Przypomnijmyż sobie znów Hanię, Janka, Marysię, Michasia, Jenny (z noweli „Orso“)... Liłość dla biednych, złym losem ściganych dzieci — to rys wspólny u Sienkiewicza i u drugiego wielkiego pisarza, wspomnianego już Prusa.

Ale Sienkiewicz nietylko niedolę ludzką w tych pierwszych nowelach swoich malował, uderzał on i w inne struny, które też stale potem i coraz rozgłośniej miały brzmieć w jego twórczości.

Z przedziwną siłą, z niezmierną prawdą, w przepiękny sposób kreślił uczucie miłości. Jego bohaterowie umieją kochać i ubóstwiać — kochają na śmierć. „Kochałem Hanię — mówi Henryk — całą mocą młodej duszy, ubóstwiałem ją; kochałem ją tak, jak w niebie tylko kochają; kochałem jej postać, kochałem jej oczy, każdy promień włosów, dźwięk mowy; kochałem każdą jej sukienkę, powietrze, którem oddychała, a miłość ta przenikała mnie nawskróś i była nietylko w sercu, ale w całej mojej istocie: żyłem tylko w niej i przez nią, płynęła we mnie, jak krew, biła odemnie, jak ciepło. Dla innych może istnieje coś obok miłości, dla mnie cały świat istniał w niej, nie poza nią. Czułem, że płonę, jakby rozpalona pochodnia, i że trawi mnie ten płomień, i że ginę, i że umieram. Czem była ta miłość? Wielkim głosem, wielkiem wołaniem duszy na drugą duszę: Moja ubóstwiona, moja święta, moja kochana, usłysz mnie!“ A niemniej potężnem uczuciem miłości spotykamy się w noweli „Przez stepy“ i równie silny wyraz znajduje tam to uczucie. Inaczej w noweli „Orso“. Tam siłacz cyrkowy Orso kocha również bardzo małą Jenny, ale wyrazić słowami tej miłości nie umie, zachwyt swój objawia... mrużeniem. Opowiada towarzyszcze swej niedoli, jak to on ją oswobodzi, jak uciekną razem na pustynię, gdzie jest pełno dębów i zawsze ciepło. A pies i kot pójdą z nami? — pyta

Jenny. Pójdą — odpowiada Orso i mruczy z radości. Weźmiemy z sobą i „dobrą książkę“! (pismo święte). Weźmiemy — mówi Orso i mruczy jeszcze głośniejsze. Dobrze — szczebiocze dziewczynka — kot będzie łapał ptaszki, a pies będzie szczekał..., ty będziesz mężem, ja twoją żoną. Orso taki już uszczęśliwiony, że *nie może nawet mruczeć*. Tak będzie i później u Sienkiewicza. Jedni z jego bohaterów, kochając namiętnie, potrafią uczucia swe wypowiadać, drudzy będą, nie mruczeć już wprawdzie, ale bez słów, po cichu wdychać. Tak bo jest i w życiu.

Dla miłości kobiety umie Sienkiewicz znaleźć w nowelach silny wyraz i dla miłości ziemi ojczystej. Jakże niezmiernie tęsknią po niej wychodźcy w Ameryce, jak tęsknią — na statku już — Wawrzon i Marysia. „Uczuli oboje, że choć ich tam wiatr niesie jako liście marne, przecie drzewo ich rodzinne to nie ta strona, w którą jechali, ale tamta, z której odjechali: polska ziemia, ona zbożna, jednym łanem się kołysząca, borem zarośnięta, słomianymi strzechami upstrzona, pełna łąk od kaczęćców złotych i wodą świecących, pełna bocianów, jaskółek, krzyżów przydrożnych, białych dworów wśród lip; ona... co słowami „Pochwalony“ wita, a „Na wieki wieków“ odpowiada, ona wielmożna, ona matka najśłodsza, taka pocziwa, ukochana nad wszystkie inne w świecie...“ Czy kto, prócz Skargi i Mickiewicza, umiał silniej i piękniej wyrazić miłość ziemi rodzinnej? Z tęsknoty za opuszczoną Polską dusza chłopska Wawrzona „rwie się i wije z męki“, a gdy w osadzie w Arkansas wśród gromadki Mazurów, znękanych złą dolą, wszczęła się niezgoda, właśnie ustawały, „gdy wieczorami grajek poczynął wygrywać nie do tańca, ale rozmaite pieśni, które każdy słyszał dawno, jeszcze pod słomianymi strzechami. Rozmowy wtedy cichły. Chłopi otaczali grajka wielkiem kołem, szum boru wtórował mu, płomień w ogniskach sykał i strzelał skrami, oni zaś, stojąc, spuszczała chmurnie głowy i dusze

z nich ulatywały za morze. Nieraz księżyc wytoczył się wysoko nad las, a oni jeszcze słuchali...“ A cóż mówić o uczuciach „latarnika“, o tej nawałnicy wspomnień, które opadły go, gdy przeczytał o Pannie Świętej, co jasnej broni Częstochowy, gdy „wezbrana fala przerwała tamę jego woli“ i starzec „ryknął i rzucił się na ziemię“, a „jego mleczone włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim“. „Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem....“

Tak, wobec tej miłości wszystko jest niczem.

Kto uważnie przeczytał nowele, ten, choć Sienkiewicz rycerską przeszłością narodu w nich się nie zajmował, łatwo mógł poznać, że nie brakłoby mu sił, gdyby rycerskie czyny i dzieje chciał kreślić. Ileżbo animuszu, fantazji jest w Henryku (w „Hani“), ile w Selimie, co za wspaniały obraz pojedynku rozciąga się przed nami, kiedy to Selimowi rumieniec oblał twarz, „nozdrza się rozdęły, oczy wyciągnęły na skos po tatarsku i poczęły ciskać błyskawice“. „Przez chwilę — opowiada Henryk — słyszać tylko było warczenie kling, suchy dźwięk stali i świszczący oddech naszych piersi“. Słyszymy i my tę muzykę pojedynku dzięki temu, że Sienkiewicz nagromadził tu dźwięki, jakie wydaje stal i umęczona pierś; warczenie kling, suchy dźwięk stali, świszczący oddech naszych piersi (rcz, kl, s, dżw, st, św, szcz, sz, ś). Słyszymy i widzimy, co się przed oczyma naszymi dzieje: „Selim przyskakiwał do mnie i odskakiwał, jak ranny tygrys. Koniec jego szabli wił się ze straszną szybkością ognistego piorunu koło mojej głowy, ramion i piersi... Chwilami docieraliśmy do siebie tak blisko, że pierś prawie uderzała o pierś...“ i t. d. A w Bartku zwy-

ciężcy atak poznańskich pułków pod Gravelotte! Pada komenda: do ataku broń! hurra! naprzód! „Grzebień bagnatów pochyła się nagle, szereg wyciąga się w długą linię i rzuca się ku wzgórzom szukać bagnetem tych nieprzyjaciół, których nie mogły dostrzec oczy. Wszelako od stóp wzgórza dzieli naszych chłopów jeszcze ze dwieście kroków i przestrzeń tę muszą przebyć pod morderczym ogniem... Czy nie wyginą do reszty? czy się nie cofną? Wyginąć mogą, ale się nie cofną, bo komenda... wie, na jaką nutę grać tym polskim chłopom do ataku. Wśród ryku dział, wśród karabinowego ognia, dymu i zamieszania i jęków, głośniejszym nad wszystkie trąby i trąbki bije w niebo hymnem, od którego każda kropla krwi skacze w ich pierśsiach. „Hurra!“ odpowiadają Maćki. „Póki my żyjemy!“ Ogarnia ich zapał, płomień bije im na twarze. Idą jak burza przez zwalone ciała ludzkie, końskie, przez złomy armatnie. Gina, ale idą z krzykiem i śpiewem. Już dobiegają krańca winnic, nikną w zaroślach. Śpiew tylko brzmi, czasem błysnie bagnet. Na górze wre ogień coraz straszniejszy. Na dole trąbki wciąż grają. Salwy francuskich wystrzałów stają się śpieszniejsze, jeszcze śpieszniejsze, gorączkowe i nagle... Nagle milkną...“ i t. d. Obraz to ataku, oglądany zdaleka, bez szczegółów, których oko z dali nie chwyta — widok jeno grzbietu bagnatów, wyciągniętej linii szeregu, pędu niepohamowanego... Ale co autor nakreślił w perspektywie, wyobraźnia nasza widzi istotnie, widzi masę rwącą naprzód, widzi, jak ta masa trątuje ciała ludzkie, pogruchotaną broń... Są jednak w opisie tej bitwy i obrazy oglądane zbliższe — to czyny Bartka „wściekłego, zziąjanego, chwytającego w otwarte usta powietrze“. Wielki talent batalisty zaznaczył się już w oddaniu owych zapasów.

Ale Sienkiewicz umiał już w nowelach odtworzyć nie tylko to, co oko widzi a ucho słyszy, przeciwnie, złożył dowód (w „Hani“), że potrafi śledzić to również, co się

dzieje we wnętrzu duszy ludzkiej, uczucia analizować. Z taką analizą uczuć spotykamy się w uwagach Henryka, które on czyni o sobie samym. Ma się Henryk ciągle na baczności i stale zdaje sobie sprawę z wrażeń swych, uczuć i postępków (jako wyniku uczuć). Pod tym względem jest bohater „Hani” poprzednikiem i zapowiedzią bohatera jednej z późniejszych powieści Sienkiewicza („Bez dogmatu”).

Wszystko, co autor malował, starał się malować z realizmem, pragnął pokazać nam ludzi takimi, jakimi są istotnie, bez upiększenia. Chłop polski, choć Sienkiewicz go kocha, choć o jego dolę lepszą walczy, nie jest w przedstawieniu autora wolny od wad, jest ciemny, często niezadowolony (myśleć i działać za niego musi jego żona — Rzepowa, Magda), upija się (Rzepa, parobek w „Jamiolach”), nie ma zmysłu społecznego (wójt w „Szkicach węglem”). Autorowi bowiem chodzi o wierność malowidła, i z tego powodu stara się nawet oddać język, sposób mówienia każdej postaci, z wszystkimi właściwościami, czasem śmiesznościami.

Sąd gminny we wsi Barania-Głowa (w „Szkicach węglem”) rozpatrywa sprawę Wacha Rechni i Baški Żabianki. Basia była zazdrosna o Wacha, przyszło do kłótni, zakończonych bójką, za co osadzono ich tymczasowo — aż do wyroku — w kozie. Sąd przestuchuje ich. Naprzód mówi Wach Rechnio: „*Jelemożny sądzie! A to ta psia jucha już dawno spokoju mi nie daje. Przyszedłem, jak kto dobry na podwieczerek, a ona do mnie: Ty psie kasztanie, powiada, to gospodarz jeszcze w polu, a ty, pada, przychodzisz już do domu? Za piecem, pada, się układziesz i będziesz na mnie mrugał? A ja ta nigdy na nią nie mrugałem, ino co mnie widziała z Jagną ze dwora, com jej pomógł wiader ze studni wyciągać, to od tego czasu na mnie zła. Huknęła mi misą o stół, mało mi strawa nie wyleciała, a potem i pożreć nie*

dała, tylko tak mi wymyślała: Ty pogański synu, pada, ty odmieńcze, ty *omętro*, ty sufraganiel Dopiero, jak mi powiedziała „sufraganie“, tak ja ją w pysk, ale *ino tak*, przez złości, a ona mnie *warząchwą* w łeb...“ A na to Basia Żabianka przez płacz: „*Jelemożny* sądzie! O ja nieszczęśliwa sierota, o dla Boga *rety!* Nie przy studni ja jego z Jagną widziałam, żeby ich *ośnęło!*... Nie warząchwiały jego po łbie, oj! doloż moja! *ino* kłonicą. Słońce jeszcze wysoko, a on już z pola schodzi i *żreć* woła. Mówię mu, *jak komu* *dobremu grzecznie*: Ty *złodziejski portrecie*, to gospodarz jeszcze w polu, a ty już do dom? Ale „sufraganiel“ mu nie mówiłam, tak mi Boże dopomóż. A żeby jego...“ Na co wójt: „*Nie stulisz-że ty mordy, utrapiona?*“ Stary Mikołaj Suchowolski mówi swoim językiem, swoim Selim, swoim pan Ustrzycki (w „Hani“: „A, farsa, mości dobrodzieju! jak się nazywa? co?), swoim też przemawia ksiądz dziekan i leśniczy Wach (tamże), zacny pan w Nowym Yorku („Za chlebem“), Orso i Jenny, słowem każda z osób. Dzięki temu postaci w nowelach lepiej poznajemy, bo już zewnątrz (sposobem mówienia właśnie) odróżniają się od siebie.

Zapytajmy, czem nas Sienkiewicz w nowelach szczególnie wzrusza? Daliśmy już na to w części odpowiedź: niedolą, krzywdą ludzką. Na czym jednak polega ta niedola? Na nieszczęśliwej miłości („Hania“), na tułaczce i tęsknocie („Za chlebem“, „Latarnik“), na prześladowaniu przez system i ludzi („Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“, „Bartek zwycięzca“, „Szkice węglem“), na bezbronności doli sierocej („Janko muzykant“, „Jamioł“). Ale w tych wszystkich wypadkach i położeniach punktem szczytowym wzruszenia jest śmierć. Na czytelnika działa głęboko cierpienie osób bliskich, śmierć istoty ukochanej opłakujących, to cierpienie bowiem przedstawia autor z ogromną prostotą a wielką siłą.

Henryk nie umarł, ale śmierć krążyła już nad jego głową: „Raz wieczorem poczęłem widocznie konać. Postawiono koło mego łóżka wielką żółtą świecę, potem ujrzałem księdza *Ludwika*, ubranego w komżę. Dawał mi Sakrament, następnie kładł na mnie Oleje święte, a przytem szlochał tak, że mało od przytomności nie odszedł. *Matkę* wyniesiono zemdloną z pokoju; *Kazio* wył płaczem pod ścianą i targał się za włosy; *ojciec* siedział z załamanemi rękoma, zupełnie jakby kamienny. Widziałem to wszystko doskonale, ale byłem zupełnie obojętny... Następnie do pokoju wszystkiemi drzwiami poczęła się cisnąć *służba*: krzyki, łkania i wycie, któremu przewodził *Kazio*, napępniały cały pokój, tylko *ojciec* po dawnemu siedział kamienny; ale wreszcie, gdy klękli wszyscy, a ksiądz począł mówić litanję i uciał, bo nie mógł od łez, ojciec porwał się nagle i ryknąwszy: o Jezu! Jezu! rzucił się jak długi na podłogę...”

Równie serdecznie wzrusza nas śmierć *Janka*, także głównie z powodu współczucia z bólem matki, która, dusząc łzy, pociesza umierające dziecko, aż wreszcie, padając twarzą na skrzynię, poczyną ryczeć „jakby straciła rozum, albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania”.

Straszną jest śmierć przerażonej *Rzepowej*, bolesna — *Wawrzona*, okrutna — *Marysi* (z „*Za chlebem*“) i *Marysi sierotki*, do głębi przejmująca śmierć *Liljan* („*Przez stępy*“), a trudno nam powstrzymać łzy przy konaniu *Michasia*, gdy nieszczęsne to dziecko, usunięte ze szkoły, w gorączce, powtarza spieczonemi ustami słowa ministrantury: *Deus meus, quare me repulisti et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus!* a matka jego, gdy dusza opuściła już biedne ciało, nie mogąc uwierzyć w okropną prawdę, woła na dziecko swe ze strasznym akcentem: *Michasiu! Michasiu!*

Kilkakrotnie jednak wzrusza nas autor potężnie, nawet i w tych samych nowelach, gdzie ostatecznem rozwiązaniem

tragedji będzie śmierć, nie obrazem i widokiem chwil ostatnich, lecz czem innym: uniesieniem miłosnem dwojga kochających się („Przez stepy“), rozbudzonem, namiętnem uczuciem miłości ojczyzny w duszy wygnańca („Latarnik“), brawurowym atakiem polskich chłopów z bagnietem w rękę („Bartek zwycięzca“), gorącą wiarą duszy prostej a nie szczęśliwej, jak Rzepowej, gdy z bólem swym poszła do kościoła: „Pieśń brzmiała, aż się szyby zatrzęśły, zahuczał organ, zabrzęczały dzwony i dzwonki... Wśród tego gwaru, dymów, promieni, głosów, błyskał tylko czasem Przenajświętszy Sakrament..., jak jakieś zjawisko niebieskie, napół mgłą dymów przesłonięte a promienne, od którego biła błogość i otucha... Owa to błogość i uspokojenie wielkie wzięły pod skrzydła Boże i strapioną duszę Rzepowej: Jezusie, w Przenajświętszym Sakramencie utajony! Jezusie! — wołała nieszczęśliwa kobieta — nie opuszczajże mnie niebogi! I z oczu płynęły jej łzy... duże, jak katakuckie perły... Padła przed Majestatem Bożym twarzą na podłogę, a potem to już i sama nie wiedziała, co się z nią stało. Zdawało się jej, że anieli niebiescy podjęli ją z ziemi, jako liść marny, aż do nieba, w wiekuistą szczęśliwość...”

Z wspomnianemi środkami wzruszenia spotkamy się także w późniejszej twórczości Sienkiewicza.

Opowiada autor częstokroć z humorem, niby się uśmiecha, ale uśmiech to przez łzy (w „Starym słudze“, w „Hani“, w „Orso“, w „Sachem“...). Postaci humorystycznych, więc takich, które bawią a przecież rozrzewniają nas równocześnie, wprowadza nie wiele. Tego rodzaju postaciami są stary Mikołaj Suchowolski, ksiądz Ludwik, młody akademik w „Hani“, kumoszki w „Jamiolę“... Znakomity zwłaszcza jest ów młody akademik, przekonany, „że do rządzenia światem i do wywierania potężnego na całą ludzkość wpływu człowiek najzdolniejszym jest między ośmnastym a dwudziestym trzecim rokiem życia, później bowiem staje się zwolna

idjotą czyli konserwatystą“. Akademik ów żyje z lekcyj, chodzi w dziurawych butach, pali dużo papierosów i zapewnia, że nie jest sentymentalny, choć zaraz potem wzrusza się (ukrywając to) przy pożegnaniu swych uczniów. Scen humorystycznych również nie spotkamy wiele, najwięcej w „Starym słudze“, jak np. gdy Mikołaj uczy maszerować Henryka i młodszego jego brata, a razem z chłopcami kroczy, podwijając sutannę, i nauczyciel ich, ksiądz Ludwik. Mikołaj jednego księdza boi się i szanuje, a jednak nie może się powstrzymać od mruczenia: ej! kiedy to jegomość akurat tak maszeruje, jak stara krowa. Humorystyczna jest scena w „Jamiole“, kiedy to nad sierotą biadają kumoszki: Kulikowa i Kapuścińska i ciągle piją na ten żal po półkwatku, częstując równocześnie Marysię: napij się, boś sierota. Nie zaznasz dobroci. I popijają znów, katarynka gra oberka, aż Kapuścińska przypomina sobie śmierć swego męża i poczyną lamentować: „Jak umirol — mówi — to ci tak wzdychoł, tak wzdychoł, tak wzdychoł...“, wkońcu wpada w takt oberka i poczyną śpiewać:

Wzdychoł, wzdychoł, wzdychoł,
Oj ta -dana — wzdychoł...

a Kulikowa znów do Marysi: „Pamiętaj, sierotko, że jamioł je nad tobą“. A po chwili popiwszy: „Ty głupia, wiesz kto je nad tobą? — Jamioł — odrzekło cienkim głosem dziecko. — Sieroteńko-że ty, jagódko ty, robaczku ty Boży! Jamioł ze skrzydłami — mówiła w zupełnem już rozczuleniu Kulikowa i, porwawszy dziewczynkę, poczęła ją przyciskać do swej pocziwej, choć pijackiej piersi...“

Pijaczka, ale pocziwa. Wogóle ludzi złych nie spotykamy niemal w nowelach Sienkiewicza, są obojętni, są głupi (tych sporo), w złości ludzkiej cierpienie ma rzadko swe źródło. Gdy zaś Sienkiewicz wprowadza jednostkę złą, nie przedstawia jej z humorem, lecz z ironją, na pozór

chwali ją, zachwycą się nią, czasem wyraża się o niej z podziwem. Pana Zolzikiewicza nazywa młodzieńcem „pełnym nadziei“, zapewnia, że pan pisarz miał edukację, o czym wiedzieli zresztą „wszyscy“, „a wątpić mogli chyba ludzie złośliwi i wogóle źle myślący, którym każda osobistość, wyrastającą głową nad zwykły poziom, zaraz solą w oku siedzi, i spać spokojnie nie daje“. Autor biada, że „znakomity“ ten człowiek nie doczekał się dotychczas życiorysu, nazywa go zawsze „sympatycznym swym bohaterem“, człowiekiem „pełnym taktu“, „genjalnym“, „naturą bogatą“ o „arystokratycznym usposobieniu“. Wogóle w „Szkicach węglem“ mówi autor wiele od siebie (zawsze w tonie ironicznym), rozmawia z czytelnikiem, zwierza mu tajemnice („Mamże wyznać, że pan Zolzikiewicz był w ciągłych długach u Srula, krawca z Osłowic“), gawędzi z nim. W innych nowelach jest przedmiotowy, z uczuciami swemi się kryje, rzadko odezwie się od siebie (jak w „Janku muzykancie“, kiedy wzruszywszy czytelnika obrazem śmierci dziecka, kończy: „Pokój ci, Janku!“ lub w „Jamiolę“, gdy opisując drogę sieroty przez głuchy bór, mówi: „Dobry, pocziwy las! Te krople, które opuszcza topniejąca złódź, to może łyzy nad sierotą. Drzewa takie wielkie, a takie liśno nad maleństwem... Oto samo jedno, takie słabe, biedne...“).

Przedmiotowym też jest Sienkiewicz w kreśleniu obrazów przyrody, a jest w nich mistrzem niemalym. Wielka prawda i wielka prostota — oto najwyższa ich zaleta. Autor wybornie rozróżnia barwy, odcienie barw, cudnie maluje plamy świetlne, widać, że kocha naturę niezmiernie, że ją odczuwa. Kto chce poznać mistrzostwo Sienkiewicza, niech odczyta „Sielankę“. Oto chata gajowego. „Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie, smukłe, a pokryte kwieciem, *jakby rojem motylów*; między słonecznikami patrzyły się *czzerwone główki maku*, około malw okręcał się groch o kwieciu *różanym i lila*, w dole rósł barwinek, *żółty krokosz*,

złote nogietki i astry *blade*, bo przygłuszone i *siwemi* liśćmi słończników i malw od słońca zakryte... Około polanki, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwi leśnej... Sosny przeglądały się z wysokich, piaszczystych brzegów w jeziorze, niby w zwierciadle, więc zdało się, *drugi las jest w toni*... Pomiędzy łąkami zbóż, we wklęsłych dolinach, *zieleniły się ciemną* runią łąki; tu i ówdzie, gdzie w murawie dyszało źródło, tam i *zieloność* była *jaśniejsza*, a cała łąka, pokryta *żółtymi* kwiatami kaczęńca, biła o ludzkie oczy nadmiarem złotego blasku. Na mokradłach *ciemniały* olchy, od których wiało chłodem i wilgocią...“ Ileż tu barw, ile ich odcieni, ile blasków.

Czasem obrazy przyrody mówią nam o tem, co się dzieje w duszy bohatera: tak burza morska jednoczy się z srogą troską w duszy Wawrzona, tak po porwaniu Hani wre burza równocześnie w przestworzu i w sercu Henryka: biją pioruny, a wiatr huczy, *śmieje się i chichocze i woła: on tam z nią*. Gdy Rzepowa wraca zrozpaczona od naczelnika, nic nie wskórawszy, a na rękę jej Jasiek chory poczyną tak oddychać, jakby zaraz miał skonać, wtedy i chmury wałęsały się na niebie coraz gęstsze, jakiś *złowrogi*, miedziany odbłask pada na ziemię, a niebo jest „wzburzone“, *niemitosierne, wściekłe*...“ Jak w „Ojcu zadżumionych“.

Dotychczas przedstawił Sienkiewicz w nowelach swych niedolę ludzką (rzadki był promień szczęścia), a wszystko, o czem te nowele mówią, dzieje się, jak zwróciliśmy na to uwagę, w chwilach autorowi współczesnych. Nagle, dla czytelników zupełnie niespodzianie, odwrócił myśl od doby bieżącej i przeniósł się wyobraźnią w czasy odległe, w wiek siedemnasty. Napisał „Niewolę tatarską“.

Bohaterem utworu tego jest młody szlachcic, Aleksy Zdanoborski, i on to sam o sobie opowiada. Wyrusza w świat, by zyskać fortunę i sławę, jakże mu bowiem inaczej pokło-

nić się o rękę ukochanej Marysi. Na Ukrainie zaciąga się pod znak pułkownika Koszyca. Bitwa z Tatarami — ranny dostaje się rycerz do niewoli. I teraz zaczyna się jego męka i — jego wielkość. Zakochała się w nim córka pana jego Sukymana, Iłta, a Aga Sukyman obiecał mu ją i synem swoim chciał go uczynić, jeśli wiarę porzuci i prorokowi się pokłoni. Rycerz odmówił, a wtedy Sukyman kazał zwlec z niego szaty i wodę trzodom nosić. Potem, gdy Zdanoborski trwał w swym oporze, głodem go zgnać postanowił, z psami jadać mu kazał, leżeć na barłogu z wielbłądami pospołu. Wychudł rycerz, zczerniał, poruszać się już nie mógł, ale wiary swej się nie zaparł. Nadeszła wiosna i płactwo leciało ku Polsce, a rycerz mówił z barłogu swego do jaskółek i bocianów: Ptaszyny marnie! ach! mówcie Rzeczypospolitej i wszelkim stanom, żem jako ślachcic patryjota wytrwał i, choć tak mocno do ziemi przybity, choć tak nogami pogan zdeptany, przed Panem moim tylko płaczę, a dla nieprzyjaciół dumne oblicze chowam i ducha w ucisku nie dałem“.

Ale nadeszła i straszniejsza pokusa: przybył sam chan tatarski, a dowiedziawszy się o stałości rycerza, zdumiał się i upodobał sobie w nieugiętym niewolniku. Więc ofiarował mu złoty tołub i koniuszym swym postanowił go uczynić i odmiany wiary nie wymagał, byle rycerz rzekł, iż z dobrej woli będzie służył chanowi. Wówczas zadrgało w rycerzu nieszczęsnym serce z radości, ale wnet pomyślał, że to pokusy szatańskie, a potem jeszcze: „co rzeknę ojcom moim, gdy mnie pytają: czem byłeś na świecie? Żali rzeknę owym rycerzom w boju poległym: koniuszym byłem z dobrej woli tatarskim? I okrutny strach mnie zdjął przed tem ojców pytaniem...“ i rycerz — odmówił. A wówczas Sukyman kazał go wziąć na męki, surowcem siec, tak, że krwią spłynął, ogniem wolnym przypiekać. Rycerz zaś nasz osłabł niezmiernie, a w tem osłabnięciu widzenie miał precudne. Oto Panna Najświętsza wzięła go na ręce i niosła ku niebu, a aniołkowie

śpiewali: „Nie w kontuszu, nie przy karabeli, ale w ranach! Rycerzu, rycerzu, w boju mężny, w męce cierpliwy..., krwawej ziemi synu wierny, witaj w spokoju, witaj w szczęściu — w weselu, w weselu!...” I omdlał. Gdy się obudził z omdlenia, ujrzał się wśród stepu na wozie. Wykupiła go z niewoli jego Marysienka, a teraz wracał do ziemi swoich ojców, których się nie zaparł...

„Niewola tatarska“ jest już w pewnej mierze zapowiedzią „Trylogji“. Cóż ukochał nasz rycerz i czemu pozostał wierny? Ojczyźnie swej, honorowi i swojej Marysienke. Jakże strzegł honoru! Gardło jest rzeczą moją — powiadał — i one wolno mi na szwank podawać, ale nieskalana rodu cześć jest puścizną przodków, którą mam oddać tak, jak ją wziąłem: nieskalaną... Tak będzie rozumował później Skrzetuski, Podbiłęta, Wołodyjowski i inni.

A cóż za precudny to opis rotę polskiej z pod poważnego znaku, jakież wspaniałe obraz ataku pancерnej husarii, kiedy to idzie „właśnie jakoby burza, i znać, że co jej się oprze, to zetrze“. Jakiesz barwne, czasem złowrogię sceny z życia kozaczyzny naddnieprzańskiej, co za obraz stepu!

Nie brak też i wyobrażeń XVII wieku, przesądów. Zdąnoborski wierzy w istnienie wilkołaków, w zorzach wieczornych na niebie widzi krew rozlaną, powtarza za drugimi, że wilki tatarskiego mięsa nie jedzą „przyjaciółmi Tatarów będąc“, że księża tatarscy, gdy wyprawa idzie na rabunek, „nocy ciemne czynią, a dniem mgły wielkie podnoszą“.

Język wreszcie „Niewoli tatarskiej“ jest to doskonale naśladowany język XVII wieku, barwny, ozdobny, łaciną przeplatany, w okresach się lubujący. „Gdy w takim wielkiem *fortuny mojej uszczupieniu* — czytamy — z Jaśnie Wielmożnym Tworzyańskim mówić, ani mu się wyświadczyć z *afektów* nie śmiałem, nie pozostało mi nic innego, jak szablą na fortunę zarobić i, *gloria militari* się przyozdobiwszy, dopieroż przed nim stanąć... Choćby J. W.

Tworzyński *dzieweczkę* swą oddać mi się był zgodził, nie miałbym jej gdzie wprowadzić; gdyby zaś, bacząc na szczupłość mej fortuny w dumie swej *pauperem* albo *zgoła* szarakiem mnie nazwał, tedybym się w rozumieniu o *wyborności* rodu mego czuł dotknięty..." Podobnym językiem pisał Pasek, znany autor pamiętników z XVII-go wieku.

II.

Trylogja. — Dlaczego Sienkiewicz obrał wiek XVII? — Prawda i zmyślenie w Trylogji. — Sądy o czasach i ludziach. — Intryga w powieściach Trylogji. — Wprowadzenie w tok opowiadania. — Grupowanie postaci. — Wprowadzenie nowej postaci. — Sposób charakteryzowania osób. — Plastyka figur. — Sceny zbiorowe. — Postaci humorystyczne. — Kult siły. — Obrazy bitew. — Środki wzruszeń (trwoga o los bohatera, nagle niebezpieczeństwo, nagle ocalenie). — Przedmiot wzruszeń (bohaterstwo, klęski i triumfy, miłość). — Znaczenie scen humorystycznych. — Oddanie ducha wieku. — Przedmiotowość. — Znaczenie Trylogji dla Polski.

„Niewola tatarska“ — powiedzieliśmy — była już poniekąd zapowiedzią „Trylogji“. Autor przeniósł nas w czasy XVII wieku i pokazał postać rycerza-bohatera, a równocześnie dał poznać, czem była Rzeczpospolita dla ludów Europy: przedmurzem cywilizacji i chrześcijaństwa.

Wszystko, co się dzieje w „Trylogji“, dzieje się również w XVII wieku. Czem tłumaczyć sobie, że Sienkiewicz wiek ten szczególnie ukochał? Czy Polska była w nim najpotężniejszą, najszczęśliwszą? Ani jedno ani drugie, przeciwnie, wielkie państwo chyliło się już wówczas ku upadkowi, ale nigdy tak, jak wówczas, nie zażyły Rzeczypospolitej cnoty rycerskie, nigdy, ani przedtem, ani potem, nie wydobyła z siebie Polska tyle siły, by wyrzucić z granic swych wszystkich wrogów i miecz zwycięski ponieść jeszcze w nieprzyjacielskie krainy. Tragicznym wiekiem nazwano ów wiek siedemnasty — wiele cnót i wiele grzechów, ludzie święci i zdrajcy: ksiądz Kordecki i Opa-

liński, Czarniecki i Radziwiłłowie, wstyd i chwała: Piławce i Częstochowa, Kamieniec Podolski i Chocim. To pasowanie się światła i mroków nęciło artystę: oddać to, odtworzyć, a zwycięstwo prawych, rycerzy Chrystusowych, którzy poprowadzili zastępy swe, po odparciu wszystkich złych mocy, na „pole chwały“, rozpierało dumą pierś Polaka. Dodać narodowi swemu otuchy, pokazać mu, że niema takiej toni, z którejby się nie można wydobyć... Bo w „Trylogji“ obcujemy ciągle z wielkim artystą i z gorącym sercem polskim, artysta widzi i kreśli, Polak czuje, odwraca oczy od hańby, raduje się triumfem i czytelnika przejmuje temi samemi uczuciami.

Zarówno „Ogniem i mieczem“, jak „Potop“, jak „Pan Wołodyjowski“ są powieściami historycznemi, oparte są przeto o prawdziwe zdarzenia z przeszłości. Rzecz jasna: Sienkiewicz zaznajomić się musiał znakomicie z dziejami wieku XVII, poznał też istotnie dokładnie współczesne kroniki i pamiętniki (o czem sam mówi), jak również dzieła historyczne, obrazujące wiek XVII (np. prześliczne Szkice Kubali).

Wypadkom dziejowym poświęcił w powieściach nie-mało miejsca. Przedstawiając te wypadki, czynił to po części tak, jak czyni historyk, odtwarzając prawdę wiernie, po części dawał obrazy, z prawdą zgodne, ale okraszone wyobraźnią. Obrazy te mają charakter najrozmaitszy.

Czasem autor nie wymienia żadnych postaci historycznych, lecz maluje ogólne tło, odtwarza uczucia współczesnych, uczucia bezimiennych mas. Tak w „Ogniem i mieczem“ po klęsce wojsk hetmańskich: „*Ludziom* zdawało się, że sklepienie runęło nagle na Rzeczpospolitą. Żółte Wody, Korsuń, zniesienie wojsk koronnych, zawsze dotąd w walkach z Kozakami zwycięskich, wzięcie hetmanów, pożar straszliwy na całej Ukrainie, rzezie, mordy, niesłychane od początku świata, wszystko to zważyło się tak nagle, że *ludzie* prawie wierzyć nie chcieli, aby tyle klęsk mogło przyjść na jeden kraj odrazu. *Wielu* też nie wierzyło, *inni*

odrętwieli z przerażenia, *inni* dostali obłąkania... Piekło odczepiło z łańcucha wszystkie zbrodnie i puściło je na świat, by pohulały: więc mord, grabież, wiarołomstwo, rozbastwienie się, gwałt, rozbój i szaleństwo zastąpiło pracę, uczciwość, wiarę i sumienie. *Zdawało się*, że odtąd ludzkość już nie dobrem ale złem tylko żyć będzie, że się przeinaczyły serca i umysły i poczytują sobie to za święte, co dawniej było bezecnem, a za bezecne, co dawniej było świętem. Słońce nie świeciło już nad ziemią, bo je zasłaniały dymy pożarów... Płonęły miasta, wsie, kościoły, dwory, lasy... Życie straciło wartość. Tysiące ginęły bez echa, bez wspomnienia..."

Gdzież to się tak działo? *Wszędzie*, gdzie wojna stąpała po polskiej ziemi. Któż to tak czuł? *Ogół*, wszyscy.

Podobny obraz w „Potopie“, obraz wiosny roku 1655-go. Oznaki nieszczęść na niebie i ziemi! z chmur tworzą się jakoby wieże wysokie, pioruny biją raz po raz, lasy żółkną, ptactwo pada, a serca ogółu ogarnia niespokojność i groza. *Rozsądnijści* starają się lęk rozprószyć, *trwożliwsi* szepcą o nadchodzących nieszczęściach. I tak chwieją się umysły, ciężka niepewność przygniata dusze ludzkie, aż wreszcie znika wszelka wątpliwość, bo oto po całej Rzeczypospolitej rozległ się okrzyk: wojna! Wojna ze Szwedem. I teraz autor przechodzi do szczegółów, mówi o ogólnem położeniu państwa, o tem, że Polska wplątana już była w dwie wojny: z Chmielnickim i z Moskwą, mówi o zdradzie Radziejewskiego, o zawiściach wśród magnatów, o niepewnej postawie różnowierców, o lekkomyślności szlachty, zakochanej we własnych wczasach i dostatkach. Następnie zwęża koło jeszcze bardziej: wiedzie nas wprost do Wielkopolski, pokazuje pułki piechoty łanowej pod wodzą rotmistrzów, których nawet po imieniu nazywa, każe spojrzeć na obóz między Piłą a Ujściem, zaznajamia z wojewodą kaliskim, panem Andrzejem Grudzińskim, a z rozmowy jego z rotmistrzem Stanisławem Skrzetuskim pozwala poznać wartość pospolitego

ruszenia, trwożliwego ducha wodzów, ich prywatę. A potem dalsze obrazy: rozprężenia, niekarność, lęku (pokazane w znacznej części przy pomocy rozmów rozmaitych osób), a potem widok wkraczających groźnych, karnych wojsk szwedzkich i znów rozmowa (zmyślona) między wodzem szwedzkim Wittembergiem a zdrajcą Radziejowskim, charakteryzująca jednak dobrze i ogólne położenie Rzeczypospolitej i pospolite ruszenie i wartość samego Radziejowskiego.

Więc prawda miesza się ze zmyśleniem, ale zmyślenie nie ma zatrzeć prawdy, przeciwnie ożywić ją, dozwolić, by czytelnik lepiej sobie rzecz uzmysłowił. Tak jest w strasznym scenie mordu dokonanego przez Zaporozców na nieszczęsnym Tatarczuku i Barabaszu, tak w scenie między Tuhaj-bejem a deputatami Kozaków, którzy żądali wydania Skrzetuskiego. „Dawajcie Lacha! — wołali coraz groźniej Kozacy. Tuhaj-bej przeciągnął się na swoim siedzeniu i wstał. Twarz zmieniła mu się w jednej chwili, oczy rozszerzyły się, jak u żbika, zęby poczęły błyskać. Nagle skoczył jak tygrys przed mołojców, dopominających się o jeńca. — Precz! capy, psy niewiernel niewolnicy! swynojady! — ryknął, chwytając za brody dwóch zaporozców i targając nimi ze wściekłością... Na twarz, niewolnicy! bo was w jasyr zapędzę, bo Sicz całą nogami tak zdepcę, jak was! z dymami puszcę, ścierwem waszem pokryję! Deputaci cofali się przerażeni...“ Czy scena taka odbyła się istotnie? Nie, należy ona do rzędu zmyślonych, ale w powieści historycznej ma swe uprawnienie, bo odzwierciedla dobrze stosunek Tuhaj-beja do Kozaków, a równocześnie wskazuje, jak Chmielnicki, chcąc zbyć się „jarzma“ polskiego, brał równocześnie na szyję jarzmo nowe, stokroć gorsze.

Zwłaszcza rozmowy służą Sienkiewiczowi bardzo często do zobrazowania chwili, czasem zaś mają cel ważniejszy, mieści się w nich jakby sąd dziejów, a w każdym razie

sąd autora o czasach, zdarzeniach, winach ludzi i narodów. Nie inne znaczenie ma rozmowa Skrzetuskiego z Chmielnickim.

„Spójrz — mówi Chmielnicki do Skrzetuskiego — co się dzieje na Ukrainie! Hej! ziemia bujna, ziemia matka, ziemia rodzona, a kto w niej jutra pewien? kto w niej szczęśliwy? kto wiary nie pozbawion, z wolności nie obran? kto w niej nie płacze i nie wzdycha? Sami jeno Wiśnio-wieccy, a Potoccy, a Zasławscy... Dla nich starostwa..., dla nich szczęście i złota wolność, a reszta narodu ręce we łzach do nieba wyciąga, czekając Bożego zmiłowania, bo i kró-lewskie nie pomoże!... Gdzie przywileje kozackie? Król dał, królewężta odjęli... Łzy nie obeschły po pobitych, ściętych... — a teraz — patrz! co świeci na niebie — tu Chmielnicki wskazał przez okienko na płonącą kometa — gniew Boży! bicz Boży!... Nastąpiło milczenie... Namiestnik siedział ze spuszczoną głową... nakoniec tak mówić począł głosem cichym i smutnym: Ach! choćby to była i prawda, ktoś ty hetmanie jest, abyś się sędzią i katem kreował? Ja-ć złych nie bronię, krzywd nie pochwalam..., ale wejrzyj-że i ty w siebie, hetmanie! Na ucisk od królewężat narzekasz..., dumę ich ganisz, a czy sam jej próżen jesteś?... Tyranję paniać i szlachty widzisz, ale tego nie widzisz, że gdyby nie ich piersi, nie ich pancerze, nie ich moc, nie ich zamki..., te-dyby ta ziemia, mlekiem i miodem płynąca, pod stokroć cięższem jarzmem tureckiem albo tatarskiem jęczała!... Tu głos pana Skrzetuskiego potężniał coraz bardziej... Możesz-li rzec — mówił dalej — że między wami są tylko sprawie-dliwi? zaliście nigdy nie przewinili? zali macie prawo rzu-cić kamieniem na cudzą zmazę? A żeś mię pytał, gdzie są przywileje kozackie, tedy ci odpowiem...: Zdarły je bunty wasze, zdarły niespokojności i napady, nakształt tatarskich czynione. Kto Tatarów w granice Rzeczypospolitej puszczał,

by dopiero na powracających i łupem obciążonych dla zysku napadać? — wy! Kto, przebóg! lud chrześcijański, własny, w jasyr oddawał?... wy! Kto wojny domowe rozpałał, z dymem puszczał wsie i miasta ukraińne, łupił świątynie Boże?... Wy i wy! Czego tedy chcesz?... Czy aby wam przywileje na wojnę domową, rozbój i łupiestwo były wydane?... Na co Chmielnicki:

— Z Rzeczpospolitą wojny nie chcę!

— Jenó jej miecz do gardła przykładasz — odpowiada Skrzetuski.

— Idę Kozaków z waszych okowów uwolnić!

— By ich w tatarskie łyka skrępować!

— Wiary chcę bronić!

— Z pohańcem w parze!

— Precz-że ty!... — woła Chmielnicki wściekły i nożem błyska przed piersią namiestnika.

Innej odpowiedzi nie znalazł.

Znaczenie tej rozmowy? Jest to — jak już zaznaczyliśmy — *sąd o sporze Rusi z Polską*, sąd, jaki wydało wielu historyków — a do zdania ich przyłącza się (widzimy to z przebiegu rozmowy) Sienkiewicz. Nie przeczy winom Polaków, ale mniema, że większe były po stronie przeciwnej, a w ten sposób oświetla wszystkie wypadki historyczne przedstawione w „Ogniem i mieczem“, poucza, jak należy patrzeć na Wiśniowieckiego i Chmielnickiego, komu przyznać rację.

Taką samą rolę spełniają kazania księdza Kamińskiego w „Panu Wołodyjowskim“, własne uwagi autora w „Potopie“.

Najczęściej jednak Sienkiewicz-historyk nie sądzi, lecz maluje, niekiedy z niezmierną wiernością, jak wówczas, gdy kreślił oblężenie Zbaraża, obronę Częstochowy (choć nie brak i tam zmyśleń), bitwę pod Beresteczkiem. Autor dba o to, by czytelnik odnosił wrażenie, że ma do czynienia z prawdą, i dlatego przytacza nawet dosłownie listy, dokumenty

(jak uniwersał królewski w „Potopie“), w innych zaś razach, by zmyśleniu nadać pozór prawdy, sam takie listy osób ważnych układa i wplata je w tok opowieści. To pewna, że zasadniczo od prawdy nigdzie nie odbiega — to też Trylogja jest w dziejach powieści zjawiskiem dość wyjątkowym: uczyć się z niej można historii bez obawy, by nie przyswoić sobie fałszów.

Sienkiewicz — podkreślmy to raz jeszcze — pozwala nam poznać bieg wydarzeń, ducha czasu, ważne postaci, przy pomocy jakoby wplecionych „szkiców historycznych“, tudzież przy pomocy obrazów, ubarwionych wyobraźnią. Ale jak łączą się te obrazy z wątkiem powieści? Najczęściej w ten sposób, że bohater romansu bierze udział w wydarzeniach dziejowych; to, co się dzieje, sam widzi, sam ogląda, sam przeżywa, rzadziej dowiaduje się o wydarzeniach od osób drugich. Bohater powieści nietylko jednak bierze udział w biegu wypadków, on na rozwój ich wpływa. A zatem czytelnik zajmuje się losami bohatera, nietylko dlatego, że współczuje z nim jako z jednostką, czytelnika obchodzi los jego z innego także powodu: z losem bohatera łączą się losy narodu. Żywo nas interesuje, czy Skrzetuski, dla którego bez połączenia się z Heleną niema szczęścia, pojmie ją za żonę, ale niemniej żywo, czy tenże Skrzetuski dotrze z oblężonego Zbaraża do króla i czy sprowadzi odsiecz, niepokojimy się tem, czy Oleńka dochowa wiary Kmicicowi (może wstąpi do klasztoru?), ale w równej albo i w wyższej mierze tem, czy Kmicic zdoła przeszkodzić zrobieniu wyłomu w murze twierdzy jasnogórskiej, lub czy uda mu się ocalić króla. Słowem autor tak układa ośnowę powieści, że śledzimy ją zawsze z zainteresowaniem *podwójnem*, na co wpływa (prócz wskazanych właśnie) wzgląd jeszcze jeden, o którym później.

A jakże wygląda w powieściach „Trylogji“ taż ośnowa o ile chodzi o osobiste losy bohatera? Jest ona zawsze

w wysokim stopniu zajmująca, tak zajmująca, że nie możemy książki odłożyć, dopóki nie przeczytamy jej od deski do deski. Bohater jest zawsze rycerzem niezmiennie dzielnym (Skrzetuski, Kmicic, Wołodyjowski), mistrzem na szable, mistrzem w ataku, kocha ojczyznę swą nad wszystko i wylałby dla niej ostatnią kroplę krwi, straszny jest dla nieprzyjaciół, a niezrównany dla koła przyjaciół. Obok ojczyzny kocha on także swą wybraną i dla niej gotówby także śmierć ponieść, ale miłość ojczyzny stawia wyżej (Skrzetuski mówi o tem sam, mówią o tem zresztą jego czyny, Kmicic w chwili, gdy miał odzyskać Oleńkę, posłuszny rozkazowi, idzie na Rakoczego, Wołodyjowski, by nie oddać Kamieńca, wysadza się w powietrze, choć wie, że Baśkę swą tem zabije). Każdy z nich kocha przeto kobietę, ale ma „rywala“ w ojczyźnie. Ma nadto drugiego, czasem sympatycznego dla czytelnika, czasem przez tegoż czytelnika znienawidzonego. Ten rywal (Bohun, Bogusław) ukochaną porywa, jednakowoż zostaje wkońcu poskromiony, a bohater i bohaterka łączą się z sobą i żyją szczęśliwi. Sądząc ze słów powyższych, możnaby wnosić, że intryga we wszystkich powieściach, wchodzących w skład „Trylogji“, jest zupełnie taka sama. Tak nie jest. Podobne jest tylko ogólne „rusztowanie“ intrygi, „skielet“ jej, ale w szczegółach zachodzą różnice bardzo znaczne.

A jak wprowadza nas autor w tęk opowiadania? I tu znajdziemy zarówno znaczne podobieństwa jak różnice. Przypomnijmy sobie „Ogniem i mieczem“: „Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i na ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia“. Oto pierwsze słowa powieści, a słowa te określają wyraźnie *czas*, w którym odbywać się będzie akcja, jak też zapowiadają coś niezwykłego, coś strasznego. I potem autor mówi, jakie to były „znaki na niebie i na ziemi“ (zaćmienie słońca, kometa, krzyż ognisty w obłó-

kach, przedwczesna wiosna), a potem daje (prześliczny) obraz stepów, Dzikich Pól, więc zaznajamia nas z *miejszem*, na którym rozegra się przeważna ilość wypadków, skreślonych w powieści. Wychylają się jednak na stepie wśród nocy tajemnicze postaci, walka (kto z kim i o co walczy, nie wiemy), zapasy skończone, ktoś każe skrzesać ognia — i teraz widzimy już żołnierzy, dowodzącego nimi młodego rycerza i jakąś postać, leżącą bez ruchu na ziemi. Ten rycerz to bohater powieści Skrzetuski, ta postać (jak się pokazuje później) to najstraszniejszy wróg Polski, Chmielnicki, ocalony przez Skrzetuskiego od dławiącego go już arkana. Chmielnicki (który się podał za Zenobiego Abdanka) wypowiada dziwne a złowrogie słowa: „Dzień sądu idzie już przez Dzikie Pola, a gdy nadejdzie — zadywył się wszyświł Bożyj...” Więc znów zapowiedź czegoś groźnego a nieznanego, co się zbliża, co już zawisło nad owymi Dzikimi Polami. Skrzetuski, wracający z poselstwa z Krymu, staje na popas w Czehryniu — tam w gospodzie toczą się rozmowy o Chmielnickim, który właśnie zbiegł i rebelję gotuje. Wiemy już, co grozi Rzeczypospolitej i od kogo, węzeł historyczny powieści jest zadzierzgnięty. Bohater powieści podąża do Łubniów na dwór swego wodza, księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, ale po drodze spotyka uszkodzoną kolasę, a w niej przecudną postać niewieściami, kniaziównę Helenę Kurcewiczównę. Zachwyt Skrzetuskiego — zakochał się rycerz w kniaziównie od pierwszego wejrzenia, ale w drodze ktoś przejął go na niego koniem — to Bohun, słynny watażka kozacki, któremu kniahyni Kurcewiczowa obiecała już rękę Heleny. W Bohunie poznaje tedy namiestnik książęcy rywala — zadzierzgnięty wątek romansowy. Odtąd ten wątek historyczny i romansowy będą się z sobą spletały, Skrzetuski będzie bronił ojczyzny i szukał porwanej Heleny, i ojczyźnie bowiem i Helenie będą groziły srogie niebezpieczeństwa.

Spójrzmy na „wprowadzenie“ w „Potopie“. Tam po „wstępie“, mówiącym nam o rodzie Billewiczów i o testamencie nieboszczyka Billewicza (Billewicz zapisał testamentem tym wnuczkę swą, Oleńkę, chorążemu orszańskiemu, Kmicicowi), rozpoczyna autor rozdział pierwszy powieści słowami: „Przyszedł rok 1652“ (wskazany czas akcji), poczem zaznajamia nas z panną Aleksandrą (Oleńką), która, nadzorując pracujące dziewczęta dworskie, rozmyśla nad przeznaczonym jej na męża z woli dziadka, Andrzejem Kmicicem. Znała go jeszcze wyrostkiem, potem nie oglądała nigdy. Ale oto słysząc odgłos dzwonka, stary, obracający żarna Żmudzin wyziera, kto przyjechał; obwieszcza z flegmą: panna Kmitas! Zjawia się Kmicic, odrazu zachowuje się swobodnie, jak u siebie w domu, a, przyjrawszy się lepiej Oleńce, woła: „Jak mi Bóg miły, rarytet! Dam na sto mszy po moim dobrodzieju, że mi cię zapisał...“ Zakochany, jak Skrzetuski w Halszce, od pierwszego wejrzenia, a Oleńka również olśniona młodym junakiem. Ale Kmicic w towarzystwie nieszczególnych kompanjonów, którymi się otoczył, poczyną broić, popełnia gwałty, pali nawet zaścianek Wołmontowicze — Oleńka go odtrąca. Zadzierżgnięty więc węzeł romansowy, ale jest i kontrakcja, stworzona przez samego bohatera powieści; od ukochanej oddalają go jego postęпки. Na nic nie przydaje się porwanie Oleńki, odbija ją Wołodyjowski. Nieszczęsny junak, którego uczynki gorsze były od niego samego, pogrąża się w desperacji (wszystko stracone! jakże mu żyć bez Oleńki?!), kiedy niespodzianie dostaje od hetmana Janusza Radziwiłła rozkaz czynienia zaciągów, grozi bowiem wojna! Więc Kmicic jakby odrodzony: może okryć się sławą, winy zmazać, Oleńkę odzyskać. A wojna się zbliża, wojska szwedzkie, wiedzione przez zdrajcę Radziejowskiego, wkraczą do Wielkopolski (zadzierżgnięty węzeł historyczny osnowy).

Kmicic w zaślepieniu, w dobrej wierze, będzie zrazu służył Radziwiłłowi, który przeszedł do Szwedów, czem coraz bardziej będzie się oddalał od Oleńki, a potem jeszcze między niego a pannę Aleksandrę wejdzie rywal, książę Bogusław Radziwiłł. Z chwilą, kiedy Kmicic przejrzy, że służył zdrajcy, usiłowania jego będą biegły w trzech kierunkach, by ratować ojczyznę, odzyskać dobre imię i serce Oleńki. Ale to już jądro wątku — wprowadzenie kończy się wraz z zadzierżgnięciem historycznego węzła osnowy. Z „Ogniem i mieczem“ ta wspólność w „wprowadzeniu“, że i tu i tam wskazany czas akcji, po części miejsce (Litwa, choć miejscem działań stanie się wnet cała Polska), pokazany bohater i bohaterka, których od razu łączy miłość, a dzieli zły los (tu z winy samego bohatera). Wątek historyczny wplata się tu i tam w dzieje bohatera — widzimy od początku, że Skrzetuskim i Kmicicem kierować będą w znacznej mierze wypadki dziejowe.

Podobnie w „Panu Wołodyjowskim“, choć w tej powieści wątek romansowy zawiązuje autor dwukrotnie, z początkiem i z końcem tomu pierwszego (miłość ku Krzysiu, miłość ku Baśce) i dwukrotnie wprowadza „rywali“ (Ketlinga i Azję Tuhaj-bejowicza). Sobieski, zjawiający się na początku powieści, jest zapowiedzią nadchodzących wypadków dziejowych.

Zajmujący jest sposób, w jaki Sienkiewicz grupuje postaci w swych powieściach. Spotkamy się w nich zawsze z dwoma grupami: jedną tworzą ci, co stoją po stronie ojczyzny, drugą jej wrogowie. (Skrzetuski, książę Jeremi, Wołodyjowski, Zagłoba, Podbipięta — Bohun, Chmielnicki, postaci z świata kozackiego; Kmicic, ks. Kordecki, Sapieha, Czarniecki, Wołodyjowski, miecznik Billewicz, Józwa Butrym Beznogi... — Bogusław Radziwiłł, Janusz Radziwiłł, Opaliński, Sakowicz; Wołodyjowski, Ketling, Nowowiejski —

Azja Tuhaj-bejowicz). Są to dwie grupy wrogie, zwalczające się na śmierć i życie. Bohater należy zawsze do grupy pierwszej, rywal jego do grupy drugiej (do nieprzyjaciół ojczyzny) i to jest ów wzgląd dodatkowy, który sprawia, że intrygą powieści interesujemy się w najwyższym stopniu, zwycięstwo bohatera bowiem a pognębienie rywala jest równocześnie pognębieniem wroga ojczyzny. Skrzetuskiemu przeciwstawiony jest Bohun, Kmicicowi — Bogusław, Wołodyjowski ściga Azję. Jednakowoż obok bohatera romansu, który kocha i walczy, jest w każdej powieści także drugi bohater, jakby bohater części historycznej powieści, który ma jedną tylko kochankę: ojczyznę i który ostatecznie zwycięża (książę Jeremi, Czarniecki, Sobieski). Mamy tedy jakby po parze bohaterów, a wyobraźnia czytelnika nie jest mniej zajęta księciem Jeremim, niż Skrzetuskim (najmniej pokazuje autor Sobieskiego). To są osoby na pierwszym planie, na którym widzimy oczywiście także bohaterki romansu: Helenę, Olenkę, Baškę. Ale obok planu pierwszego jest jeszcze drugi i trzeci. Osoby na planie drugim umieszczone poznajemy również dokładnie, na wskrós: to Podbipięta, Wołodyjowski (w O. i m. i w Potopie), Zagłoba, Rzędzian, Anusia Borzobohata, Kiemlicze, Sakowicz, Ketling, Nowowiejski... Nie odgrywają one roli tak ważnej jak bohaterowie, ale wyobraźnię czytelnika zajmują żywo bez względu na to, czy czytelnik darzy je sympatją, czasem czemś więcej niż sympatją, jak Podbipiętę, czy nienawiścią, jak Sakowicza. Na trzecim zaś planie jest całe mnóstwo osób, i te poznajemy przeważnie z jednego tylko rysu ale znamiennej. To kniahyń, młodzi kniaziowie, Zaćwilichowski, Barabasz, Czapliński, Krzeczowski, stary Pakosz, Soroka, Kuklinowski, kompanja kmicicowa, stary Nowowiejski, Muszalski, pan Snitko i t. d. i t. d.

Sienkiewicz, wprowadzając nową postać (w szczególności taką, która ma odgrywać ważniejszą rolę), zazwy-

czaj opisuje krótko jej wygląd zewnętrzny, przyczem zwraca uwagę na wyraz oczu, na pewne rysy, z których wnioskuje o pewnych właściwościach duchowych pokazanej postaci. Oto pan Skrzetuski. „Był to młody bardzo człowiek, suchy, czarniawy, wielce przystojny, ze szczupłą twarzą i wydatnym orlim nosem. W *oczach* jego malowała się *okrutna fantazja i zadzierzystość*, ale w *obliczu* miał wyraz *uczciwy*. Wąs dość obfity i niegolona widocznie oddawna broda dodawały mu nad wiek powagi“. Chmielnickiego zaś tak autor przedstawia: „Był to mąż w sile wieku, średniego wzrostu, szerokich ramion, prawie olbrzymiej budowy ciała i *uderzających* rysów. Głowę miał ogromną, cerę zawiędlą, bardzo ogorzałą, oczy czarne i nieco ukośne, jak u Tatara, a nad wąskimi ustami zwieszał mu się cienki wąs, rozchodzący się dopiero przy końcu w dwie szerokie kiście. *Twarz jego potężna zwiastowała odwagę i dumę*. Było w niej coś *ciągnącego i odpychającego* zarazem — *powaga hetmańska, ożeniona z tatarską chytrością, dobrotliwość i dzikość*“. A Bohun? Skrzetuski „ujrzał młojca smukłego, jak topola, z obliczem smagłym, zdobnem w bujny czarny wąs, zwieszający się ku dołowi. *Wesołość* na tej twarzy przebiła przez ukraińską *zadumę*, jako słońce przez mgłę. Czoło miał watażka wysokie, na które spadała czarna czupryna w postaci grzywki, ułożonej w pojedyncze kosmyki, obcięte w równe ząbki nad silną brwią. Nos orli, rozdęte nozdrza i białe zęby, połyskujące przy każdym uśmiechu, nadawały tej twarzy wyraz trochę *drapieżny*, ale wogóle był to typ piękności ukraińskiej, bujnej, barwnej i *zawadjackiej*“. (Tu następuje opis stroju watażki). Przykłady możnaby mnożyć. Z wszystkich okazuje się, że pierwsza charakterystyka mieści się już w opisie zewnętrznego wyglądu postaci — widocznie autor żywi przekonanie, że wyraz twarzy jest zwierciadłem wewnętrznych znamion jednostki.

Wprowadziwszy w ten sposób postać, pozwala ją Sienkiewicz poznać bliżej — podaje więc charakterystykę od siebie, czasem zaraz po wprowadzeniu, czasem później, raz jeden lub kilkakrotnie. O Skrzetuskim mówi, że był to „człowiek wesół i przytem żołnierz wielce w swym zawodzie zamięlowany“, w innem miejscu, że zawsze był „do czynu skory“, a znów w innem, że „nierad pozwalał się ciągnąć za brodę wypadkom; w jego naturze leżała wielka przedsiębiorczość i energja; nie czekał on na to, co mu los zdarzy, wołał los brać za kark i zmuszać, by zdarzał fortunie“. Bohuna charakteryzuje obszernie, kończąc: „Między szlachtą umiał być dwornym kawalerem, między Kozakami najdzikszy Kozakiem, między rycerzami rycerzem, między łupieżcami łupieżcą. Niektórzy mieli go za szalonego, bo też i była to dusza nieokiełzana i rozszalała. Po co na świecie żył, czego chciał, dokąd dążył, komu służył — sam nie wiedział. Służył stepom, wichrom, wojnie, miłości i własnej fantazji... Bohun brał łup, ale wołał wojnę od zdobyczy, kochał się w niebezpieczeństwach dla własnego ich uroku, złotem za pieśni płacił, za sławą gonił, o resztę nie dbał...“ Podobnie po opisie wyglądu księcia Bogusława Radziwiłła, a w szczególności jego oblicza, w którym malowały się „zuchwałość, duma i pewność siebie“, następuje szczegółowa charakterystyka: „Była to mieszanina zniewieciałości i zuchwałej odwagi... Wojna była jego żywiołem, chociaż umysł bystry i giętki zarówno się do intryg i do dyplomatycznych wybiegów nadawał. W tych umiał być cierpliwy i wytrwały, daleko wytrwalszy, aniżeli w „amorach“, których długi szereg dopełniał historii jego życia...“ i t. d. i t. d.

Ale charakterystyka, którą autor podaje od siebie, nie jest właściwie niezbędnie potrzebna, postaci jego bowiem charakteryzują się same, przez swe słowa, a nade wszystko czyny. Z czynów poznajemy je doskonale, tak wy-

bornie, że nie mamy wątpliwości co do żadnego rysu ich charakteru. Przypatrzmyż się na przykład postaci Skrzetuskiego.

Od razu, przy pierwszym poznaniu, widzimy w nim dumę szlachecką — nie chce podać ręki człowiekowi, którego bliżej nie zna („bezimiennych podziek przyjmować mi się nie godzi“ — mówi do rzekomego Abdanka). Potrafi zachować zimną krew w przygodzie z podskakującym jak rąróg Czaplińskim, a kiedy ma szlachcica-burdy dość (Czapliński grozi mu dybami), rychło sam sobie wymierza sprawiedliwość, chwytając pieniacza „jedną ręką za kark, drugą za hajdawery poniżej krzyża“ i wywalając nim drzwi gospody. Sierdzisty ów kawaler ma jednak serce z wosku: widząc łzy kniaziówny (z powodu pogardliwych słów kniahyni), wzrusza się do głębi, a choć Helenę pierwszy raz w życiu obaczył, woła: „Ja nie mogę znieść też waćpanny. Na Boga... krew i zdrowie oddałbym, byle ciebie pocieszyć“. Gdy zakochał się, to na śmierć. Po pierwszym spotkaniu z Heleną spowiada się Podbipięcie: „Sen ucieka mi od powiek i jeno do wzdychania mam ochotę, od którego chyba cały w parę się rozplynę — co waćpanu powiadam dlatego, że mając serce czułe i afektów głodne, snadnie mękę moją zrozumiesz“. Umie też prześladowaną przez kniahynię Helenę zaopiekować się należycie: wie, jak do kniahyni przemówić, potrafi użyć groźby i grozy. Ale, jak już spostrześliśmy, nie jest to człowiek twardy: gdy ujrzał Bohuna jadącego w bolesnej zadumie i piosnką „tużu, tużu, serce bo-
łył“ opłakującego swą miłość ku Helenie, „nagle jakiś żal ścisnął mu serce“ — żal mu było zmagającego się z bólem watażki. Wysłany przez Jeremiego jako poseł do atamana koszowego na Sicz, choć burza już huczy, choć Grodzicki go przestrzega, jedzie, bo spełnienie obowiązku rzecz święta. A umie godności swej poselskiej strzec: gdy na Chortycy olbrzymi zaporozec powiada: „zawedem posła ałe za bo-

rodu“ i sięga ręką ku Skrzetuskiemu, ten jednym uderzeniem czekana powala go na ziemię, poczem stacza z przeważającym tłumem Kozaków i Tatarów bohaterską walkę, aż obłany krwią chwieje się i pada. Jak godnie zaś zachowuje się w niewoli! Chmielnickiego zwie „hetmanem samozwańczym“, karą mu grozi, wolności z rąk jego przyjąć nie chce, nie przyjmuje od samozwańca listów do księcia, bo uchybiłby Jeremiemu. Honor Rzeczypospolitej nadewszystko! Kiedy wojewoda Kisiel idzie Chmielnickiemu „łaskę ofiarować“, a naprawdę o nią prosić, Chmielnicki zaś czeka na niego na podniesieniu, pod znakiem i buńczukiem „wsparty pod boki, z wydętymi usty i namarszczoną brwią“, nagle ciszę przerywa „głos jakiś krótki, donośny a rozkazujący, który zabrzmiał z niewypowiedzianą siłą desperacji, nie liczącej się z niczem i z nikim: *Dragonja w tył za mną*“. Tym rozkazem naraża się Skrzetuski na śmierć, ale nie może przenieść tego, by żołnierze Rzeczypospolitej patrzyli na jej hańbę. Honor Rzeczypospolitej i honor własny, rycerski! Nie podąża do Baru, choć tam jego Helena, cudem ocalona, wyczekująca go z niepokojem, choć księżę pozwolenieby dał, bo „bitwa ma być“, a przed bitwą odejść z pola zakazuje cześć: „Żołnierzem i szlachcicem jestem, przeto o honor dbać muszę“, „honor kawalerski — to jest święta rzecz“. Nawet przestał szukać ukochanej, gdy ojczyzna znalazła się w toni — przedtem bowiem Rzeczpospolita, potem prywata. Ale cierpienie go przeżarło: „wychudł i pożółkł tak, że czoło, policzki i nos miał jakby z wosku kościelnego uczynione. Dawna kamienna surowość została mu w twarzy i był w niej taki skrzepły spokój, jak w twarzach umarłych“. Już tylko „rozmów o życiu klasztorzem i o życiu przyszłym chciwie słuchał...“ Wyrzekł się ten rycerz prawy, szczerzy potomek rycerza z „Niewoli tatarskiej“, wszystkich myśli o szczęściu ziemskim, a jednakże „służbę ściśle pełnił“ — służbę ojczyźnie. I po raz niewiadomo który naraził się dla niej na śmierć,

niemal pewną, przekradając się ze Zbaraża przez obóz nieprzyjacielski, by odsiecz uzyskać. Jak się przy tej przeprawie z sobą zmagał, jak ostatka sił dobywał, aż jak nędzarz ostatni stanął przed Janem Kazimierzem, o tem pamiętamy dobrze.

Ale nie chodzi tu o charakterystykę Skrzetuskiego — chodziło o wykazanie, że czytelnik, nawet bez uwag autora, poznaje postać, wprowadzoną przez niego, wybornie — jak wspomnieliśmy i jak widzimy: z jej czynów. A dodajmy, że Skrzetuski nie jest bynajmniej w Trylogji postacią najżywszą, najbardziej się uwypuklającą. Takiego Kmicica, Bogusława Radziwiłła, Bohuna uzmysławiamy sobie po sto-kroć lepiej, nie mówiąc już o Zagłobie. Dzieje się to dzięki świetnej plastyce, dzięki temu, że autor pokazuje nam osoby swych powieści w ruchu, w życiu, nie zapomni o gestach, o wyrazie twarzy:

Do izby gospodniej w Czechryniu wpada Czapliński. „*Drzwiami trzasnął raz i drugi, a spojrzawszy hardo po izbie, zawołał: czołem waszmościom*“. Ujrzawszy Zaćwilichowskiego, „*wnet zbliżył się ku niemu i, skłoniwszy się dość dumnie Skrzetuskiemu, zasiadł przy nich ze swoją lampką miodu*“. Zaćwilichowski zapytuje go, co słyhać z Chmielnickim, na co szlachcic: „*Wisi, mości chorąży, jakem Czapliński wisi... To mówiąc, uderzył pięścią w stół, aż płyn rozlał się ze szklanic*“. Kiedy zaś Skrzetuski zwrócił mu uwagę, by nie wylewał wina, „*szlachcic zaczerwienił się, błysnął swemi wypukłemi oczyma... i spojrzął zapalczywie na Skrzetuskiego*“, a potem (na wieść, że Skrzetuski ocalił Chmielnickiego) „*zerwał się z miejsca i aż mu mowę ze złości odjęto, twarz tylko sponsowiata mu zupełnie, a oczy coraz bardziej na wierzch wyłaziły*“. Skrzetuski patrzył na „*podskakującego Czaplińskiego*“, który „*krzyczał tak, że w izbie uciszyło się trochę: Ja waści do grodu z sobą... Waść mimo listów... Ja waści Kozakami!.. Obecni poczęli zwracać głowy w stronę Czaplińskiego*...“

Przyjrzyjmyż się tylko uważnie tej scenie. Czapliński ciągle jest w ruchu, ciągle coś czyni: trzaska drzwiami, skłania się „dość dumnie“ (wyobrażamy to sobie zaraz), bije pięścią w stół, krzyczy, zrywa się z miejsca; przytem stale możemy się przypatrywać jego twarzy, jego oczom: spojrzał hardo, zaczerwienił się, błysnął oczyma, spojrzał zapalczywie, sponsonował zupełnie, oczy wyszły mu na wierzch. Choćbyśmy nie chcieli, musimy sobie to wszystko wyobrazić. Oczywiście przez to zewnętrzne zachowanie się Czaplińskiego odstawia się nam jego wnętrze (nieszczególnie).

Ale autor nie tylko niesłychanie żywo, wyraziście odtworza jednostki — podobnie kreśli sceny zbiorowe. Jest u Sienkiewicza (jak w gospodzie Dopuła) tłum: masa ludzka, tłum, o którym się mówi ogólnikowo, który jednak od czasu do czasu nam się przypomina („obecni poczęli zwracać głowy w stronę Czaplińskiego“), są postaci drugorzędne, które jednak wtrącają się do rozmowy (przez co osiąga się większe wrażenie prawdy i żywość), i postaci główne. Tak na uczcie u Radziwiła: Tłum szlachty, kielichy krążą, rozgrzewają się czupryny, rosną humory, muzyka gra menueta, gwar, wchodzi książę z Kmicicem (osoby główne), okrzyk z *setek* piersi: niech żyje Radziwiłł! Kapela znów gra, „*tłumy przechodzą, kręcą się damy, migocą strojni kawalerowie*“, Kmicic wpatruje się w Oleńkę (osoba główna). Wtem hetman bierze go z sobą, wiedzie do Oleńki. Rozmowa księcia z Oleńką, niezmiernie ważna, bo protegująca odepchniętego przez pannę junaka („Wielki to grzesznik i do spowiedzi ci go przyprowadzam... Zadaż mu pokutę, jaką chcesz, ale rozgrzeszenia nie odmawiaj, żeby go desperacja do cięższych jeszcze grzechów nie przywiodła...“), poczem rozmowa Kmicica z Oleńką, dłuższa, znów wagi wielkiej, bo Kmicic kaja się w niej, Oleńka mu przebacza i „jak na wiosnę śniegi tają, tak między nimi poczęła topnieć nieufność“. Goście siadają do stołu, wchodzi posłowie, biskup Parczewski, rozmowa,

gwar rośnie, ale czoło księcia pokryte gęsto kroplami potu, jego wzrok biega szybko po zebranych i zatrzymuje się badawczo na obliczach rozmaitych pułkowników (dobrze widzimy księcia). Wnet jednak uwaga nasza rozprasza się na chwilę, słuchamy *rozmów gości*, starego pułkownika Stankiewicza, Zagłoby, pana Wołodyjowskiego z panną Elżbietą Sieniawską, pułkownika Mirskiego... Nagle biskup Parczewski mdleje, zamieszanie, wystrzały działowe, książę z twarzą siną, „wykrzywioną uśmiechem jak konwulsją” wstaje i każe czytać straszną ugodę ze Szwedami. Poczem szmer, jakby pierwsze tchnienie burzy, poczem błagania Stankiewicza i szlachty: mości książę, nie czyń tego, zmiłuj się nad nami, poczem okrzyki: zdrajca! i ciskanie z trzaskiem do nóg księcia pułkownikowskich buław.

Jest to jedna z najwspanialszych po epicku skreślonych scen zbiorowych u Sienkiewicza i w całej wogóle polskiej poezji opisowej, ale w Trylogji jest scen takich więcej, i zawsze ten sam sposób wówczas (tło, postaci główne, postaci drugorzędne, tło przypomina się od czasu do czasu — zawsze żywe, w ruchu — postaci drugorzędne wiodą rozmowy, pozostające w pewnym związku z chwilą, uwaga nasza skupia się jednak ciągle na postaciach głównych).

Najczęstszym jednak jest u Sienkiewicza dialog dwojga lub trojga osób (bez tła). Akcję niezawsze dialog posuwa naprzód, ale zawsze wnosi wiele ożywienia. Osoby, biorący udział w rozmowie, przemawiają swoim językiem, tak, że poznamy, kto mówi, choćby autor opuścił słowa „rzekł pan Zagłoba”, „ozwał się słodko pan Podbipięta” i t. d.

Osoby przemawiają swoim językiem i są sobą. Każda z głównych postaci ma kilka rysów naczelných, uwydatniających się w każdym położeniu, niemal w każdym odezwaniu. Skrzetuski umie strzec honoru Rzeczypospolitej i własnego, potrafi się poświęcać, książę Radziwiłł jest pyszny i zawzięty, Bogusław Radziwiłł jest mieszaniną mę-

stwa i zniewieściłości, celuje w intrygach, nie zna skrupułów, Kmicic jest porywczy, zdolny do czynów szalonych, ale serce ma złote, Wołodyjowski jest kochliwy, mężny, niezmiernie się przywiązuje do przyjaciół i t. d. Ile postaci głównych (i drugorzędnych), tyle charakterów. Wnosi to do powieści ogromną różnorodność. Najbardziej jednak ożywiają „Trylogję” (o ile chodzi o osoby) postaci humorystyczne: Zagłoba, Podbiłęta, Rzędzian, Roch Kowalski, Kiemlicze...

Nadewszystko Zagłoba, postać, która już stała się nieśmiertelną. Były znakomite kreacje humorystyczne w literaturze obcej i polskiej, Sienkiewiczowi znane — Zagłoba przewyższył wszystkie. Podbiłęta tak go charakteryzuje: „Ja tego Zagłobę znam. Pił on ze mną i zapożyczał się u mnie. O pieniądzu on nie dba, ani o swoje ani o cudze. Swoje ma, to straci — cudzych nie odda...” Ale to nie wyczerpuje charakterystyki bynajmniej. Zagłoba bowiem jest to bogata natura, złożona.

Kpiarz to pierwszorzędny, gdy kogoś na język weźmie, nie zna zmiłowania. Przypominamy sobie pierwszy jego występ, gdy przedstawia Skrzetuskiemu Podbiłętę. Ale i potem nie wybacz mu nigdy. Ciągłe czyni przytyki do jego wzrostu, jego dowcipu, jego zerwikaptura, a gdy pan Longinus wyraża nadzieję, że Bóg miłosierny da mu jego trzy głowy, Zagłoba mu przerywa: „proś Go waćpan o jedną, proś o jedną, a dobrą”.

Z prawdą aż nazbyt często mija się pan Zagłoba, po prostu łże. Opowiada, jako to w chłopskim przebraniu bronił Heleny przed napaścią pijanych żołnierzy: „Kiedy spojrzę na kniaziównę: aż tu uroda jak malowana! Dalejże do nas! Ja w kąć moją niebogę, zastawiłem ją sobą i do szabli... To dziw — przerwał Wołodyjowski — żeś waćpan, za dziada przebrany, miał szablę przy boku. Hę? — rzekł Zagłoba — że miałem szablę? A kto waćpanu powiedział,

ze miałem szablę? Nie miałem, jenom żołnierską pochwycił, co leżała na stole..." Pamiętamy o jego dziurze na czole wielkości talara i o zaszłem bielmem oku. Kto mu tej dziury nie wybił, kto mu oka nie wypalił! Dziurę wybito mu kulem w Radomiu, zrobiła ją kula rozbójnicka, oko wypalono mu w Galacie, w Krymie, na Wołoszy. Bo to Zagłoba zwiedził świat, był (tak twierdzi) i w niewoli bisurmańskiej, i tam mu chciano śmierć męczeńską zadać, za to, że ich „najstarszego księdza na wiarę prawdziwą namówił". „A mówiłeś waćpan kiedyindziej — przerywa mu Wołodyjowski — że to było w Galacie? W Galacie — Zagłoba na to — było swoją drogą, a w Krymie swoją. Bo jeżeli myślisz, że się w Galacie świat kończy, to chyba nie wiesz, gdzie pieprz rośnie..." Pan Wołodyjowski wcale tego nie myślał, ale Zagłoba zawsze, przychwycony na łgarstwie, skręca w bok i atakuje przeciwnika.

Gdzie zaś nie walczył, kogo nie zwyciężył! Śmierć Gustawa Adolfa wziął na siebie (ale mówił o tem ze skromnością, raczej kazał się domyślać), znał się z wszystkimi, co najpierwszemi osobami w Rzeczypospolitej, do szkoty z niemi chodził, wodzom udzielał rad (dzięki nim to właśnie odnosili zwycięstwa). Ale czy tylko na Rzeczpospolitą rozciągały się jego znajomości?... Przecie go i chan krymski okrutnie miłował za to, że spisek na jego szyję odkrył, gdy w niewoli w Krymie siedział! że już nie wspomniemy o innych miłościach tam na Krymie, bo pan Zagłoba za młodu gładysz był (dotychczas są przecież ślady piękności), na lutni pięknie grał, a wiersze takie układał, że mógł zapędzić w kozi róg pana Kochanowskiego!

Chwalić się, o zasługach swoich opowiadać nie lubi pan Zagłoba, ale opowiadać musi, przez wzgląd na drugich, by im dobry przykład dać i do cnoty zachęcić. Jak to pięknie przemawia z cokołu na dziedzińcu w Kiejdanach: „Mości panowie! ...Kto nie słyszał o Zagłobie, ten widać czasu

pierwszej kozackiej wojny groch łuszczył, kury macał albo cieleńta pasał, czego po tak zacnych kawalerach się nie spodziewam... Słuchajcie, mości panowie! Starym kościom chciało się wypoczynku. Lepiejby mi było po piekarniach się wylegać, twaróg ze śmietaną zjadać..., albo ręce w tył założywszy, nad żniwami stać lub dziewczki po łopatkach poklepywać. Pewnie i nieprzyjacieli byłby mnie dla własnego dobra ostawił w pokoju, bo i Szwedzi i Kozacy wiedzą, że mam rękę przyciężką i dałby Bóg, aby moje imię tak było znane waćpanom, jak hostibus jest znane..." i t. d.

Jak to tam było istotnie, to już sprawa inna. Przypominamy sobie, że przed bitwą z Krzywonošem dopytywał się pan Zagłoba Skrzetuskiego skwapliwie, ilu żołnierzy wiedzie wódz kozacki, a gdy usłyszał, że sześćdziesiąt tysięcy, syknął „o, do diabła!“ Co prawda nie dlatego, iżby się bał, poprostu oddech miał krótki i nie lubił „tłoku“, a wiedział w dodatku, że „żadnego respektu od tych łajdaków spodziewać się nie można“. Podobnie nie lubił, by mu wspomniano o Bohunie. Kiedy Rzędzian chcąc mu pochlebić, odezwał się: „O mój jegomość, a jak on jegomości wspomina, to aż skry zębami krzesze“, pan Zagłoba wpadł w nagły gniew. „Idź do diabła — krzyknął — co mi tu będziesz bredził!“ Umiął też w rozmowie z Bohunem, przed pojedyńkiem tegoż z panem Michałem, gdy tylko watażka się zbliżył, zasłonić się szybko plecyma Wołodyjowskiego. Tak bliskości Bohuna nie znoślił. Pod Konstantynowem, gdy już musiał ruszyć z innymi, boby go strатовano, pędząc, powtarzał w myśli: „Na nic fortele! na nic fortele! głupi wygrywa, mądry ginie. Potem ogarnęła go złość na wojnę, na Kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kląć — i modlić się...“ Ale oddajmy mu sprawiedliwość. Kiedy otworzył oczy (bo przymknął je wprzód) i ujrzał kosa, cepy, szable, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wą-

sów, a wszystko drgające, skaczące, wściekłe, „wtedy porwała go ostatnia pasja na tych nieprzyjaciół, że nie uciekli do diabła, że leżeli w oczy i zmuszali go do bitwy. Chcecie, to macie! — pomyślał — i zaczął ciąć ślepo, na wszystkie strony... Jednocześnie uczuł, że jeszcze żyje, i to dodawało mu nadzwyczajnie otuchy. Bij! zabij! — ryczał jak bawół“. Tak więc w desperacji budziła się w panu Zagłobie odwaga — gdy już nie można było inaczej, poczynął rąbać (klnąc) i wtedy siał spustoszenie nielada. Kłąć umie nadzwyczajnie: „Żeby ich parchy zjadły, cały ten ród arcy-pieski! żeby z ich bebecchów poganie cięciwy pokręcili! Bóg stworzył wszystkie nacje, ale ich djabeł, takich synów, sodomitów! Bodaj im wszystkie ich maciory zjałowiły“, „bodaj im gardziele owrzodziły“ i t. d.

Ma pan Zagłoba jedno zmartwienie: oto „złość ludzka“ nieraz go „o miłość do gorących napojów posądzała“, a on pić nie lubi. Gdy co pół minuty woła „miodu! panie Michale!“, toć oczywiście czyni to dla kompanji, przy której, jak wiadomo, i śmierć miła. Albo te posądzania o żarłoczność! Także złość ludzka... Jakże! na księdza miał wokację „jako człek spokojny i wstrzemięźliwy“, byłby z pewnością został kanonikiem, nieszczęściem z młodu podobały mu się podwiki...

Klejnot szlachecki ceni wysoko pan Zagłoba, zaszczyt robi Kozakom, pijąc z nimi (za ich pieniądze). Szlachectwo to nie byle co, szlachcic magnatowi jest równy! W innych krajach są podobno między szlachtą różnice, „ale parszywa też to szlachta“. Można pojąć różnice między psami, jako są „legawcy, charty misterne, lub ogary“, ale „uważ, panie Michale — mówi do Wołodyjowskiego — że ze szlachtą nie może tak być, bobyśmy psubratami nie szlachtą byli“. Na „chamów“ patrzy oczywiście pan Zagłoba z góry, pasja go porywa, że chamstwo (Kozacy) porwali za broń. „I powiedz waćpan, o co tym złodziejom chodzi? Nie siedziałby to

każdy psu brat lepiej w domu? nie robiłby spokojnie pańszczyzny? Co my winni, że nas Pan Bóg szlachcą a ich chamami stworzył?...“ Gdy w Rozłogach, przytknąwszy garncówkę trojnika do wąsów i przychyliwszy głowę w tył, pije bez wytchnienia — do dna, a Kozacy się dziwią, „baczysz ty, trastia jeho mordowała“, pan Zagłoba, skończywszy, mruczy „o! wcale niezły, odstały. Zaraz widać, że niezły. Szkoda takiego miodu na wasze chamskie gardła“. A gdy skosztował miodu na weselu bondarówny Kseni, wargami młaskając, „zdziwienie, ale i oburzenie odbiło się na jego twarzy: Co to za czasy — mruknął. — Chamy taki miód piją. Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz?!“

„Skurczybyki, psie chwosty, pieskie dusze“ i t. p., to częste wyrażenia w ustach pana Zagłoby, ale nie należy z tego wnosić, by pan Zagłoba nie potrafił wystąpić z mową niebyłe jaką, ozdobną! Pamiętamy przecie, jak to górną przemówił w obozie pod Białymstokiem, gdy go regimentarzem obrano: „Choćby kto w niezbrodzonym chciał prawdziwą utopić zasługę oceanie, albo niebotycznymi przysypać ją Karpatami, przecie ona, jakoby oleju przyrodzenie mając, na wierzch wypłynie, z pod ziemi się wydobędzie, ażeby do oczu ludzkich powiedzieć: Jam jest, która się światła nie wzdragam, sądu nie lękam, nagrody czekam. Ale że jako drogi kamień w złoto, tak cnota w modestję powinna być oprawiona, przeto pytam was, mości panowie, stojąc tu przed wami: zalim się ze swemi zasługami nie krył? zalim się przed wami chwalił?...“ Co prawda, nie wytrwał pan Zagłoba w tych zwrotach ozdobnych, bo kiedy zapął w nim wzrósł, począł krzyczeć głosem grzmiącym: „Dla Boga, mości panowie! Proroctwa mnie wspierają! Zgody jeno, a pobijemy tych szelmów, pludrów, pończoszników, rybojadów i innych wszarzy, brodańjanów, kozuszników...“ i t. d.

„Forte! to królestwo Zagłoby. Potrafi i kniaziównę uprowadzić i drogę zmylić i za dida się ustroić i umknąć

w szatach Rocha Kowalskiego i Wołodyjowskiego wywabić z klasztoru. Jego chytryść większa jest od gwałtowności Bohuna, złości Radziwiłła. Tę swoją przewagę on zna. „Ulissesem mię zwano za młodu” — mówi skromnie.

Ale Zagłoby kpiarza, tchórza, opoja i łgarza trudno jednak nie kochać. Złote bo serce bije u tego męczennika tureckiego. Jak przywiązał się do Heleny, jak rozpaczał na wieść o jej rzekomej śmierci, jak szalał z radości, gdy dowiedział się, że żyje, jaki grom uderzył w niego na widok zwłok Podbiپیęty, z jakim istotnem męstwem niepohamowanem rzucił się wówczas na zastępy kozackie, jak strasznie przeboleł śmierć Wołodyjowskiego. To też Zagłobę z czasem poczyną szanować otoczenie, ba, poczyną szanować sam czytelnik. Przetworzył się „miles gloriosus” obcując z ludźmi zacnymi, zatracił niektóre cechy ujemne (z pewnością nie bratałby się już z żadnym Bohunem), a rozwinął w sobie cechy dodatnie, tak że w „Panu Wołodyjowskim” nawet ważne figury z panem Zagłobą się liczą, bo polityk-wesołek stał się politykiem na serjo.

Nie wyczerpaliśmy wszystkich znamion Zagłoby (jego patryjotyzm, a równocześnie skłonność do rebelji, czułość na pochlebstwa, zdolność przenikania wnętrza ludzkiego, n. p. Lubomirskiego i t. d.) — taka to natura naprawdę bogata, arcydzieło sztuki pisarskiej Sienkiewicza i prawdziwa, wielka ozdoba Trylogji, w którą wnosi pierwiastek humoru i wesela.

Inne postaci humorystyczne nie są już tak złożone. Do bardziej złożonych należy jeszcze Rzędzian. Frant to kuty na cztery nogi. Umie się przyczaić, udać przyjaciela Bohuna i doprowadzić do tego, że towarzysze Skrzetuskiego uwolnią kniaziównę z bohunowej niewoli za bohunowem pozwoleniem, na burłajowych koniach. Z poselstw sprawia się pysznie, wie, co powiedzieć, co przemilczeć, jak się gdzie zachować. Jego chciwość jest zdumiewająca, a bez-

czelność, z jaką się doprasza o upominki, wyjątkowa. Nic to, że na poczekaniu przemówi się u Skrzetuskiego o pas, konia, trzos, on i Burlajowi nie daruje i, udając bohunowego wysłańca, skorzysta ze sposobności i odezwie się „i hroszy mało daw nam ataman, bo sam ne maw“. Zgarnia też, gdzie może i co może, kupuje łupy u Kozaków i dochodzi do niemałego mienia. Na pozór Bogu ducha winien, zawzięty jest niestychanie; zaprzysięga sobie, że musi na Bohunie pomsty poszukać za swą krzywdę i pohańbienie. Bo szlachcic on jest, znieważać się nie pozwoli, honor szlachecki zna: nie pchnął nożem Bohuna rannego, bezwładnego — on go zdrowego poszuka. Wzrusza nas jego wierność, przywiązanie do pana: niechce opuścić Skrzetuskiego jadącego na Sicz prawie na pewną śmierć, buczy jak dziecko. A jak bawimy się nim, gdy go oglądamy jako pana „starostę“, co to za mina, jaki ton protekcyjny! Jest to „szelmowski“ typ sympatyczny — Zagłoba przepowiada mu, że będzie wisiał, co się nie sprawdza, bo tacy nie wiszą.

Słodycz i męstwo niebywałe to znów cechy innej postaci humorystycznej, pana Longina Podbiپیęty. Podziwiamy jego wzrost, jego miecz krzyżacki, rozmiarów nadzwyczajnych, jego nieśmiałość, jego dobroć niespotykaną, zdolność do wzdychań. Ale obaczmy go na polu walki, jak łamie zioobra Półjanowi, jak jednym straszliwym zamachem ścina trzy głowy pogańskie, jak szaleje na swej kobyle inflanckiej, przecinając ludzi na pół! Bohater to nad bohater! Na jego słodyczy można się zwieść, bo wobec wroga ona znika. Podjął się postowania do Chmielnickiego i tak o tem opowiada towarzyszom: „Zastałem hetmana pijanego. Przyjął mnie jadownice i buławą groził — a ja, polecając pokornie duszę Bogu, tak sobie myślałem: już też, jeśli mnie tknie, tak mu pięścią głowę rozbiję. Co było robić, braciaszki kochane, co?“ A Półjanowi, gdy się z nim zwał w śmiertel-

nym uścisku zapaśniczym, na prośbę „puskaj“, odpowiada: „nie... braciaszku“, przygniata silniej i łamie mu ziobra. Poczem podnosi go z kulbaki, przerzuca go na swe siodło i wraca spokojnie do swoich. Ten rycerz, na poły śmieszny, na poły straszny, wzniosłym stałe się z chwilą, gdy podejmuje się przeprawy przez obóz nieprzyjacielski i gdy, broniąc się jak lew i odmawiając litanję do Najświętszej Panny, ginie od strzał tatarskich.

Humorystyczną postacią (ale w najzupełniej innym rodzaju) jest Roch Kowalski, syn Rocha, rzekomy siostrzan Zagłoby, któremu mówi „wuju“, nieprawdopodobnie głupi, umiejący spać przez 48 godzin zrzędu, siłacz nad siłacze, w polu nieustraszony. I jego śmierć (ginie z ręki Karola Gustawa, któremu „ślubował“) jest niezmiernie wzruszająca.

Świetnymi postaciami humorystycznymi są Kiemlicze, ojciec i synowie, Kosma i Damian, zbóje, udający niewiniątka. Wymknęli się z Częstochowy oblężonej, bo tam o łup było trudno, znaleźli się poza murami. „Myśleliśmy — mówi stary Kiemlicz do Kmicica — że, będąc w pobliżu, można się będzie świętym zakonnikom i waszej miłości przysłużyć. Jakoż się zdarzyło. My przeciw fortecy nie służyli, niech nas Bóg broni! żołdu nie brali, chyba się coś przy Szwedach znalazło. Jakto przy Szwedach? — pyta Kmicic. Bo my chcieli — odpowiada Kiemlicz — choć i za murami Najświętszej Pannie służyć... „więceśmy nocami koło obozu jeździli, albo i we dnie, jak Pan Bóg dał, i jak się który Szwed pojedynczo popadł, to my go... tego. Ucieczko grzesznych!... my go... Pralim! — dokończyli Kosma i Damian“. Tak to i było, a potem z ojcem wiedli spory o łup, przyczem stary im groził, że bez błogosławieństwa pomrą.

Humorystyczne rysy ma Charłamp z nosem ponad wyobraźnię, a nie brak ich i Zamojskiemu i miecznikowi Billewiczowi i Soroce i Baŝce i samemu nawet Wołodziejowskiemu. Wogóle jednak u osób głównych, na planie pierw-

szym pomieszczonych (Skrzetuski, książę Jeremi, Bohun, Kmicic, Radziwiłłowie...) rysów humorystycznych nie spotykamy. Postaci humorystyczne, to — (inaczej niż w „Panu Tadeuszu“) osobne królestwo, w którem berło dzierży Zagłoba, mając przy boku Podbiłę, Rzędziana i Rocha.

Humor i hymn na cześć bohaterstwa — to jakby dwie struny, dwa tony, dźwięczące w całej „Trylogji“, a raczej odwróćmy porządek: hymn na cześć bohaterstwa i humor. Bo postaci humorystyczne (i sceny — o których później) zajmują mniej miejsca i mniej narzucają się wyobraźni czytelnika, niż postaci i sceny przepełnione żywiołem bohaterskim.

Sienkiewicz kocha się w postaciach silnych, silnych duchem (Skrzetuski, książę Jeremi, królowa Marja Kazimira, Czarniecki, ks. Kordecki...), ale i ciałem (Podbiłę, Roch Kowalski), nie znosi przeciętności. Zajmie go postać nawet wielka w zbrodni i wyrzeźbi ją nadzwyczajnie (Chmielnicki, Janusz Radziwiłł), postać małą (Opaliński, regimentarze, Rzechowski) ledwie pokaże, już ją usuwa sam albo przy pomocy któregoś z osób powieści (Kuklinowskiego ekspedjuje Kmicic, posługując się kolanem).

Kult siły widać w zamiłowaniu, z jakim Sienkiewicz kreśli zapasy ludzi o olbrzymiej sile mięśni, ramienia (Skrzetuski i Burdabut, Longinus i Półjan, Roch i dwunastu siłaczy), ale w zapasach tych, prawie zawsze, chodzi nietylko o to, czy zwycięży silniejszy, ale i o to, czy wyjdzie to na korzyść sprawie Rzeczypospolitej. To też na harce pod Konstantynowem, na bohaterski pojedynek pod Machnówką patrzymy nie z tem uczuciem, z jakim spogląda widz na zmagania się siłaczy, lecz z troską i z gorącym życzeniem, by zwycięstwo przypadło w udziale przedstawicielowi dobrej sprawy.

Szczyt owych walk, to w „Ogniem i mieczem“ bój pod Zbarażem, w „Potopie“ pod Częstochową, w „Panu Woł-

dyjowskim“ pod Kamieńcem. Wszędzie obleżenie, wszędzie słabsze siły polskie walczą z potężniejszym wrogiem i wszędzie (choć Kamieniec pada) rycerstwo polskie okrywa się sławą nieśmiertelną.

A cóż za moc niezmierna w kreśleniu obrazów bitew, co za plastyka. Oto pod Zbarażem... „Pułki (kozackie) pchały się *jedne za drugimi*“, na ich czele „sam Chmielnicki — w ogniu, *jak szatan czerwony*, szeroką pierś na kule wystawiający z *twarzą lwa, okiem orła* — w *chaosie, dymie, zamieszaniu, rzezi i zwichrzeniu, płomieniach* na wszystko baczny...“ (Przez nagromadzenie wyrazów: w chaosie, dymie, rzezi i t. d. osiąga autor to, że wyobrażamy sobie okropność bitwy, jakąś potworną plataninę). A dalej: „Ilu ich (Kozaków) padło, nim doszli na koniec do fosy..., któż opowie!... Lecz doszli i przeszli i poczęli się drzeć na wały. Wówczas rzekłbyś że ta noc gwiaździsta, to noc sądu ostatecznego. Działa, nie mogąc tłuc bliższych, *ryczały* ogniem na dalsze szeregi. Granaty, kreśląc łuki *ogniste* po niebie, leciały z *chychotem piekielnym*, czyniąc w *ciemnościach dzień jasny*. Piechota niemiecka i polska łanowa, a obok niej... dragoni książęcy, leli wprost w twarze i piersi młojców *płomieni* i ołów“. (Odbieramy wrażenia słuchowe: działa *ryczały*, granaty leciały z *chychotem piekielnym*, i wzrokowe: łuki *ogniste*, w *ciemnościach dzień jasny* i t. d.). A jeszcze dalej: „Pierwsze szeregi (kozackie) chciały się cofać, a pchane z tyłu nie mogły. Krew bluzgała pod stopami następujących. Wały stały się śliskie, obsuwały się po nich nogi, ręce, piersi. Oni darli się na nie, spadali i znów darli, przykryci dymem, czarni od sadzy, kłuci, rąbani, gardząc ranami i śmiercią. Widziałeś ludzi, jakby nieprzytomnych z wściekłości, z wyszczerzonymi zębami, z twarzą zalaną krwią... Żywi walczyli na drgającej masie pobitych i konających. Nie było już słychać komendy, jeno *krzyk* ogólny, straszny, w którym ginęło wszystko: i *grzechot* strzelb i *charczenie* rannych i *jęki* i *syk* granatów...“

To obraz przerażających zapasów mas. Ale są i ludzką wiarę i miarę przechodzące czyny jednostek. Oto straszny czworobok kozacki, oto mur włóczni, a ile ostrz, tyle śmierci grozi rycerzom. Któż mur ten złamie? „Wtem jakiś husarz-*wielkolud* dopada w niepowstrzymanym pędzie do ściany czworoboku: przez chwilę widać kopyta *olbrzymiego* konia zwieszone w powietrzu — następnie rycerz i rumak wpadają w środek ścisku, druzgocąc włócznie, przewalając ludzi, łamiąc, miażdżąc, niwecząc. Jak *orzeł* spada na stado białych pardew, a one, zbite przed nim w lękliwą kupę, idą na łup drapieżnika, który rwie je pazurami i dziobem — tak pan Longinus Podbipięta, wpadłszy w środek nieprzyjacielskich szyków, *szalał* ze swym zerwikapturem. I nigdy *trąba powietrzna* nie czyni takich spustoszeń w młodym i gęstym lesie, jakie on czynił w ścisku janczarów. *Straszny* był: powstać jego przybrała *nieczłowiecze* wymiary; kobyła zmieniła się w jakiegoś *smoka*, ziejącego płomień z nozdrzy, a zerwikaptur *troił* się w ręku rycerza. Kisler-Bak, olbrzymi aga, rzucił się na niego i padł *przecięty na dwoje*. Próżno co cięższe chłopcy wyciągną ręce, zastawią mu się włóczyniami — wnet mrą, *jakby rażeni gromem* — on zaś tratuje po nich, ciska się w tłum największy i, co machnie — rzekłbyś: kłosa pod kosą padają, robi się pustka, słyszać wrzask przestachu, jęki, grzmot uderzeń, zgrzyt żelaza o czaszki i chrapanie piekielnej kobyły...” Takich obrazów walk, takich postaci olbrzymich, nadludzkich a bohaterskich nie znała przed Sienkiewiczem literatura polska, on dopiero wniósł do piśmiennictwa ów pierwiastek heroiczny w całej pełni. Przypominają się nam zapasy, opiewane przez Homera: dzieła Hektora i Achillesa...

A każda bitwa (jak dawno już na to zwrócono uwagę) jest u Sienkiewicza inna, choć każda skreślona z niezrównanym mistrzostwem. Zawsze zdajemy sobie sprawę z planu bitwy, widzimy rozmieszczenie wojsk, stanowiska wodzów,

atak, zmaganie się mas, czyny jednostek. Klęski wojsk polskich niechętnie maluje Sienkiewicz, nie pomija ich, pominąć nie może, ale obrazu szczegółowego nie rozłącza i najczęściej każe krótko opowiedzieć komuś o przebiegu fatalnej walki (Wierszu opowiada o Piławcach, Stanisław Skrzetuski o zdradzie pod Ujściem, Wołodyjowski o przegranej pod Warszawą). Strasznej klęski hetmanów pod Korsuniem nie pozwala nam Sienkiewicz oglądać wprost, lecz tylko pozwala nam widzieć to, co Skrzetuski słyszał i oglądał na rynku korsuńskim: zrazu ucieczkę czerni, potem Kozaka wołającego: Chmiel bije Lachów! Pobyły jasno welmożny pany... potem jeńców polskich, otoczonych oddziałem Tatarów, a potem... „Nagle (Skrzetuski) cofnął się w tył, rękoma począł bić powietrze, jak człowiek trafiony strzałą w piersi, z ust zaś wyrwał mu się krzyk straszny, nadludzki: Jezus, Marjo! to hetmani!...“ Niewiadomo, czy Sienkiewicz dlatego zakrył przed nami całość straszego obrazu, że przed malowaniem go wzdragało się jego uczucie polskie, ale to pewna, że bardziej nami wstrząsnąć nie mógł, jak każąc nam podzielać uczucia Skrzetuskiego na widok *ostatecznego wyniku* rozprawy.

Wstrząsa nami, wzrusza nas Sienkiewicz w „Trylogji“ ustawicznie. Niema rozdziału, przy którego czytaniu nie zabiłoby nam serce żywiej, czasem ze wzruszenia odkładamy książkę, czasem czytamy z wypiekami na twarzy, czasem siłą musimy panować nad sobą, bo czujemy, że powieki wilgotnieją nam coraz bardziej. Środki wzruszeń — niektóre te same, co w nowelach, przeważnie jednak różne i liczniejsze.

Dawniej si aulorowie, jeśli nie wzruszali, to zaciekawiali nas tajemniczością akcji, wprowadzali postać, nie mówiąc, kim ona, przedstawiali jakieś działanie jednostki, nie mówiąc, jaki cel tego działania. Sienkiewicz środkami temt posługuje się rzadko, niemal wyjątkowo, a tajemnicę wnei odsłania. Pamiętamy początek „Ogniem i mieczem“, zjawienie

się nieznanych postaci, walkę na stepie (niezrozumiałą dla nas), tajemniczego szlachcica, uwolnionego od arkana. Ale wnet dowiadujemy się, że ten szlachcic to Chmielnicki, a jego oswobodziciel — Skrzetuski. Podobnie przez chwilę tylko pozostawia nas autor w niepewności, czy dwaj jeźdźcy, opuszczający nocą Rozłogi, to Zagłoba i Helena, lub kto stanowi orszak posuwający się w pogodną noc na prawym brzegu Waładyнки.

Natomiast innych środków, mających silnie wstrząsnąć wyobraźnią czytelnika, a znanych także dawniejszym autorom, używał Sienkiewicz bardzo chętnie.

Więc na przykład: trwożymy się przez czas jakiś (u Sienkiewicza zawsze krótko), o los bohatera — nie wiemy, zginął, czy ocalał? Tak wówczas, gdy Skrzetuskiego, dążącego na Sicz, napadli Kozacy i Tatarzy. „Żywych brać do atamana! — wrzeszczały głosy w tłumie — poddaj się! Ale pan Skrzetuski poddawał się tylko Bogu, bo oto poblądł nagle, zachwiał się i runął na dno statku... Ruchliwa masa napastników pokryła czajki zupełnie“. Następny rozdział zaczyna się sceną między Zacharem a Tatarczukiem na przedmieściu Hassan Basza w Siczy i pozostawia nas przez czas jakiś w niepewności o tem, co się stało ze Skrzetuskim. Podobnie nie wiemy, czy Kmicic, gdy przy obronie króla padł i gdy go zakryła fala rajtarji szwedzkiej, zginął, czy może przez cud jakiś żyje jeszcze?

Albo: wszystko już układa się dobrze, spokojniśmy już o losy osób, o które nam chodzi — wtem zjawia się nagle niebezpieczeństwo, i nie podobna przewidzieć, czy na tok wypadków nie wywrze ono wpływu stanowczego. Skrzetuski wraca z Siczy, dąży do Rozłogów do Heleny, jar się otwiera i — nagle krzyk nieludzki, straszny wyrывa się z piersi rycerza: dwór, lamusy, wszystko znikło, błądy księżyc oświeca wzgórze, a na niem kupę czarnych zgłiszcz... Skrzetuski ma już dążyć do Baru, by połączyć się z He-

leną, wtem wśród uczty zjawia się jakieś posępne widmo — oficer książęcy, a na zapytanie: jakie nowiny, odpowiada dziwnym głosem: bardzo złe. Co się stało? Bar... wzięty! Później znów ma już rycerz jechać za Jampol, bo tam Helena przez Bohuna ukryta — Wierszuł donosi o strasznej klęsce pod Piławcami, wszystko stracone, Helena oddzielona morzem buntu... Kmicic już pojednał się z Oleńką, hetman zdradza i porywa z sobą w toń Kmicica, Oleńka woła: precz... zdrajco! i t. d.

Ale bywa także nagłe ocalenie. Helena w Rozłogach, zda się, już zgubiona, już w mocy Bohuna — ocala ją Zagłoba, Kmicic pod Częstochową już w rękach oprawcy Kuklinowskiego — ocalają go Kiemlicze, król w Karpatach tuż tuż ma popaść w niewolę szwedzką — ocalają go górale, Zagłobie, pojmanemu przez Bohuna, grozi niechybna śmierć — ocala go Wołodyjowski i t. d.

Ale to są środki wzruszenia, wynikające ze sztuki pisarskiej, ze sposobu prowadzenia akcji. Nie mówią nam one nic o tem, jakie objawy w życiu, jakie uczucia, jakie charaktery przemawiają najsilniej do duszy autora. Wszelako w „Trylogji“ znajdziemy odpowiedź i na te pytania. Po części odpowiedzieliśmy już nawet na nie. Widzieliśmy, że autora wzruszają objawy bohaterstwa (oczywiście wzruszają one i czytelnika). Bohaterstwo to zaś jest dwojakie albo na polu walki z mieczem w dłoni, albo pasowanie się wewnętrzne. Pasuje się z sobą Skrzetuski, pasuje się książę Jeremi, gdy w nocy rozmawia z Chrystusem, a Chrystus milczy taki bolesny, jakby go przed chwilą rozpięto, pasuje się Kmicic, gdy stojącemu u wrót szczęścia rozkaz hetmański każe iść na nową wojnę. To są owe bohaterstwa ciche, walki stoczone w duszy własnej, z namiętnościami własnemi, zwycięstwa nie mniejsze, niż orężne.

Wzrusza nas autor klęskami Rzeczypospolitej (Skrzetuski widzi na wale polskim chorągiew z archaniołem, het-

manów w niewoli, w Kamieńcu jakiś głos okropny woła: nad bramami białe chorągwie, poddajem się...) i triumfami oręża polskiego (Zbaraż, Częstochowa i t. d.). O tem już była mowa.

Ale są i inne rodzaje wzruszeń.

Więc groza. Przypomnijmy sobie tylko okropną scenę mordu Kurcewiczów, mordu Tatarczuka i Barabasza, albo to, co widzi Skrzetuski, wracając z Siczy: „Między ogniami... leżały tu i ówdzie ciała pomordowanych kobiet..., lub sterczały piramidki z głów, uciętych po bitwie zabitym i ran-nym żołnierzom. Ciała owe i głowy poczynaly się już psuć i wydawać zgniły zapach... Okapy domów przybrane były wisielcami..., a tłuszcza bawiła się, czepiając się nóg wisiel-ców i huśtając się na nich... Młodzi wojownicy zabawiali się strzelaniem dla wprawy z łuków do jeńców słabszych lub chorych, którzyby nie mogli wytrzymać długiej drogi do Krymu. Kilkadzieśiat ciał leżało wyrzuconych już na drogę i podziurawionych jak siła; niektóre z nich drgały jeszcze konwulsyjnie...” Przypomnijmy sobie pomordowaną kmici-cicową kompanję, straszny skon starszego Nowowiejskiego, obłęd jego syna...

Kilkakrotnie wzrusza nas autor (nie przerażając, lecz pobudzając do łez, jak w Nowelach) obrazem śmierci osoby szczególnie przez czytelnika umiłowanej, najsilniej obrazem śmierci Podbięty. Oto na widok łuków i strzał „poznał pan Podbięty, że zbliża się godzina śmierci i rozpoczął litanję do Najświętszej Panny. Uczyniło się cicho. Tłumy zatrzymały dech, oczekując, co się stanie. Pierwsza strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: Panno wsławiona! i utkwiała mu w ramieniu. Słowa litanji mieszały się ze świstem strzał. I gdy pan Longinus powiedział: Gwiazdo zaranna!, już strzały tkwiły mu w ramionach, w boku, w nogach... Krew ze skroni zalewała mu oczy... Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada

mu na piersi... nakoniec ukląkł. Potem, nawpół już z jękiem, powiedział pan Longinus: Królowo Anielska! — to były jego ostatnie słowa na ziemi. Aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją, jako perłę jasną, u nóg „Królowej Anielskiej“...

W śmiertelnej chorobie Basi działa wstrząsająco na czytelnika (jak w Nowelach) widok cierpienia bliskich, (Wołodyjowskiego, Zagłoby). Wołodyjowski sądząc, że trupa już tylko żony trzyma w objęciach, poczyną „ryczeć okropnym głosem“, Zagłobie dolna warga poczyną się trząść, nagle chwyta się rękoma za głowę, a tłumione łkania poruszają jego pierś.

Czasem autor stwarza takie położenie, w którym czytelnika wzrusza głównie to, że dzięki zbiegowi dziwnych okoliczności, podejrzeniom, jasno się tłumaczącym, między dwojgiem osób kochających się powstaje waśń; ta przechodzi chwilowo jakby w nienawiść, a wiedzie do tragicznych zawikłań. Taki jest stosunek Oleńki do Kmicica, a najstraszniejszą w tym stosunku jest chwila, kiedy Kmicica prowadzą na śmierć, Zagłoba wyraża głośno przekonanie, że pewno i Oleńka nawet nie ujmie się już za nim, Oleńka blada śmiertelnie, nieruchoma, milczy, a ciszę przerywa głos Kmicica: Ja tej panny o instancję nie proszę...

Wzrusza nas autor szczęściem, nagrodą, jaka spotyka bohatera powieści. Szczytem w tym względzie jest w „Trylogii“ scena w kościele, kiedy to Lauda wraca, groźne marsowe postaci wkraczają do świątyni, rozlega się płacz powszechny, ksiądz czyta list królewski, wynoszący nieśmiertelne zasługi Kmicica, on siedzi w ławce jak Łazarz, bez kropli krwi w twarzy, z przymknionymi powiekami, a wtem Oleńka chwyta jego rękę i składa na niej pocałunek serdeczny.

Wzrusza nas autor (jak w Nowelach) obrazem wiary gorącej, uniesienia religijnego (w kościele, przed

obrazem Matki Boski Częstochowskiej), nagłemi przejściami od grozy do obrazka pełnego pogody (klasztor częstochowski zalewany ogniem dział szwedzkich — nazajutrz rankiem przed bramą chłopina na saniach, zabijający ręce, z podarkiem dla klasztoru. A Szwedzi?... „Nima już nijakich Szwedów“).

Stale (znów jak w Nowelach) wzrusza nas Sienkiewicz, malując uczucia miłosne, cierpienia (Skrzetuskiego, Kmicica, Wołodyjowskiego), w miłości mające swe źródło, uniesienia miłosne po przezwyciężeniu przeszkód. Miłość to o dwojakim charakterze, zawsze budząca się nagle, ale albo „szlachecka“, co to zaraz każe kukułce wykukać liczbę chłopczysków i woła „aj, aj! co to za oczki, jakie liczko! ratujcie mnie wszyscy święci, bo nie usiedzę!“, albo rycerska, dworna (jak u Ketlinga), wylewająca łzy, z miesiącem mówiąca, szepcząca słowa cudne a słodkie.

Bogactwo wzruszeń jest więc u Sienkiewicza bardzo znaczne. Ale ażeby czytelnikiem mogła wstrząsnąć groza, trwoga, lęk, by mógł poddać się smutkowi, uczuciu litości, by mógł stale współczuć z cierpieniem, potrzeba, by groza, smutek i cierpienie nie panowały wszechwładnie, by czytelnik mógł odpocząć — i temu celowi służą w „Trylogii“, obok postaci humorystycznych, sceny humorystyczne.

Jest ich mnóstwo, nie sposób ich wyliczać. Więc w Rozłogach, kiedy Zagłoba pyta rannego Bohuna, czy nie mógłby mówić, krzyczeć ani się ruszyć, i otrzymawszy oczyma odpowiedź, że nie mógłby, pociesza go: „To i lepiej, bo nie będziesz ani mówił, ani krzyczał, ani się ruszał, a ja tymczasem do Łubniów pojadę. Jeśli ci jej (Heleny) nie zdmuchnę, to się pozwolę starej babie na osypkę w żarnach zemleć“. A teraz następują nauki moralne: „Jak to, łajdaku? myślisz, że nie mam dość twojej kompanji, że się będę dłużej z chamem pospolitował? O niecnoto, myślałeś, że dla twego wina, twoich kości i twoich chłopskich amo-

rów, zabójstwa będę czynił?... Czego ślepie wytrzeszczasz, jak kot na sperkę?" i t. d. A przy przeprawie z kniaziówną promem? „Miejsce dla dziada, miejsce dla dziada — krzyczy Zagłoba — miejsce dla dziada, dobrzy ludzie, lube mołojcy, żeby was czarna śmierć wydusiła, was i dzieci wasze! Nie widzę dobrze, wpadnę w wodę, pacholę mi utopicie. Ustąpcie, ditki, żeby paraliż powyrząsał wam wszystkie członki, żebyście polegli, żebyście na palach pozdychali! Tak wrzeszcząc, klnąc, prosząc i rozpychając tłum swemi potężnemi łokciami, wepchnął naprzód Helenę na prom, a potem, wygramoliwszy się sam, zaraz począł znowu wrzeszczeć: Dosyć już was tu, czego się tak pchacie, prom zatopicie, jak was tyle się tu napcha. Dosyć! dosyć! przyjdzie kolej i na was, a jeśli nie przyjdzie, mniejsza z tem..." Nadzwyczajna jest scena napadu na uczestników wesela Bondarówny Kseni („jeno nie myślcie, bym wam folgował, gdy wypiję!"), scena z Zagłobą w chlewie, ucieczki przed Tatarami i t. d.

A rozmowa z Rochem Kowalskim na wozie! Zagłoba wparł już w niego, że jest jego wujem, a teraz zachęca go, by go puścił wolno wraz z innymi jeńcami. Na co Roch: „Ał, co wuj gadasz?... Pókim żyw, nie będzie nic z tego". Nie to nie — rzekł Zagłoba — chociaż pierwaj byłem twym wujem, niż Radziwiłł twoim hetmanem. A czy wiesz ty, Rochu, co to jest wuj? „Wuj to wuj!" Bardzoś to roztropnie wykalkulował, ale przecie, gdzie ojca niema, tam, pismo mówi, wuja słuchać będziesz... Bo nawet i to zauważ, że kto się ożeni, ten snadnie ojcem być może; ale w wuju płynie ta sama krew, co w matce. Nie jestem ja wprowadzie bratem twojej matki, ale moja babka musiała być ciotką twojej babki; więc poznaj to, że powaga kilku pokoleń we mnie spoczywa... Co prawda, to święte! Ma-li hetman wielki, czy też, dajmy na to, polny, prawo nakazać, nie już szlachcicowi czy towarzyszowi, ale lada jakiemu ciurze, żeby się

na ojca, matkę, na dziada, albo na starą, ociemniałą babkę porywał? Odpowiedz na to, Rochu! Ma-li prawo? „He? — spytał sennym głosem Kowalski. Na starą ociemniałą babkę! — powtórzył pan Zagłoba, a widząc, że Roch śpi, zdjął mu hełm, zdjął opończę, zsunął się z wozu wśród ciemności, kiwnął, by mu podano rumaka, minął jadących, poczem ruszył szparkim kłusem...

Szeregu przepysznych scen humorystycznych dostarcza regimentarstwo Zagłoby, wyborna jest scena między Kmicicem a Kuklinowskim (gdy Kmicic go pyta, czy mówi z posłem, czy z człowiekiem prywatnym), świetna — audjencja u Sobiepana, gdy Zamojski ofiarowyywa królowi szwedzkiemu Niderlandy, wysoce zabawna scena z Basią na drabinie, z Wołodyjowskim u Kamedułów i t. d. i t. d.

Kto uważnie „Trylogję“ czyta, dostrzeże, że sceny humorystyczne przeplatają sceny o wysokiem napięciu wzruszeniowem, tragicznem, i tak po ucieczce Chmielnickiego mamy scenę w gospodzie Dopuła, po mordzie Kurcewiczów rozmowę Zagłoby z Bohunem, a potem całą jego pielgrzymkę w dziadowskiem przebraniu, po ciosie, jaki spadł na Skrzetuskiego, atak Zagłoby na orszak weselny, po pojedynku Kmicica z Wołodyjowskim niefortunne oświadczyiny pana Michała... To są właśnie owe chwile wypoczynku, użyczane przez autora czytelnikowi.

Wszelako owego „wypoczynku“ użyczają nietylko sceny ściśle humorystyczne, są bowiem w „Trylogji“ rozsiane (acz niezbyt licznie) i inne obrazki pogodne, bądź sielankowe, jak zabawa Zagłoby z basałkami, rozmowa Wołodyjowskiego z Pacunelkami, sanna pana Andrzeja z Oleńką, bądź obyczajowe, jak wieczerza w Rozłogach, życie na stanicz kresowej, elekcja króla i życie Warszawy podczas elekcji (zarówno w „Ogniem i mieczem“, jak w „Panu Wołodyjowskim“).

Autor, kreśląc zarówno te obrazy, jak i inne, doskonałe wniknął w ducha wieku, przez studja bowiem po-

znał wybornie czasy, które obrazował, i ludzi tych czasów. O postaciach takich, jak Radziwiłłowie, Opaliński, Sapieha, nie ma co i mówić — są to portrety historyczne, ale i Kmiciców znajdziemy w XVII wieku co nie miara, i Kurcewiczów i Nowowiejskich. A taka kniahyni Kurcewiczowa, trzymająca służbę w karbach żelaznych, zajeżdżająca zbrojno, w męskim przebraniu, sąsiadów, wyprawiająca się nawet na kupy swawolne — czyż to nie postać z XVII wieku, czyż wieku tego nie charakteryzuje? A taki Łaszcz, Czapliński?

Styl wieku stara się autor zachować wszędzie. Jakże to oświadcza się Skrzetuski? Mówi o „żołdzie“, który radby przyjmować z ust kniaziówny, potem zaś prawi o faworze, na który pragnąłby zarobić długą i wierną „służbą“ i prosi by go Helena na ową służbę przyjąć raczyła. Zupełnie tak samo oświadcza się imci pan Pasek, wspomniany już pamiętnikarz z XVII wieku, który także (za pierwszym widzeniem się) mówi do damy swego serca, że od niej „pożądane go spodziewa się żołdu“, i prosi ją, by jeśli nie ma „kompletu sług sobie potrzebnych“, nie gardziła jego „ochotą do usługi“. Stylowe są kazania na pogrzebie pana Longina, Wołodyjowskiego. Książd Kamiński bije w bęben jakby na trwogę, potem ciska pałeczki na podłogę kościelną, podnosi obie ręce w górę i woła: „Panie pułkowniku Wołodyjowski! Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum grają, wojna! nieprzyjaciół w granicach! a ty się nie zrywasz? szabli nie chwytasz? na konia nie siadasz? Co się stało z tobą żołnierzu? Zaliś swej dawnej przepomniął cnoty, że nas samych w żalu jeno i trwodze zostawiasz?...“ Tak wyglądały istotnie mowy pogrzebowe w tych czasach, zachowało się ich sporo.

Nie zapomniął też autor nigdy o wyobrażeniach ówczesnych, wierzeniach, przesądach, o wierze we wróżby i czary (Horpyna), w upiory i siromachy.

Także zewnętrzny obraz Polski tych czasów starał się odtworzyć, jej lasy i stepy, jej dwory i dworki (dwór szla-

checki w Rozłogach, dwór pański w Kiejdanach, dwór królewski — w opowiadaniu Wołodyjowskiego w „Potopie“), stancje kresowe, domy zajezdne, karczmy.

Dążył zawsze do przedmiotowości i osiągnął ją całkowicie w „Potopie“ i w „Panu Wołodyjowskim“ — w „Ogniem i mieczem“ uczucie polskie biło zbyt silnie przy kreśleniu okrucieństw czerni, byśmy sobie nie zdawali każdej chwili sprawy, że autor stoi sercem po stronie polskiej. To też, jakkolwiek postać Bohuna naprzykład rzeźbił jak prawdziwy epik, z lubością, pragnął w nim przedstawić typ i ideał watażki i nie ukryć żadnej ze stron dodatnich tego typu (zdolność do gorącej miłości, fantazji bujnej, odwagi bohaterskiej, dumy), to przecież, mówiąc o Bohunie, użył raz wyrażenia „ryczał jak dziki zwierz, krwawił ręce na własnym *krwawym łbie*“.

Naogół jednak (nawet w „Ogniem i mieczem“) najczęściej autora nie widzimy, oglądamy natomiast coraz to nowe obrazy, sceny, bitwy, przysłuchujemy się rozmowom, śmiejemy się z krotocwil pana Zagłoby. Słowem przenosimy się wyobraźnią w wiek XVII, obcujemy z tamtymi ludźmi, zżywamy się z nimi, wierzyć nam się nie chce, by taki Zagłoba lub Podbipięta byli postaciami zmyślonemi. To najwyższy triumf sztuki pisarskiej.

Czem była i jest „Trylogja“ dla Polski i Polaków? Jest to pieśń na cześć bohaterstwa, miłości ojczyzny! Jest nowiną dobrą, umocnieniem dla wątpiących, pokrzepieniem dla tych, którzy w najcięższych warunkach wiary nie stracili. Jest głosem wielkim wołającym: nie wolno wyzbywać się nadzieji! nie masz mocy, któraby nas zmogła, gdy wszystkie swe siły poświęcimy ojczyźnie i gdy iść będziemy wszyscy razem w zwartym szeregu!

III.

Ta trzecia. — Bez dogmatu. — Brak wiary, brak woli. — Płoszowski odbiciem „schyłkowców“. — Wpływ powieści. — Rodzina Połanieckich. — Typ powieści. — Bohater powieści jako przeciwieństwo Płoszowskiego. — Powrót na rolę jako teza. — Inne postaci. — Walka z kłamstwem. — Realizm.

Po „Trylogji“ pojawiła się, najnieoczekiwaniej, „Ta trzecia“, pełna humoru wprost nieocenionego. Czytając tę nowelę, śmiejemy się do łez głównie dzięki trzem bajecznym postaciom: dwom malarzom, Magórskiemu i Świateckiemu, i papie Susłowskiemu. Światecki (jak i kolega jego) to taki malarz, który nie płaci komornego. To też gospodarz jest jego zmorą straszną, ale wynalazł Światecki radę i na niego. „Kiedy gospodarz — opowiada Magórski — zwykle rano, przychodził się upominać (o czynsz), Światecki, który sypiał na sienniku na ziemi, a nakrywał się turecką firanką..., podnosił się do połowy i mówił grobowym głosem: „Dobrze, że pana widzę, bo śniło mi się, że pan umarł“. Gospodarz, który był przesądny i widocznie bał się śmierci, mieszał się zaraz nadzwyczajnie. Światecki zaś rzucił się na wznak na siennik, wyciągał nogi, składał ręce na piersiach i mówił dalej: „Takem pana widział, jak teraz, miałeś pan białe rękawiczki z za długimi palcami i lakierki; zresztą nie byłeś pan bardzo zmieniony“. Wówczas ja dodawałem z kolei: „Czasem się takie sny nie sprawdzają“. Zdaje się, że to „czasem“ doprowadzało gospodarza do desperacji. Kończyło się na tem, że wpadał w gniew, trząsał drzwiami, i słyszeliśmy,

jak schodził po cztery schody odrazu, klnąc na czem świat stoi...“ A Magórski? Także nadzwyczajny. Dostał kosza od Kazi Susłowskiej, którą, jak zaręcza, kochał szczerze. To też — spowiada się — „po odebraniu listu... chodziłem jak struty. Dopiero drugiego dnia, i to wieczorem, trochę mi ulżyło, bom sobie powiedział: nie, to nie! Nie mniej świetny jest papa Susłowski, „obywatel — urzędnik — ojciec — Rzymianin“, wierzący w swą wielkość, szermujący słowami, jak: obowiązki, przyszłość, błogosławieństwo, czyste sumienie..., czy trzeba, czy nie trzeba. Gdy ci trzej ludzie się zetkną, powstają sytuacje w najwyższym stopniu zabawne.

Ale Sienkiewicz umiał sprawiać niespodzianki. Po nowelach wystąpił z „Trylogją“ po „Trylogji“ z „Tą trzecią“, po „Tej trzeciej“ z „Bez dogmatu“.

Bohater powieści, Leon Płoszowski, nie ma żadnych dogmatów, nic nie uważa za pewne, we wszystko wątpi, w nic nie wierzy, ani w istnienie duszy, ani w życie zagrobowe, w nic. Męczy się tem i jest bardzo nieszczęśliwy. Dowiadujemy się o tem z jego pamiętnika, pisze bowiem pamiętnik, a w nim notuje z drobiazgową dokładnością wszystko, co przepływa przez jego umysł. Sprawami ogólnemi prawie się nie zajmuje, śledzi siebie. Jest bo w nim jakby dwu ludzi: jeden, który myśli i czuje, drugi, który przypatruje się temu pierwszemu, analizuje każde wahnięcie, każdy popęd, pragnienie i pół-pragnienie, uczucie i pół-uczucie.

Na tem właściwie sływa mu czas, bo naprawdę nie robi, nie działa nic. Dlaczego? czy dlatego, że brak mu wiary? Nie, powód istotny jest inny. Majątek wielki, wygoda w życiu, wpływ wychowania zapewne odebrały mu potrzebę pracy, trudu, możność zaspokojenia wszelkich pożądań wytworzyła u niego niezdolność do zajęcia się czemkolwiek,

z czego wypłynął brak dążeń, z czego znów choroba smutna i fatalna: brak woli. Płoszowski nie umie chcieć. Po co chcieć? To męczące i nudne. Chcieć? Czyż nie przyjemniej przypatrywać się i analizować?

Więc Płoszowski się marnuje. Są w nim skarby inteligencji, zdolności pierwszorzędnych, ale te zdolności leżą odłogiem, żadnego z nich pożytku, sam Płoszowski nazywa się „genjuszem bez teki“, mówi, że jest chory na „nieproduktywność słowiańską“ i że takich, jak on, jest legjon. W części ma rację. „Genjuszów bez teki“, ludzi rozumiejących się na wszystkim i na niczem, o słabej woli, było u nas zawsze dużo, „nieproduktywność słowiańska“ jest zdaje się jednak przesadą. Gdy mamy otwarte pole do działania, produktywnymi być potrafimy.

Ale zmieniło się zapewne wiele od czasu, gdy wyszło „Bez dogmatu“ (1891). Była to doba przesytu, rozbicia wewnętrzznego, zwątpień, tęsknoty do niebytu, co uwydatniło się wcześniej w piśmiennictwie obcym, francuskim i belgijskim, później w naszym. Tak jak Płoszowski: „nie wiem, nie wiem, nie wiem“, wołali wprzód „schyłkowcy“ na zachodzie, tak śledzili swe wnętrza duchowe i skarżyli się na brak woli. On jest też ich bratem rodzonym, wyobrazicielem pewnej doby, która była i przeszła. Tacy ludzie są nieszczęściem społeczeństw, tem bardziej społeczeństwa, które znajdowało się wówczas w tak trudnych warunkach bytu, jak polskie. Nic bo go naprawdę z tem społeczeństwem nie łączy. Płoszowski nie żyje nawet przeważnie w kraju, lecz żywot spędza w Paryżu, w Nicei, w Rzymie... Obowiązek? Ależ on nie wierzy w żadne obowiązki. By obowiązki spełniać, trzeba by chcieć, a on właśnie niczego nie chce. Nie można powiedzieć, by mu się przyroda ojczysta nie podobała, przeciwnie lgnie on do niej, prześlicznie maluje zimę polską (w której jest „nadewszystko szczerłość“), ale wniosków

z tego żadnych nie wysnuje. Polska może by piękna, aleć jemu lepiej w Rzymie.

A jednak jedna rzecz będzie go zdolna zająć: kobieta, miłość. Zajęła go Anielka (tączono go z nią) — czyż jednak ma się wiązać obowiązkami, starać się o rękę, oświadczać się, brać ślub? Wszystko to trochę trudne. Anielka go kocha, on to czuje, lecz czyż dlatego ma się żenić? Ale o Anielkę stara się „aferzysta“, niejaki Kromicki, „małpa o bibulastej twarzy“, jak go nazywa Płoszowski. Dobrze, niech się stara. Gdy otrzymuje wiadomość, że Anielka wychodzi za Kromickiego za mąż, przesyła jej telegraficznie życzenia szczęścia. Ale wnet budzą się w nim wątpliwości, najrozmaitsze nastroje, uczucia, a wśród nich żal... Może on i nie kocha Anielki, ale czuje, że mógłby ją pokochać, nadewszystko zaś czuje, że ona jedyna byłaby zdolna wypełnić straszną pustkę jego życia. Czas jeszcze... Niestety Płoszowski, jak zawsze, nie umie się zdobyć na postanowienie, a gdy się na nie zdobywa, jest już za późno — Anielka wyszła za mąż. To jest dla niego ciosem. Teraz dopiero zrozumiał, co stracił. Jeśli przedtem nic go naprawdę zająć nie mogło, cóż zajmie go teraz? Jeśli wprzód ludzie byli mu obojętni, czemuż mu są teraz? Wraca do Anielki — wszakże pozostaje jeszcze jedna deska ocalenia — rozwód! — wszak Anielka go kocha. Ale ona, wychowana we wierze, w kulcie dogmatów religijnych (dogmatem jest dla niej nierozzerwalność małżeństwa), nawet mówić sobie nie pozwala o rozwodzie. Więc Płoszowski cierpi jak nigdy, trawi się wprost swym bolem, a gdy Anielka przy dziecku umiera, on idzie za nią... Nie wie, co tam jest za grobem, czy cisza, czy wicher międzyplanetarny, czy zgryzota, ale idzie za swoją Anielką...

A mógł w niej mieć swoją żonę. Zabił go brak woli.

Płoszowskiemu przeciwstawieni są w powieści ludzie, którzy wiedzą czego chcą, i pracować potrafią, jak literat

Śniatyński, jak młodzi Chwastowscy, ale ci pozostają w cie-
niu — wyobraźnia czytelnika zajęta jest jedynie Płoszowskim.

Sienkiewicz napisał „Bez dogmatu“, jak sam wyznał,
dla przestrogi. Zapewne nie tylko dla przestrogi, ale i z tego
powodu, że zajął go typ „genjusza bez teki“, że pragnął
spróbować swych sił w analizie wnętrza ludzkiego — to
pewna, że przestroga okazała się nieskuteczną, przeciwnie
Płoszowski stworzył nowy legion (zwłaszcza wśród mło-
dzieży) ludzi, którzy mówili sobie, że niczego nie chcą, bo
chcieć nic nie warto, którzy wprost oświadczaali, że brak im
woli, bo nie mają dogmatu.

Może też dlatego, by przeciwdziałać wpływowi „Bez
dogmatu“, napisał Sienkiewicz „Rodzinę Połanieckich“.

Jeśli zadaniem autora w „Bez dogmatu“ był rozbiór
uczuć i myśli jednostki, analiza jej przeżyć, stanów ducho-
wych (początek tego rodzaju powieści w XVIII wieku w Anglii
i Francji), to „Rodzina Połanieckich“ przedstawia inny zu-
pełnie typ romansu. Jest to t. zw. romans współczesny
obyczajowy, rodzaj, który powstał w Anglii (również w XVIII
wieku), a stąd przeniósł się do Polski. Skarbek, Kraszewski,
Korzeniowski z dawniejszych, z młodszych Orzeszkowa
i Prus stworzyli szereg znakomitych powieści obyczajowych.
W powieści obyczajowej chodzi o obraz społeczeństwa w pe-
wnej dobie, najczęściej jednak nie całego społeczeństwa,
lecz pewnej warstwy lub warstw. Na widownię występuje
więcej osób, czasem grup, interesy tych jednostek i grup
krzyżują się, co pozwala nam poznać rozmaite prądy współ-
czesne, rozmaite zapatrywania na jakąś sprawę, stosunek
wprowadzonych postaci do najrozmaitszych ważnych zaga-
dnień. Wśród tej różnorodności zachowana jest jednak jedność
akcji, wszystko bowiem łączy się w sposób mniej lub wię-
cej ścisły z osobą bohatera, którego losy zajmują nas prze-
dewszystkiem. Szczególnie żywo interesujemy się jego mi-
łością i z naprężeniem oczekujemy rozwiązania (w najda-

wniejszych powieściach obyczajowych miłość nie stanowiła osi romansu). Zazwyczaj też, ale nie zawsze, autor stawia sobie w powieści obyczajowej jakąś tezę, t. j. chce coś udowodnić, coś wykazać, pozyskać czytelników dla jakiegoś poglądu, przyczem nierzadko pewne charaktery, pewne wady, pewne zapatrywania ośmiesza, walczy przy pomocy satyry.

W „Rodzinie Połanieckich“ bohaterem powieści jest Stanisław Połaniecki, i na nim skupia się główna uwaga czytelnika. Któż to jest? Przeciwstawienie, przeciwieństwo Płoszowskiego. Połaniecki nad dogmatami nie łamie sobie głowy, ale za to chce żyć i działać. Czyżby mu były nieznane rozmaite zagadnienia, wątpliwości, czy ze zbolałymi, przeczulonymi nie spotkał się nigdy, czy dla wahnień i niepokojów wewnętrznych nie ma zrozumienia? Tak nie jest. Połaniecki jest to człowiek inteligentny, w Belgji, gdzie kształcił się w zawodzie technicznym, zetknął się nawet ze „schyłkowcami“, wie co to analiza własnych stanów duchowych, ale prądowi temu nie dał się porwać, tem mniej strawić. Natura to bowiem odporna, doskonale przysposobiona do walki życiowej, daleka od rozmarzań się bezowocnych.

Co robi Połaniecki? Ma dom komisowy, prowadzi handel, dorabia się. I to wypełnia mu życie? Całkowicie — nie, on wie, że poza sferą interesów są jeszcze i inne sprawy, ważne i piękne, ale, broń Boże, nie czuje się nieszczęśliwym. Owszem pomyślne obroty pieniężne przysparzają mu nie mało zadowolenia, poważnie przemyśliwa nad założeniem fabryki, a w interesach potrafi być twardy, nieubłagany jak wówczas, gdy chodziło o wierzytelność jego, ciągnącą na Krzemieniu. Jest twardy, a przytem popędliwy i szorstki — nawet w scenie z kobietą, która wywarła na nim niemałe wrażenie, z Marynią Pławicką. Płoszowskiego znał, lubi się z nim porównywać, a choć przyznaje, że tamten był wytworniejszym, bardziej uszlachetnionym, nie uważa

siebie za niższego, bo on za to potrafi to, co chce, wykonać, a „wobec warunków życia i odporności, jakiej ono wymaga, jest rzeczą wprost zgubną być zbytnim filigranem“. Widzimy więc, że Połaniecki jest także zdolny do analizowania siebie, szczególnie bacznie potrafi przypatrywać się sobie, gdy wykroczy przeciw przyjęłym zasadom moralnym, ale zbyt długo sprawami temi zajmować się on nie będzie, powie sobie gorzką prawdę, przecierpi i znów zwróci się do tego, czem poprzednio myśl jego była zajęta, do interesów, kupna i sprzedaży.

A jakież stanowisko jego wobec dogmatów religijnych, więc tych, których Płoszowskiemu brakło całkowicie? Znamionuje go zrazu, tak jak mnóstwo ludzi z jego sfery, zupełna obojętność, nie czuje po prostu potrzeby zajmowania się sprawami religijnymi. Ale potrzeba ta zjawia się i znów, jak to zazwyczaj u ludzi jego typu, pod wpływem śmierci osoby bardzo kochanej. Teraz zacznie Połaniecki rozmyślać, gdzie prawda? W głębokie filozoficzne roztrząsania się nie wdaje (nie potrafiłby tego prawdopodobnie), zgodnie z swoją naturą, skłoną do szybkich decyzyj, wnioskuje inaczej: oto po jednej stronie powaga wieków, tradycyj, dwa tysiące lat blisko nauki kościoła, powszechna wiara, niewzruszoność jej, po drugiej ze swemi wątpliwościami on — spółnik domu komisowego. Wszak tyle wierzeń upadło, tyle prawd filozoficznych runęło, a „msza po staremu się odprawia“. I Połaniecki, postawiwszy tak sprawę, rozstrzyga ją z łatwością — powraca do dogmatów, do „służby bożej“ w duchu chrześcijańskim, i wtedy dopiero znajduje pełne szczęście.

Uzupełnia to szczęście miłość odwzajemniona, uzyskanie ręki Maryni Pławickiej. Wątkiem bowiem „Rodziny Połanieckich“ jest miłość bohatera, miłość, która doznaje przeszkód (z winy samego bohatera, jego porywczosci, szorstkości, nietaktów), ale przeszkody te zostają szczęśliwie prze-

zwyciężone, chmury i chmurki znikają, pogoda, słoneczny obraz szczęścia — oto epilog powieści.

Jeśli czytelnika drażni czasem szorstkość Połanieckiego (sam on mówi o sobie, że jest „wyciosany z grubszego materiału”), to zjednywa nas dla niego właśnie miłość dla Maryni, i jeszcze jedno: uczucie dla Litki, dwunastoletniego dziewczątka, chorego na serce. Śmierć to Litki właśnie pobudza Połanieckiego do rozmyślań na tle religijnem, ale sposób, w jaki on tę śmierć odczuwa, żal niezmierny, który go ogarnia, troska o uświęcenie pamięci zmarłej, czułość, jaką wogóle okazuje dla dziecka, mówią nam, że szorstkość Połanieckiego jest jednak raczej zewnętrzną powłoką, pod którą naprawdę bije serce dobre, zdolne do uczuć nawet tkliwych.

Połaniecki ma dom komisowy, myśli o założeniu fabryki perkalików (interes miljonowy), ale nie zakłada tej fabryki. Dlaczego? Bo wyszedł z roli i na rolę wraca, wraca do Krzemienia, własności Maryni Pławickiej, Krzemienia zaprzepaszczonego z winy Połanieckiego i odzyskanego przez niego. Wraca, by orać i siać, jak orali i siali ojcowie jego, i chodzić z Marynią i z dziećmi swemi do kościoła na mszę świętą, jak chodzili jego ojcowie. Dom komisowy był epizodem, był środkiem, pracą życia Połanieckiego będzie uprawa zagonu ojczystego. I to jest tezą Sienkiewicza. Wszyscy tak wrócicie, woła autor, wszyscy tak powinniście wrócić, bo bez ziemi niema życia i niema szczęścia. Królewski-ście „szczep piastowy“, z drogą pracy wytyczoną przed wieki. Wolno z tej drogi zejść, ale tylko po zdobycie środków do powrotu na nią. Bez ziemi niema szczęścia.

Prócz Połanieckiego, Maryni Pławickiej, prześlicznie nakreślonej postaci Litki i jej matki, pani Emilji, występuje jeszcze w powieści cały szereg osób z rozmaitych sfer, tak że zarysowuje się przed nami dość obszerny obraz życia Warszawy, nie tak obszerny, jak np. w „Lalce“ Prusa, ale

też inny był cel Prusa przy pisaniu „Lalki“, a inny Sienkiewicza w „Rodzinie Połanieckich“. Poznajemy niezmiernie sympatyczną, mieszczańską rodzinę Bigielów (z mieszczańskimi cnotami), poznajemy szlachcica — bankruta, papę Pławickiego, adwokata — aferzystę Maszkę, „schyłkowca“ Bukackiego, „mistyka“ Waskowskiego, (który wierzy, że ludzkość odrodzą Słowianie), poetę Zawilowskiego, ciocię Broniczową, pannę Linetę Castelli, klasycznie pięknego głupca Kopowskiego, panią Maszkową i t. d.

Po co autor wprowadza te postaci? Bukacki mówi nam wyraźnie, w jakiej dobie odbywa się akcja powieści, doba to wewnętrznego rozbicia „schyłkowców“ (w dobie takiej zjawiają się często „mistycy“, ludzie, którzy nie umieją stanąć na realnym gruncie, a szukają dla siebie ratunku). Rodzina Bigielów to tło domu komisowego, ale po co jest Pławicki, Maszko, ciocia Broniczowa, panna Castelli? O odpowiedź nie trudno.

Któż to jest papa Pławicki? Jak już powiedzieliśmy, szlachcic bankrut, samolub, stary komedjant. Kłamie on całym swoim życiem, każdym słowem, giestem. Chce wywieść w pole Połanieckiego, okpić go poprostu, a gdy Połaniecki w łot chwyta jego grę i przypiera go do muru, on otwiera tużurek i woła: oto pierś, uderz!, a kiedyindziej, żegnając się, zapowiada, że pójdzie tam, gdzie każda łza starca będzie policzona. I poszedł do kawiarni patrzeć na grających w bilard... Pławicki jest śmieszny, nieszkodliwy na szczęście.

Ale jest ciocia Broniczowa i panna Lineta Castelli. W pannie Linecie zakochał się poeta Zawilowski, poeta prawdziwy, z sercem dziecka, wierzący w ludzi, w szczerość ludzką, nie podejrzewający, że na świecie istnieje fałsz. Tymczasem panna Castelli, dusza wzniosła, poetyczna (ach, jak poetyczna!), niepospolita (czuła na piękno!), przyrzekłszy rękę Zawilowskiemu — Zawilowski rósł w sławę —

zdradza go z pięknym Kopowskim. Niedarmo była wrażliwą na piękno... A kiedy Zawilowski, doznawszy tak strasznego rozczarowania, z rozdartem sercem, nie może prawie zrozumieć, co się stało, dostaje list od cioci Broniczowej ze słowami: „Pan wiele złego wyrządził Niteczce, bo pan opętał jej wolę i nie pozwolił pójść za naturalnym popędem serca... Niech to panu jednak Bóg przebaczy, tak jak my obie mu przebaczymy...” Jak to? więc to on zawinił? to jemu przebaczą? Więc to, co zrobiono z jego sercem, można zrobić i z prawdą? Zawilowski jest bliski obłędu, strzela do siebie... Nie znalazł jednak śmierci fizycznej, znalazł śmierć gorszą, śmierć talentu. Kosztowny mechanizm rozbity, popsuty... Tragedja... Straszny fałsz panny Castelli i pani Broniczowej osiągnął swoje.

A Maszko żyjący nad stan, rzucający się, by się ratować, w interesy coraz to ryzykowniejsze, nadrabiający miną, wystawnością życia — to fałsz i tylko fałsz.

A pani Maszkowa, a nawet sam Połaniecki w tej chwili, gdy sprzeniewierza się Maryni?

Kłamstwo panuje w „Rodzinie Połanieckich“ wszechwładnie, kłamstwo jako objaw życiowy, jako coś uświęconego, co już zyskało prawo obywatelstwa! Ale fatalne są skutki kłamstwa: niszczy ono, rujnuje szczęście ludzkie, zabija winnych (Maszko), ale i niewinnych (Zawilowski). I z tą straszną raną społeczną walczy Sienkiewicz — nie morałami oczywiście, ale przez to, że istnienie tej rany wskazuje.

„Rodzina Połanieckich“ jest, jak powiedzieliśmy już, przeciwstawieniem „Bez dogmatu“, tam pokazana jednostka bez woli i dlatego nieszczęśliwa, tu z wolą silną i tą wolą umiejąca sobie powodzenie w życiu wywalczyć. Nie sądźmy jednak, by w Połanieckim chciał Sienkiewicz przedstawić ideał współczesnego człowieka, jak w Skrzetuskim dał ideał rycerza XVII wieku. Ideałem Połaniecki nie jest, ideału ta-

kiego w ogóle Sienkiewicz nie nakreślił, bo też dzisiejsza powieść obyczajowa nie tworzy ideałów, lecz odtwarza ludzi takimi, jakimi oni są. Sienkiewicz tedy w „Rodzinie Połanieckich“ jest, podobnie jak w Nowelach, realistą, życia ani ludzi nie upiększa. I jak w Nowelach, chce leczyć rany społeczne, otwierać oczy na choroby, które toczą organizm narodowy. Już nie o „pokrzepienie serc“ mu chodzi, ale o ulepszenie serc.

IV.

Quo vadis. — Co łączy powieść z Trylogią. — Mistrzostwo w kreśleniu charakterów. — Świat pogański. Nero, Petronjusz, Chilo Chilonides. — Przemiana Winicjusza. — Sceny zbiorowe. — Świat chrześcijański. Apostołowie, Ligja, Ursus, Kryspus. — Sceny zbiorowe z życia chrześcijan. — Życie Rzymu starożytnego. — Plastyka. — Myśl przewodnia powieści.

W rok po „Rodzinie Połanieckich“ wydał Sienkiewicz „Quo vadis“, powieść osnutą na tle prześladowania chrześcijan za Nerona, arcydzieło, które mu zyskało sławę europejską.

W sposobie, w jaki autor ułożył swą powieść, nie dostrzeżemy zasadniczych różnic między nowem tem dziełem a „Trylogią“. Podobny tu jest stosunek tła historycznego do wątku zmyślonego, w podobny sposób prawda miesza się ze zmyśleniem, podobna jest nawet intryga. I tu młodzieniec (patrycjusz rzymski) kocha dziewczę (chrześcijankę Ligję) i tu zachodzą rozliczne przeszkody, z których jedne tkwią w samym usposobieniu bohatera, w jego gwałtowności, niepowściągliwości (jak u Kmicica), inne w różnicy wiary, inne w złej woli ludzkiej. Są też i nagłe niebezpieczeństwa, z których napozór niema ocalenia (napad Krotona; Ligja przeniesiona do sroższego więzienia; na arenie cyrkowej) i równie nagły a nieoczekiwany zjawia się ratunek (Ursus dusi Krotona, potem zмага potwornego byka). Ostatecznie po najrozmaitszych przeciwnościach, przeszkodach, niebezpieczeństwach, pełnych najwyższej grozy, Ligja zostaje żoną Winicjusza. Że intryga to w wysokim stopniu zajmująca — i wspominać zbyteczna.

Nie uległ też zmianie sposób grupowania postaci. I w „Quo vadis“ są również dwie grupy: jedna to świat pogański, druga — chrześcijański. W jednej i drugiej grupie nie brak postaci naczelnej, historycznej (św. Piotr, cesarz Nero), a obok bohatera i bohaterki jest cały szereg osób na planie drugim i trzecim, jest wreszcie szary tłum. Nie zapomniał też autor o wprowadzeniu postaci humorystycznej (Chilo Chilonides).

I środki wzruszeń pozostały te same, co w „Trylogji“. Wzrusza nas autor nieszczęściami, które spadają na chrześcijan i tryumfami wiary chrystusowej, grozą niektórych scen (pożar Rzymu, prześladowanie chrześcijan), obrazami śmierci — na arenie cyrkowej, odtwarzaniem gorących uczuć miłosnych, szczęściem, które staje się udziałem bohatera i bohaterki, nadewszystko jednak obrazami wiary płomiennej, niespożytej i niezachwianej.

Rusztowanie więc powieści jest podobne jak w „Trylogji“, podobne są sposoby, któremi autor działa na czytelnika, ale chwale „Quo vadis“ w niczem to nie uwłacza. Sienkiewicz, w części pod wpływem dawniejszych autorów — obcych i naszych, stworzył pewien typ powieści historycznej i typowi temu pozostał wierny. Z podobnem zjawiskiem spotykamy się u najznakomitszych powieściopisarzy. Sienkiewicz jednak w każdej z swych powieści rozłaczał nowe piękności, a kreśląc plan ogólny zbliżony do planu romanśów poprzednich, dzięki szczegółom rozlicznym, zwłaszcza zaś dzięki wprowadzeniu charakterów, zupełnie od poprzednich różnych, nie pozwalał nawet zwracać czytelnikowi uwagi na to, że „rusztowanie“ poniekąd nie było mu już obce.

Mistrzostwo w kreśleniu charakterów budziło w nas podziw już przy czytaniu „Trylogji“ (Radziwiłowie!) — w „Quo vadis“ wstąpił Sienkiewicz na szczyty. Wystarczy wspomnieć o postaci Nerona, Petronjusza, Chilona Chilonidesa. Nie można tu mówić o *malowaniu* postaci, lub o *rzeźbie*

niu; sztuka Sienkiewicza stworzyła bowiem coś więcej, niż zdoła stworzyć malarz czy rzeźbiarz — oto dała nam ludzi żywych. Na tych ludzi patrzymy, i nie tylko widzimy każdy ich ruch, każdy rys twarzy, każdy gest (jak w postaciach „Trylogii”), oprócz tego znamy każdą ich myśl, przenikamy nawskróś ich wnętrza duchowe — bardziej złożone niż u bohaterów „Ogniem i mieczem” i „Potopu”.

Oto Nero. Wielka, osadzona na grubym karku głowa, straszna ale niemal śmieszna. W brwiach na czole coś olimpijskiego, ale pod ściągniętymi brwiami „twarz małpy, pijaka i komedjanta, próżna, pełna zmiennych żądz, zalana... tłuszczeniem..., chorobliwa i plugawa”. Wielki to znawca piękności, artysta, boski poeta i śpiewak, śpiewa, choć ma chrypkę, by odmową nie zadawać mąk swym poddanym — musi ustąpić, nie chce być okrutnikiem. Bo Nero jest łaskawy. Wygłosiwszy swe wiersze, pociesza Lukana że i jego, Lukana, poezje są coś warte, niech więc odwagi nie traci. Trudno, czem kto się urodzi, musi zostać... Matkobójca, potwór, ma odwagę mówić o tem, że cień matki jego snuje się przy księżycu, na morzu. Ha, musiał ją skazać, bo gdyby ona żyła, zginąłby on, a wówczas poddani nie słyszeliby jego śpiewu. Głupota jego nie pozwala mu poznać pochyłości przechodzących wszelką miarę, ale gdy chodzi o sycenie się cierpieniem czyjś, potrafi Nero rozwinąć niepospolity spryt, przenikliwość. Błazen, woźnica, atleta, tancerz, szaleniec (zaślubił publicznie Greka Pitagorasa, występował jako panna młoda), tchórz, zwyrodniały — a nadewszystko okrutnik. Skupiły się w nim wszystkie ujemne strony zapadającego Rzymu. Ten ohydny potwór na tronie, otoczony tłumem pochlebców, podpalacz w koronie, tłumaczy nam, dlaczego starożytny Rzym musiał runąć.

Ale zagadkę tę objaśnia nam i przeciwstawienie Nerona, jeden z najszlachetniejszych w jego orszaku, Petronjusz. Ten nawet w zepsuciu umie zachować pewną

miarę, ale dzięki temu, że naprawdę ukochał piękno. „Dowodź mi — mówi o nim Seneka — że popełnił zły uczynek, jest to tylko czas tracić“, dawno bo Petronjusz „ztracił ten zmysł, który złe od dobrego odróżnia; dowiedz mi, że postępek jego jest szpetny, wówczas zawstydzi się“. W tych słowach mieści się klucz do poznania istoty Petronjusza. Dzięki wstrętowi do wszystkiego, co szpetne, nie popełni on nic hańbiącego, ale istoty zła i dobra nie rozumie. Cóż budować na takich podwalinach? A w co wierzy Petronjusz? Wiarą jego jest wątplenie. Bogowie? Posłał bogu Asklepiosowi do świątyni trzy tuziny ptaków i kubek złota, bo powiedział sobie „pomoże, nie pomoże, ale nie zaszkodzi“. Któż bo wie, czy bogowie istnieją? To pewna, że nie istnieje sprawiedliwość: „świat stoi na oszustwie, a życie jest złudzeniem“... Dusza jest także złudzeniem... A może istnieje jedno jedyne bóstwo, które wywołało świat z chaosu?... Czy dobrze jednak uczyniło, to rzecz inna. Petronjusz jest dla służby wyrozumiały, ludzki, bo dręczenie, choćby Murzynów, jest czemś szpetnem. Przemawiał przeciw wyrokowi śmierci wydanemu na niewolników niejakiego Sekunda, bo go oburzała barbarzyńska rzeź, ale powtarzał głośno, że w rzeczy samej „było mu to wszystko jedno“. Lud, który wzburzył się z powodu owej rzezi, miłował od tej pory Petronjusza, ale on nie dbał o tę miłość, przeciwnie gardził tłumem. Nie znosił bowiem ludzi pachnących prażonym bobem, schrypniętych i spotniałych. Neronowi pochlebiał — bawiło go to, że Cezar wierzy jego pochlebstwom. Naprawdę kpiał z niego niemiłosiernie. Opowiadał, że gdy potrzebuje środka na wymioty, odczytuje poezje Nerona, i skutek jest natychmiastowy. Czy źle mu? Owszem dobrze. Ma on swe zamiłowania. „Lubię — spowiada się Winicjuszowi — książki, lubię poezję, ~~lubię na-~~czynia (rzeźbione)... Mnie dobrze w domu, wśród arcydzieł... Wiem, że w życiu nie już więcej nie znajdę nad to, com znalazł... Śmierć przyjąłbym jako konieczność, z tem prze-

świadczeniem, że niema na całym świecie takich jagód, którychbym nie skosztował. Nie śpieszę się, ale też nie będę się ociągał, postaram się tylko, by mi było do ostatka wesoło..." I postarał się o to. Otworzywszy sobie żyły, umarł wśród kwiatów i dźwięków muzyki... Umarł pogodnie wraz z swą Eunice, nie wiedząc dokąd odchodzi. Bo wiary chrześcijańskiej nie przyjął. To nie dla niego. „Nie, ja jej nie przyjmę — odrzekł Winicjuszowi — choćby w niej tkwiła prawda i mądrość zarówno ludzka jak boska... To wymagałoby trudu, a ja się nie lubię trudzić. To wymagałoby zrzeczeń, a ja się nie lubię niczego w życiu zrzekać... W Olimp nie wierzę, ale go sobie urządzam na ziemi...”

Petronjuszowi więc brak rozeznania zła i dobra i brak woli. Nie wniesie on do życia pierwiastków twórczych, po-trafi zbierać dzieła sztuki i — uśmiechać się ironicznie. I on jest przeto objawem i dowodem upadku starych cnót rzymskich, objawem rozkładu, oznaką, że „już się ma pod koniec starożytnemu światu“.

Odtworzony został zarówno jak Nero z niezmierną subtelnością. To nie szkic węglowy, jak Skrzetuski, Kmicic, Wołodyjowski — dotknięcia pędzla są tu delikatne, każdy rys wypracowany.

Wyobrazicielem starych cnót narodu rzymskiego jest w „Quo vadis“ jeden jedyny Aulus Plaucjusz, opiekun Ligji, piorunujący na zniewieściałość, na zbytek, na psucie się obyczajów i żyjący tak, jak żyli jego przodkowie. Dzięki podobnym właśnie Aulusowi imperjum rzymskie nie runęło jeszcze wówczas w gruzy, lecz zdołało przez czas stosunkowo długi trwać i władać. Ale już za Nerona — zwłaszcza tam, gdzie skupiały się rząd i władza — Aulusów była mniejszość. Uwydatnia to Sienkiewicz w swej powieści. Kogoż bo poznajemy z świata starożytnego pogańskiego prócz Nerona, Petronjusza i Aulus Plaucjusza? Podłego okrutnika Tigellina, potworną małżonkę Cezara Poppeę, zabobonnego

Westynusa, „beczkę łożu“: Witeljusza, okrutny, zamiłowany w krwawych igrzyskach lud rzymski... Oto Rzym Neronów. Uzupełnia galerję Grek na bruku rzymskim, postać skreślona z humorem, filozof Chilo Chilonides.

Tak, filozof, „wielki i zapoznany“, jak sam o sobie mówi. Filozofem jest z zamiłowania, ale życie ciężkie, trzeba mieć jakieś rzemiosło. Chilo Chilonides ma je, ma nawet pewne zasługi. Skromność tylko przeszkadza mu je wynosić. „Czasem — mówi do Petronjusza — gdy uciekniesz cenny niewolnik, kto go wynajdzie?... Gdy na murach zjawia się napisy na boską Poppeę, kto wskaże sprawców? Kto wyszpera u księgarzy wiersz na Cezara?... Kto nasłuchuje nowin przy drzwiach balwierzy..., kto umie przejrzeć na wylot każdy dom?... Kto zna wszystkie ulice, zaułki, kryjówki, kto wie, co mówią w cyrku, na targach?...“ Szlachetny mędrzec jest więc szpiegiem i donosicielem, do czego przyznaje się z zadziwiającą otwartością. Temu to wybrańcowi natury powierza Winicjusz, za opłatą, odszukanie porwanej przez niewiadomo kogo, Ligji. Chilo Chilonides nic więcej nie wie ponadto, że Ligja nakreśliła raz Winicjuszowi na piasku rybę. Godło to chrześcijan, ale rzecz ta była Chilonowi nieznana. Nic to, nakreśliła rybę — to już wiele. Mędrcom wystarczy byle jaki punkt zaczepienia. Dostał w zadatku kiesę złota, więc jest w świetnym humorze. Dąży na wino do gospody niejakiego Sporusa, a po drodze rozmawia z sobą: „Znalazłem wreszcie, czegom od dawna szukał. Młody jest (Winicjusz), zapalony, hojny... i za tę ligijską makolągwę (Ligję) gotówby oddać pół mienia. Tak, takiego właśnie szukałem od dawna... O bogowie! przecz stręczycielstwo lepiej dziś popłaca, niż cnota? Ha! nakreśliła ci rybę na piasku? Jeśli wiem, co to znaczy, niech się udławie kawałkiem koziego sera! Ale będę wiedział! Ponieważ jednak ryby żyją pod wodą, a poszukiwanie pod wodą trudniejsze jest, niż na lądzie, więc: zapłaci mi za tę rybę oso-

bno. Jeszcze jedna taka kieska, a mógłbym porzucić dziadowskie biesagi i kupić sobie niewolnika... Lecz cobys powiedział, Chilonie, gdybym ci doradził kupić nie niewolnika, ale niewolnicę? Znam cię! Wiem, że się zgodzisz!..." i t. d. Szlachetny ten mędrzec sprytem swym dochodzi do tego, czyjem godłem jest znak ryby, pozornie zostaje chrześcijaninem, wślizguje się między chrześcijan, a potem, mszcząc się na Winicjuszu za to, że oburzony jego podłością, kazał mu dać plagi, wydaje chrześcijan w ręce Nerona, by i Ligja i Winicjusz (który przyjął chrzest) zginęli w męczarniach.

Nero, Tigellinus są od Chilona bardziej okrutni, podlegszej postaci nad Chilonidesa niema w „Quo vadis”. A jednak potwór ten pod koniec się nawraca, wskazuje właściwego podpalacza Rzymu (Nerona), świadczy o niewinności chrześcijan, sam chrzest przyjmuje i ginie męczeńską śmiercią.

Czy to możliwe, prawdopodobne? Tak, jak Sienkiewicz rzecz przedstawił, zupełnie możliwe i zupełnie prawdopodobne. A nawrócenie się Chilona jest w powieści największym triumfem chrześcijaństwa, jest wielkiem wołaniem: tylko w chrystjanizmie prawda odwieczna, tylko ta nauka zdolna jest przetwarzać do gruntu natury ludzkie, oddziaływać na zgubionych na pozór bez ratunku. Wszak nawrócił się łotr na krzyżu, a Chrystus mu przebaczył i wziął go z sobą do Ojca...

Przemiana Chilona Chilonidesa z wyrzutka rodzaju ludzkiego w męczennika odbywa się nagle. Jest jednak w powieści jeszcze druga przemiana — powolna, przedstawiona z niemniejszą prawdą i niemniejszym mistrzostwem. Ponowna to próba w dziełach Sienkiewicza w tym rodzaju — przypomina nam się bowiem proces doskonalenia się wewnętrznego, bohatera „Potopu”. Tu mówimy o nawróceniu się Winicjusza. Typowy żołnierz-patrycjusz, natura twarda, gwałtowna, niemal dzika, w gniewie straszny, nie rozumiejący, jak może ktoś stawać wpoprzek jego żądzy, gotów porwać się na samego

Nerona, bez litości dla niewolników (w chwili gniewu), jednym słowem: nieokiełzany. I na takiego to człowieka poczyną działać powoli i statecznie nauka chrześcijańska. Zrazu on jej zupełnie nie może pojąć. Oto był świadkiem, jak niejaki Glaukos przebaczył Chilonowi, mordercy jego rodziny. Dlaczego to Glaukos uczynił? Czy to była jakaś pora świąt lub kwadra księżyca, podczas której chrześcijanom nie wolno było się mścić? Cóżby to była za nauka, któraby kazała zapominać o swych krzywdach? Doprawdy zdumiewać się trzeba, ale obok zdumienia budzi się w Winicjuszu litość dla chrześcijan i uczucie pogardy. Toć to owce, które prędzej czy później muszą stać się łupem wilków! Nie, to nie do pojęcia. Ponieważ Chrystus jest bogiem Ligji, gotów go ostatecznie uczcić ofiarą ze stu wołów — tyle może uczynić, ale nic ponadto. Tak sądzi i — myli się. Obcuje z chrześcijanami, dzięki przypadkowi, powoli poczyną rozumieć, że obok dumnej ze swych kształtów piękności greckiej i rzymskiej „jest na świecie jakaś inna, nowa, ogromnie czysta, w której tkwi dusza“. Powstają w nim jakieś nowe (nieokreślone) uczucia i nowe upodobania, patrząc na orgie neronowe i jego złość wszechpotężną, poczyną zdawać sobie sprawę z tego, że dzieje się źle, i że gdyby na świecie zapanowała miłość chrześcijańska, na ziemię zesłoby szczęście. Ale czy to możliwe? Czy nauka ta nie jest przeciwna istnjącemu porządkowi rzeczy, czy da się przeprowadzić w praktyce! W to nie może uwierzyć. On sam nie potrafi przecie żyć wedle tej nauki, nie potrafi, choć nie wątpi już, że Chrystus żył, nauczał, skonał na krzyżu, by zbawić świat, i zmartwychwstał. Nie potrafi? Znów się myli. Burzy się jeszcze na miłosierdzie chrześcijańskie, a odczuwa już litość dla niewolników. Ma już dość Rzymu, Nerona, Poppei, nie może żyć dłużej tak, jak żył, coraz większym wstrętem przejmują go uczty neronowe, bezwstyd, zbrodnie. Grunt już przygotowany. Odtąd dusza jego otwarta już dla nowej

prawdy, a serce jej łaknie, i gdy Winicjusz zawoła wreszcie: chrztu, czytelnik nie dziwi się — był na to przygotowany. Żelazna ruda stopiła się w ogniu miłości chrystusowej... Prawda, stało się to pod wpływem, za pobudką miłości ziemskiej, ale sam proces przemiany (obraz tego procesu) nic na tem nie cierpi.

Postać Winicjusza łączy sobą dwa światy: pogański i chrześcijański — zawiera się w niej zarówno to, co było istotą starego Rzymu, jak (po nawróceniu winicjuszowem) i to również, co dał światu chrystjanizm.

Świat starożytny, pogański, pokazuje tedy Sienkiewicz w powieści w ten sposób, że pozwala nam poznać doskonale kilku typowych przedstawicieli tego świata, więc Nerona, Tigellina, Poppeę, Chilona Chilonidesa, Petronjusza i — Winicjusza. Ale na tem nie koniec. W znacznie szerszej mierze niż w „Trylogji“ posługuje się autor scenami zbiorowemi i przy ich pomocy z jednej strony oddziaływa silnie na naszą wyobraźnię, wywołując złudzenie życia, gwaru, ruchu, z drugiej wprowadza nas w tłum, czasem bezimienny, ale mówiący nam nie gorzej i niemniej od Neronów i Tigellinów o tem, czem był Rzym Cezarów.

Uczta Nerona! Płyną do pałacu lektyki, marmury kolumn świecą jak złoto. Senatorowie w togach, barwnych tunikach, rycerze, artyści, rzymskie panie w szatach rzymskich, greckich, wschodnich, strojny, przemnogoci tłum. A fale gości wciąż napływają, dziedziniec roi się od niewolników, niewolnic, żołnierzy. Niosą lutnie, kwiaty, lampy srebrne, złote. Sala biesiadna. Cezar w tunice ametystowej, z szmaragdem wypolerowanym przy oku, obok Petronjusz, Westynus, Lukan, Watynjusz, Kalwina Kryspinilla, potem Poppea i setki postaci przez autora nienazwanych, bezimiennych. Cezar śpiewa, głosy zachwytu, niemego podziwu. Odczytywanie wierszy przez innych biesiadników, przedstawienie mimiczne, tańce syryjskich dziewcząt przy odgłosie cytr, fletni, cym-

bałów — ze złotego niewodu, upiętego pod pułapem, padają róże. Niewolnicy wnoszą wciąż nowe dania, leje się wino, występują atleci, jeden z nich zduszony kona. Grzmot oklasków. Wino ęmi oczy biesiadników, więc nie wiele patrzą na przewijających się kolejno udawaczy zwierząt, kuglarzy i błaznów. Uczta przemienia się w pijacką, rozpustną orgję, muzyka w beładny hałas, płomień lamp błednieje. Już Witeljusz zwałił się pod stół, już i Lukan pijany, pijani mężczyźni i kobiety, nawet sam Cezar. Niebawem większa część gości leży pod stołem, inni śpią na sofach, inni duszą się w czkawce, inni wymiotują. „A na pijanych konsulów i senatorów, na pijanych rycerzy, poetów, filozofów, na pijane tancerki i patrycjuszki, na cały ten świat, wszechwładny jeszcze, ale już bezduszny, uwieńczony i rozpasany, ale już gasnący, ze złotego niewodu, upiętego pod pułapem, kapąły i kapąły wciąż róże...”

Co za niesłychana siła w tym obrazie ruchomym, ile życia, ile prawdy. Sposób dawny, wypróbowany: osoby główne, osoby na drugim planie i tłum, ale więcej, niż dotychczas bywało, pierwiastka malarskiego, więcej subtelności w rysach i więcej — spokoju. Autor panuje nad sobą i nad przedmiotem, nie wzrusza się tak (jak np. w scenie mordu Tarczuka) i dlatego może więcej dostrzegać.

Uczta Nerona — to skon świata pogańskiego, strawionego w sobie, pędzącego ku przepaści niechybnej. Bo jakim jest Nero, takim jest i jego orszak, takimi są te setki senatorów, rycerzy, dostojnych dam, taka jest masa. A widzimy ją nieraz jeszcze, poznajemy rozmaite warstwy, lub (w amfiteatrze), spotykamy się z tym rozpustnym tłumem na uczcie „pływającej“, przewyższającej ohydą ucztę w pałacu. Sposób przedstawienia zawsze ten sam.

Tym szalejącym, rozpustnym i zapadającym w bezwład przeciwstawiony jest w powieści świat chrześcijański. Więc znów pokazany szereg *postaci*, różnych wprawdzie, ale

typowych, i wielka *rzęsa chrześcijan* zbiorowo, w masie. Ciągłe *kontrasty*. Z władcy życia i śmierci, potwornego Nerona, wzrok nasz przenosi się na władcę dusz, Tego, który umiał Nerona zwyciężyć, świętego Piotra: słuchamy igraszek słów Petronjusza, nie uznającego nic poza pięknem zewnętrznym, i słuchamy słów świętego Pawła „choćbyś cały świat posiadał a miłości nie miał, będziesz jako miedź brząkająca”; patrzymy na Poppeę i na Pomponję Grecynę, na Chilona i Glauka, Krotona i Ursusa. Każda niemal postać jednego świata znajdzie swój odpowiednik w drugim.

Święty Piotr i święty Paweł (ostatni w półcieniu) przedstawiają się w powieści tak, jak znamy obu Apostołów z Pisma świętego. Sienkiewiczowi o jedno tylko mogło chodzić: by obraz był jak najwierniejszy — i dopiął tego, zwłaszcza o ile chodzi o postać pierwszą.

Naukę świętego Piotra precudnie pojęła Ligja — wszystko i wszystkich kocha ona przez Chrystusa i dla Chrystusa, w niczem nigdy przeciw nauce tej nie wykroczy, więc choć stąpa po ziemi, na czole jej widnieje już aureola świętości. Takimi w pierwszych wiekach wiary chrystusowej były dziewice chrześcijanki. Poznajemy też i matronę chrześcijańską, żonę Aulusa, obie z tego, co mówią i jak postępują.

Ale poznajemy również chrześcijanina — barbarzyńcę: Ursusa. I on również pojął naukę Chrystusa, wie, że trzeba krzywdy przebaczać, miłować nawet nieprzyjaciół, ale czasem mu to trochę trudno, czasem ma pewne wątpliwości. Gdy wyniósł na rękę z uczty (w pałacu Nerona) Ligję, obrażoną przez Winicjusza zachowaniem się jego, i gdy ujrzał ją płaczącą, poczuł, że chwyla go straszny gniew. „Oddychał ciężko i zaciskał olbrzymie pięści... W jego ligijskiem, półdzikim sercu, rodziła się chęć, by wrócić do sali, zdławić Winicjusza, a w razie potrzeby Cezara, bał się jednak zaoferować z tem swej pani, nie będąc pewnym, czy taki po-

stępek... byłby odpowiednim dla wyznawcy ukrzyżowanego Baranka“. A gdy chodzi o to, by Ligję odbić Winicjuszowi przy pomocy chrześcijan?... Poradzi on sobie. „I niechby ją prowadzili nietylko niewolnicy, ale nawet pretorjanie!! Już tam lepiej nikomu nie podsuwać się pod jego pięści, choćby w żelaznej zbroi... Bo czy to żelazo takie mocne! Jak godnie stuknąć w żelazo, to i głowa pod niem nie wytrzyma“. Kiedy zaś Ligja upomina go i prosi: nie zabijaj, on jest zakłopotany na dobre: „będzie się starał, ile będzie mógł. Ale jakby się zdarzyło niechcący?... Onby przecie Baranka nie chciał obrazić, tylko, że ręce ma takie ciężkie“, będzie zresztą pokutował. Istotnie ciężkie miał ręce, i przy odbijaniu Ligji nie obeszło się bez zabójstwa. Ale też dotrzymał, co przyrzekł, pokutował, modlił się, płakał, mimo, że to się stało niechcący.

Do też bo olbrzym ten był skłonny. Nie mógł słuchać bez płaczu o męce Zbawiciela — nie mógł jednak równocześnie pojąć, dlaczego uczniowie nie ocalili Chrystusa? Niechby się stało, co chciało. „Gdyby tak, ot, przy nim podniósł kto rękę na Zbawiciela, gdyby on był z Nim tej nocy, oj, poleciałyby wióry i z żołnierzy i ze sług kapłańskich i ze służebników... Nietylko samby Zbawiciela bronił, ale jeszcze skrzyknąłby Mu w pomoc Ligów, chłopów na schwał...“ Czemu bo Jezus urodził się wśród żydów, a nie w lasach ligijskich? „Wiedział On lepiej ode mnie — rozumuje Ursus — gdzie Mu się trzeba narodzić, ale gdyby tak u nas w puszczy przyszedł na świat, pewniebyśmy Go nie umęczyli, ale hodowalibyśmy Dzieciątka i dbali, by Mu nigdy nie zbrakło ni zwierzyny, ni grzybów, ni skór bobrowych, ni bursztynu. A cobyśmy na Swewach albo Markomanach złupili, tobyśmy Mu oddali, by zaś miało dostatek i wygodę“. Czci Ursus Baranka na swój sposób, jak czcili Go nasi przodkowie bezpośrednio po przyjęciu chrześcijaństwa. Postać ta działa dzięki silnie zaznaczonym przez autora kon-

trastom między siłą fizyczną olbrzyma a jego dziecięcą łagodnością, między chęcią stosowania się do nauki chrystusowej a naiwnem jej pojmowaniem.

Jest jednak wśród postaci ze świata chrześcijan w „Quo vadis“ jeszcze inny typ, odmienny — Kryspus. To zapowiedź tych przesuwowych dla siebie i dla drugich, a w tej surowości aż niemiłosiernych, aż groźnych. On chciał zmienić Ligję w anioła, ofiarować samemu tylko Chrystusowi, serce jej rozpaść wyłącznie miłością Zbawiciela, a ona pokochała Winicjusza. Tego nie mógł jej wybaczyć. „Słowa zgrozy pały mu wargi nakształt gorejących węgli..., trząsł swemi wychudłemi rękami nad przerażoną dziewczyną... Ukazał jej całą lichotę i nikczemność jej duszy, o jaką nie podejrzewała się dotąd... Bogu ofiaruję — mówił — mój zawód i moją boleść, aleś ty zawiodła i Zbawiciela, boś zesłała jakoby na bagno, którego wyziewy zatruty ci duszę...“ Nie-ludzką tę przemowę przerywa Kryspusowi święty Piotr słowami: „Kryspie, zaliś nie słyszał, że mistrz nasz ukochany był w Kanie na godach i błogosławił miłości między niewiastą i mężem?“

Tacy, jak Kryspus, w późniejszych wiekach wysyłali heretyków na stos. Przeciwwstawieniem Kryspusa jest zdolny do przebaczenia największych zbrodni i krzywd osobistych Glaukos. Obaj na planie drugim.

Scen zbiorowych z życia chrześcijan, podobnie jak z życia Rzymu pogańskiego, jest sporo. I tu znów widzi czytelnik masę bezimienną, nienazwaną. Pamiętamy dobrze scenę na cmentarzu. Zapalono smolne łuczywa. „*Tłum* począł po chwili śpiewać, z początku cicho, potem coraz głośniej, jakiś dziwny hymn“, hymn pełen tęsknoty „przejmującej i ogromnej“, a płynący z głębin serca. „Trzeba było być ślepym, by nie dostrzec, że ci ludzie nie tylko czcili swego Boga, ale go z całej duszy kochali...“ W tem występuje święty Piotr — „*tłum* zakotłosał się na jego widok“.

A święty Piotr poczyną nauczać, każe miłować cnotę i prawdę dla nich samych, kochać ludzi, wybaczać krzywdy, a potem opowiada w słowach prostych a wzruszających niezmiernie o zmartwychwstaniu Jezusa. „*Tych, którzy go słuchali*, ogarnęło upojenie... Zdawało im się, że jakaś moc nadludzka przenosi ich do Galilei... W *twarzach* znać było zachwyt bez granic i zapomnienie życia i szczęścia i niezmierną miłość. Widocznem było, że w czasie długiego opowiadania Piotra niektórzy mieli widzenia... I dla *tych ludzi* nie było w tej chwili Rzymu, nie było szalonego Cezara, nie było świątyń, bogów, pogan, był tylko Chrystus, który wypełniał ziemię, morze, niebo, świat“.

Oto wiara, oto uczucie mas, oto chrystjanizm w pierwszym wieku istnienia. Tę wiarę, te uczucia widzimy w tym razie nie u jednostki, lecz u zebranego *ogółu* wyznawców, poznajemy duszę zbiorową.

Podobnie podczas pożaru Rzymu. Rozgrywają się straszne sceny. Ludzie biją się i tratuja jedni po drugich, kradną, rabują, grabią. Winicjusz, szukający wśród pożaru Ligji, w płonącej szacie, duszony dymem, wyczerpany, pada. Wtem, „dwóch ludzi ruszyło mu na pomoc, z gurdami pełnemi wody. Winicjusz, który padł z wyczerpania, ale nie stracił przytomności, chwycił obu rękami naczynie i wychylił je do połowy. „Dzięki — rzekł — postawcie mnie na nogi, dalej sam pójdę!“ Drugi robotnik oblał mu głowę wodą, obaj zaś nie tylko postawili go na nogi, ale podjęli z ziemi i ponieśli do *gromady* innych, którzy otoczyli go wkoło, badając troskliwie, czy nie poniósł zbytniego szwanku. Troskliwość ta zdziwiła Winicjusza. „Ludzie — zapytał — coście za jedni?“ „Burzymy domy, aby pożar nie mógł dojść do drogi Portowej“ — odpowiedział jeden z robotników. „Przyszliście mi na pomoc, gdym już padł. Dzięki wam“. „Nam nie wolno odmówić pomocy“ — ozwało się *kilka głosów*. Wówczas Winicjusz, który poprzednio od rana patrzył na

rozbestwione tłumy, na bójki i grabież, spojrzat uważniej na otaczające go twarze i rzekł: „Niech wam wynagrodzi... Chrystus“. „Chwała imieniowi Jego!“ — zawołał cały *chór głosów*“. Z gromady owej nie poznajemy ani jednej postaci, ale też właśnie chodziło i w tym wypadku nie o charakterystykę jednostki (jako wyznawcy nauki chrystusowej), lecz znów ó — *masę*. Tu owych robotników - chrześcijan charakteryzuje ich czyn, a charakteryzuje stokroć lepiej, niżby to zdołały uczynić najwymowniejsze słowa pochwalne na cześć chrześcijan. Podobną wartość i znaczenie ma scena, w której zebrani chrześcijanie przebaczą Chilonowi Chilonidesowi wszystkie jego zbrodnie i puszczają go wolno, a jest to według słów jednego z nich „dzień wielkiego zwycięstwa“.

Przykłady możnaby mnożyć, wystarczy jednak przypomnieć jeszcze zachowanie się chrześcijan podczas prześladowań. Oto już rozkaz wydany, już wyznawców Chrystusa chwytają i więżą, a tymczasem całe ich gromady, obozując wśród ogrodów, głośno wyznają swą wiarę. „Gdy ich otaczano, klękali, i śpiewając pieśni, pozwalali się porywać bez oporu...“ Na arenie cyrkowej zjawiają się dziwne postaci, pookrywane skórą. Wszyscy przeznaczeni na pożarcie dzikim zwierzętom. Klękają jedni przy drugich i, gdy lud rozwścieklony rzuca na nich kośćmi i woła: zwierząt! zwierząt, oni rozpoczynają pieśń: Chrystus tu królem... A potem giną pod kłami wygłodzonych psów z jękiem: Pro Christo. Tak samo cicho umierają na wzniesionych krzyżach.

Wogóle Sienkiewicz niewiele pokazuje nam chrześcijan w działaniu, natomiast trud jego biegnie w tym kierunku, by odtworzyć ich wiarę gorącą, dać zrozumieć wartość etyczną, opromienić ich męczeństwo. Obrazy z życia chrześcijan nie są tak plastyczne, jak z życia Rzymu pogańskiego, ale tłumaczy się to jasno. Rzym pogański żył ze-

wnętrze, życie chrześcijan ogniskowało się w duszach. Ale i tam, gdzie chodziło naprawdę o obraz, metoda w kreśleniu dwu światów była różna, sceny zbiorowe bowiem z życia chrześcijan mają przeważnie wartość nastrojową (na cmentarzu, w katakombach). Pół światła, pół cienie, pewna mglistość i rozwiewność... Nie przypadek to, lecz świadome użycie środka artystycznego. Rzym pogański rysuje się jaszkrawo w pełnem świetle, Rzym chrześcijański w mistycznej mgle.

W „Quo vadis“ (jedyń raz, w tej tylko powieści) był autor archeologiem. Czytając dzieło to, możemy się dowiedzieć i nauczyć, jak wyglądały stroje rzymskie, greckie i wschodnie, z jakich części składał się dom rzymski bogaty, z jakich dom czynszowy, jakie były główne dzielnice Rzymu i t. d. Nie są to jednak opisy oderwane, całości czy całości dla siebie, przeciwnie opis łączy się zawsze z osnową, spaja się z nią w jedną całość, objaśnia ją i uzmysławia, to też nigdy nie nuży, owszem zawsze żywo zajmuje. Zawsze też niemal (bo z jedynym wyjątkiem domu Petronjusza) jest plastyczny.

Plastyka — mówiliśmy już o tem — była i jest główną siłą talentu Sienkiewicza. Ale nigdzie nie dosięgła takich wyżyn jak w „Quo vadis“. Pożar Rzymu! Czy pomieszczać cytaty? Trzebaby chyba przepisać kilkadziesiąt stron, bo w całym tym bardzo szerokim obrazie ani razu siła plastyki nie słabnie, każdy epizod utrwala nam się w wyobraźni w sposób niezatarty. Jest w tem moc, jest potęga, nie spotykana nawet u Sienkiewicza. A cóż mówić o męczarniach chrześcijan! I znów albo na masę patrzymy, nie rozróżniając nawet dokładnie kształtów, poruszeń, albo jakby na ruchomą grupę rzeźbioną z uwydatniającemi się najdokładniej szczegółami.

Lwy już na arenie, ale nie spieszą się, mrużą oczy jakby olśnione, rozwierają paszcze. Zapach krwi poczyną

jednak na nie działać. Ruchy ich stają się niespokojne, nozdrza wciągają chrapliwie powietrze. Nagle jeden zbliża się do chrześcijanina, trzymającego na ręku dziecko. Maelństwo trzęsie się od płaczu, obejmuje konwulsyjnie szyję ojca — w tem lew wydaje krótki ryk i jednym uderzeniem łapy zabija dziecko, poczem gruchoce w paszczy czaszkę ojca. „Na ten widok wszystkie inne wpadły na gromadę chrześcijan... Widziano wówczas rzeczy straszne: głowy znikające całkowicie w czeluściach paszcz, piersi otwierane na rozcież jednym uderzeniem kłów, wyrwane serca i płuca; słyszano trzask kości w zębach. Niektóre lwy, chwyciwszy ofiary za boki lub krzyże, latały w szalonych skokach po arenie, jakby szukając zakrytego miejsca, gdzieby mogły je pożreć; inne w walce wzajemnej wspinały się na siebie, obejmując się łapami, jak zapaśnicy i napelniając amfiteatr grzmotem... Chwilami słychać było niehumaniczny wrzask, chwilami oklaski, chwilami ryk, pomruk, kłapanie kłów, wycie molosów, chwilami jęki tylko... Wypuszczono teraz zwierzęta wszelkiego rodzaju: tygrysy z nad Eufratu, numidyjskie pantery, niedźwiedzie, wilki, hyeny i szakale. Cała arena pokryła się jakby *ruchomą falą* skór pręgowanych, żółtych, płowych, ciemnych, brunatnych i centkowatych. Powstał *zamęt*, w którym oczy *nie mogły już nic rozróżnić*, prócz okropnego przewracania się i *kłębienia* grzbietów zwierzęcych. Widowisko straciło pozór rzeczywistości, a zmieniło się jakby w orgję krwi, jakby w straszny sen, jakby w potworny majak obłąkanego umysłu. Miara była przebrana. Wśród ryków, wycia i skowyczenia ozwały się tu i ówdzie na ławach widzów przeraźliwe, spazmatyczne śmiechy kobiet, których siły wyczerpały się wreszcie. Ludziom uczyniło się straszno...”

Uważny czytelnik dostrzeże wnet, jak autor rozpoczął od grupy, którą dokładnie widzimy (ojciec z synem, napadający lew), jak potem pokazał nam szereg scen strasznych, ale

trwających krótko, migających jak błyskawica, i jak wreszcie rozłoczył przed nami „ruchomą falę“, obraz „zamętu“, w którym oczy „nie mogły już nic rozróżnić“. Przez sztukę autora przed oczyma czytelnika przesuwają się złowrogie obrazy coraz szybciej, coraz szybciej, aż wreszcie przekształcają się w jakieś potworne kłębowisko.

Arcydziełem znów plastyki, o ile chodzi o obraz ruchomy, z szczegółami dokładnie się znaczącemi, jest przepyszenie skreślona scena pasowania się Ursusa z bykiem. „Lig trzymał dzikie zwierzę za rogi. Stopy jego zaryły się wyżej kostek w piasek, grzbiet wygiął mu się, *jak łuk napięty*, głowa schowała się między barki, na ramionach *muszkuły wystąpiły* tak, iż skóra niemal pękała pod ich parciem... Tur zarył się, również jak człowiek, nogami w piasek, a ciemne, kosmate jego ciało skurczyło się tak, iż wydawał się *do olbrzymiej kuli podobny*... Głosy zamarły widzom w ustach... A człowiek i zwierz stali ciągle, w okropnem wysileniu, rzekłbyś, wkopani w ziemię. Wtem głuchy, podobny do jęku ryk ozwał się z areny... Ludzie mniemali, że śnią: oto potworna głowa byka *poczęła się przekręcać* w żelaznych rękach barbarzyńcy. A twarz Liga, kark i ramiona poczerwieniały, jak purpura, *grzbiet wygiął się jeszcze silniej*...“ i t. d. Bardziej plastycznego obrazu niema w żadnem z dzieł Sienkiewicza.

Zrozumiałym też był zachwyt, jaki wywołała powieść. Powód zachwytu był jednak dwojaki: jedni zwracali uwagę głównie na artyzm powieści nadzwyczajny, drudzy na ducha, który ją przenikał. „Quo vadis“ ukazało się bowiem w czasach, kiedy „trzeźwe“ myślenie było jeszcze dla znacznej większości ludzi t. zw. ukształconych przykazaniem, w dobie zatem, w której pokładano wiarę w siłę materialną przedewszystkiem, a lekceważono wszelkie porywy, nie mające odpowiednika w sile. „Quo vadis“ było przypomnieniem i unaocznieniem starej prawdy, że duch zwycięża ma-

terję, że władcą Rzymu został nie Nero, lecz święty Piotr, że potworny Cezar minął, „jak mija wichry, burza, pożar, wojna lub mór, a bazylika Piotra panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu“. „Quo vadis“ jest tedy niepospolitem dziełem sztuki, ale równocześnie hymnem wyśpiewanym na cześć bohaterstwa ducha, miłości ludzi, miłości jako prawa i najwyższego przykazania.

V.

Krzyżacy. — Pęd do mocy. — Sposoby kreślenia postaci. — Miłość rodu, żądza ziemi, poszanowanie dla czci rycerskiej. — Rozmaitość postaci. — Postaci humorystyczne. — Obrazy rodzajowe. — Wyobrażenia religijne. — Wzruszenia wywołane obrazami śmierci. — Obraz życia XV wieku. — Wzmianka o innych powieściach. — W pustyni i w puszczy. — Wychowawcza wartość powieści. — Listy.

Omawiając „Trylogję“, zwróciliśmy uwagę na kult siły, jako na rys u Sienkiewicza znamieny. W „Krzyżakach“, powieści historycznej, wydanej po „Quo vadis“, łączy się kult siły z kultem miłości, pojętej tu jako spoidło, wiązadło, łączące ludzi, grupy ludzkie, rody i narody.

Czasy to jagiełłowe — Polska idzie „niepowstrzymanym pędem do jakiegoś niezmiernego dorobku“, „nadmiar s ... rozpiera całą społeczność“, jestto jakby war, „który musi z naczynia wykipieć“. Pęd do mocy, ale ta moc ma się opierać na poszanowaniu prawa, wolności, na przygarbieniu do siebie krzywdzonych, ciemnionych. Więc ma ona granitową podstawę moralną i dlatego jest nieodparta. Duch „Quo vadis“ żyje w „Krzyżakach“.

Powieść zakrojona na szerokie rozmiary, z wszystkich powieści Sienkiewicza najbardziej zbliżona do epopei. Daje naprawdę obraz życia narodu, rozsnuta jest na tle historycznym, w dalszej perspektywie (czasowej) pokazane Płowce, Sieradz. Historycznych postaci wprowadza w niej Sienkiewicz dużo, ale nie przybliża ich tak, jak w „Trylogji“

lub „Quo vadis“ — przeciwnie, według zasad, wysnutych ongiś na zachodzie z romansów Walter-Scotta, daje jakby obrazy na szkle, które mienia się pod wpływem promieni słońca, ale raczej pozwalają się oglądać niż dokładnie poznać. W ten sposób skreślił autor postać Jagiełły i Jadwigi. „Król wszedł... drzwiami od zakrystji, i, zanim doszedł przed ołtarz, można mu się było dobrze *przypatrzeć*. Włosy miał czarne, zwichrzone i rzadniejące nieco nad czołem, długie, po bokach założone za uszy, twarz smagłą, całkiem ogoloną, nos garbaty i dość spiczasty, koło ust zmarszczki, oczki czarne, małe, świecące, któremi rzucał na wszystkie strony, jakby chciał, zanim dojdzie przed ołtarz, porachować wszystkich ludzi w kościele...“ Włosy szybkim ruchem rąk zagarnia Jagiełło za uszy. Takim widzimy go kilkakrotnie, zawsze takim samym, zawsze jakby niespokojnym. Odzywa się król rzadko, mniej też baczymy na słowa, więcej na jego wygląd.

W podobny sposób skreślona królowa — jest to jakby zjawisko. „Weszła przez drzwi od zakrystji. Ujrawszy ją, rycerze bliżsi stallów, jakkolwiek msza się nie zaczęła, poklękali natychmiast, oddając jej cześć, jak świętej... Wszystkie oczy spoczęły teraz z miłością na tem cudnem obliczu, któremu ni złoto, ni drogie kamienie nie mogły przydać ozdoby. Królowa szła zwolna od drzwi zakrystji ku ołtarzowi, mając oczy wzniesione do góry, w jednej ręce książkę, w drugiej różaniec. Zbyszko ujrzał liljową twarz, niebieskie źrenice, rysy poprostu anielskie, pełne spokoju, dobroci, miłosierdzia...“ Witraż kościelny...

Z osób niehistorycznych postacią „zjawiskową“ jest Danusia. Zawsze wyobrażamy ją sobie tak, jak ujrzelśmy ją w gospodzie w Tyńcu, z lutnią nabijaną miedzianami ćwioczkami, z wianuszkiem na głowie, z rozpuszczonemi po ramionach włosami, w niebieskiej sukience. Stoi na ławce, śpiewa „Gdybym ci ja miała skrzydełka jak gaska...“ i wy-

daje się „małym dzieckiem..., przecudnem, jakby jakowąś figurką z kościoła albo z jasełteczek...”

W inny zupełnie sposób pokazani panowie polscy, przesławny Zawisza z Garbowa, Zyndram z Maszkowic, Paweł z Taczewa i inni. Tych znów prawie nie oglądamy, nie potrafilibyśmy odpowiedzieć na pytanie, jakie ich rysy, gesty — natomiast słyszymy, co mówią. Mówią zaś niewiele, ale za to potężnie, poznać, że oni to są tym rozumem, który wiedzie Polskę jagiełłową po drodze chwały. Wystarczy przypomnieć odezwanie się Zyndrama z Maszkowic: „Utwierdzenie to jest nic, bo co ręką ludzką stawiane, to ręką ludzką zburzyć zdoła. Wiecie, co trzyma w kupie cegły? — wapno! A wiecie, co ludzi? — miłość“, albo: „Nie zwali ci się z konia przy pierwszym starciu rycerz, choćby najmocniejszy, ale taki, którego ma poderżnięty poprąg u siodła i strzemiona?“ i t. d.

Za to ludźmi z krwi i kości są Maćko z Bogdańca, Zbyszko, Zych, Wilk ojciec i syn i inni. Zwłaszcza Maćko i Zbyszko. W Maćku skupiły się te cnoty, które wiodą każdy naród do wielkości: miłość rodu, miłość i żądza ziemi, poszanowanie dla czci rycerskiej. Miłość rodu! Hej Grady, Grady! Wyginął ród Gradów pod Płowcami, ale Maćko przez Zbyszka odnowi ten ród i powróci mu dawną moc i sławę. On gotów za bratanka na śmierć się ofiarować, boć stary on już, a „pomiarkowawszy, to lepiej, żeby człek zginął, niż żeby ród miał zginąć...“ Ba! Kasztel musi Maćko postawić dla Zbyszka i jego potomków, na małym on nie poprzestanie... Zabiega, stara się o ziemię, o ludzi, pilnuje i ciągle liczy; Bogdaniec, opatowe majątki, Spychów, Moczydoły... hm, nieźle to już, wcale nieźle, ale wartoby kupić i Brzozowę. Co tam za łaki! Gdy zaś zbyszowska Jagienka powiła bliźniaki, „niebo otworzyło się przed starym rycerzem, miał już bowiem dla kogo pracować, zabiegać i wiedział, że ród Gradów nie zginie...“ Nie napróżno,

choć lata były już nie potemu, na Litwę pociągnął, walczył pod Wilnem, by tylko łupami się wzbogacić, wrócić, ziemię wykupić, zaludnić, odbudować gródek. Nie dla siebie, wszystko dla rodu.

Ale nie przeciw czci! Cześć rycerska rzecz święta — wpoił ją też w swego bratanka, jako najpierwsze przykazanie. Gdy Lichtenstein żąda od Zbyszka upokorzenia się (a gdy się nie upokorzy, grozi mu śmierć), Zbyszko odpowiada Powale „choćabym miał dwie głowy i choćby mi kat obiedwie miał uciąć — jedną mam cześć, której mi porażbić nie wolno“. „A wy co powiadacie?“ — pyta Powala Maćka. Na co Maćko posepnie: „Ja powiadam, że tego chłopca od młodości wypiastowałem... Na nim też stoi nasz ród, bom stary — ale on tego uczynić nie może, choćby miał zczesznać...“

Rozmaitość postaci, charakterów, jak w poprzednich powieściach, znaczna. Olbrzymi i straszny Jurand ze Spychowa, skrzywdzony okrutnie a kończący jak święty, krotochwilny Zych ze Zgorzelic, gniewny ale czuły na dobre słowa stary Wilk, dobra a pełna prostoty księżna Danuta, opat, Jagienka i t. d. i t. d. Jagienkę zwłaszcza skreślił autor z lubością. Jest ona przeciwstawieniem Danusi. Tamta „jakby figurka z kościoła“, Jagienka jest istotą żywą, pełną powab, bijących wprost od niej. I znów taką, jak widzimy ją po raz pierwszy, będzie nam się zawsze przedstawiała, tak ją utrwaliła nam nasza wyobraźnia. „Zbyszko ujrzał najdziwniejsze w świecie widowisko: Oto na chybkim srokaczu sadziła ku nim, siedząc po męsku, dziewczyna z kuszą w ręku i oszczepem na plecach. W rozpuszczone od pędu włosy powszczepiały jej się chmielowe szyszki; twarz miała rumianą jak zorza, na pierśsiach rozchełstałą koszulinę, a na koszuli serdak wełną do góry. Dopadłszy, osadziła na miejscu konia...“ Nic to dla niej zapolować z kuszą, czy oszczepem — dla miłości swego

Zbyszka i na niedźwiedzia pójdzie. Danusia to dwórka na zamku wielkiej pani, ustrojona już tak, jak przykazywała moda idąca z Zachodu, Jagienka to szlachcianka wychowana zdala od miasta, pół życia na koniu, w serdaku, ale gospodarna, dbała o spiżarnię, o robienie zapasów, o ojca, braci. Niech jednak zetknie się z dworem książęcym, potrafi przyswoić sobie wnet górne obyczaje, bo jest w niej dostojność wrodzona, ta, która tkwi w pięknej, czystej duszy.

Król i królowa, księżęta mazowieccy i księżne, rycerz kresowy, możni panowie, szlachta-rycerze, szlachcianki — wszystkich poznajemy tak, że zarysowuje się przed nami wybornie obraz Polski jagiełłowej, o ile na ten obraz składały się rozmaite warstwy narodu. Ale jeśli obraz miał być wszechstronny i wierny, Sienkiewicz nie mógł zapomnieć i o innych charakterystycznych, typowych postaciach, mówiących nam o dobie dziejowej.

Do takich należy ksiądz opat. Cóż za pyszne malowidło. Widzimy go, jak pędzi na koniu z włosami rozwianymi, z pałaszem u boku (bo szlachcic on jest), z polatującymi szeroko czerwonymi rękawami. A „jak ci huknie przy mszy, to aż jaskółki pod pułapem z gniazd wylatują, no, i chwała boża rośnie...“ Ognistyż to opat, nie sprzeciwiać mu się. Gdy Zbyszko pokrzyżował jego plany, „opat stał przez chwilę jak skamieniały, i tylko po mruganiu oczyma można było poznać, że żyw jeszcze. Nagle zawrócił się na miejscu, wywalił nogą drzwi alkierza, wpadł do izby, tam chwycił krzywą łęgę z rąk pątnika i począł nią okładać swych szpylmanów, rycząc przytem jak ranny tur: Na koń, skomorochy! na koń, psiawiary! Noga moja w tym domu nie postanie! Na koń, kto w Boga wierzy! Na koń!... I znów wywaliwszy drzwi, wypadł na dziedziniec, a przerażeni klerycy-waganci za nim... Opat klął, przeklinał dom, ludzi, pola, a gdy podano mu konia, skoczył na niego bez strzemion

i puścił się w cwał z miejsca, z rozwianemi przez wiatr rękawami, podobny do olbrzymiego czerwonego ptaka...”

Przeciwstawieniem księdza opata jest ksiądz Kaleb, człowiek na poły święty. Polska jagiełłowa miała bo dwa rodzaje księży, właśnie takich jak opat i jak ksiądz Kaleb.

Nie wszyscy też szlachta ziemianie byli podobni do Zbyszka. Zbyszko — wiemy — znał już obyczaj rycerski i strój rycerski zachodni (jedna nogawica w pasy podłużne zielone i czerwone, druga w fioletowe i żółte), umiał potykać się za damę swego serca „pieszo alibo konno“, o ileby ktoś nie przyznał, że dama ta jest najpiękniejszą i najcnotliwszą z wszystkich dziewcząt, umiał nawet — gdy trzeba — mówić przez nos, ale nie wszyscy byli takimi. Jak Jagienka, wychowawszy się zdala od dworów pańskich, cwałowała na koniu z rozchełstaną koszulina, tak sąsiedzi jej, młodzi ziemianie, o obyczajach wielkoświatowych nie zastyszawszy, żyli, jak żyli ich pradziadowie, na wpół dziko jeszcze, „włochatych pysków nie strzygli“, na wezwanie rycerskie potrafili odpowiedzieć „jako psubracie?“ poczem udrzeć deskę ze stołu i ruszyć z nią na przeciwnika. Takimi na wpół dzikimi postaciami są młodzi Wilk z Brzozowej i Cztań z Rogowa. Ludzie to prawie pierwotni. Kiedy Zbyszko ubiegł ich przy Jagience, zdębieli w pierwszej chwili, a potem wypadli z kościoła na cmentarz i zatrzymali się aż w miejscu, gdzie leżały olbrzymie głazy. „Tam Wilk, chcąc spędzić złość, która burzyła mu się aż pod szyję w piersiach, chwycił za jeden z głazów i jął nim potrząsać ze wszystkich sił, co widząc Cztań, chwycił go także i po chwili poczęli obaj toczyć go z wściekłością przez cały cmentarz, aż ku wrotom kościelnym“. I dopiero, gdy głaz znalazł się przed wrotami, ulżyło im znacznie. Wilk i Cztań są oczywiście kontrastem Zbyszka, jak Jagienka jest kontrastem Danusi.

Rycerz zachodni, nie wolny od śmieszności, postać traktowana humorystycznie, to Fulko de Lorche. Przypo-

mina on hiszpańskiego „rycerza smutnego oblicza“ Don Kiszota i na nim jest (nieświadomie zapewne) wzorowany. Podnosi oczy w górę i wzdycha raz po raz do swojej „starki“ Ulryki de Elner, gotów o nią każdej chwili do rozprawy, a potem ślubuje Agnieszce z Długolasu i, by ją pozyskać, walczy nawet ze smokiem, który okazuje się worem słomy z ogonem z powróseł.

Postacią humorystyczną jest także Sanderus. Ten był potrzebny w powieści po to, by czytelnik uzmysłowił sobie, że akcja toczy się w dobie, kiedy to ludzie kupczyli rzekomemi relikwjami i odpustami, podając się za wysłanników stolicy apostolskiej. Boć Sanderus jadł jeszcze zeszłej Wielkanocy z Ojcem świętym jaja na twardo, a relikwje ma nie byle jakie! Ma kopyto osiołka, na którym odbyła się ucieczka do Egiptu, ma pióro ze skrzydeł archanioła Gabrijela, które uronił podczas Zwiastowania, szczebel z drabiny, o której śniło się Jakóbowi, nieco rdzy z kluczków św. Piotra i t. d. I odpusty wozi również najrozmaitsze „całkowite i na pięćset lat i na trzysta i na dwieście i na mniej, tańsze, aby i ubodzy ludzie mogli je nabywać i tym sposobem czyścicowe męki sobie skracać“, ma odpusty „na przeszłe grzechy i na przyszłe“, a pieniądze, które za nie zbiera, odwozi do Rzymu na nową wyprawę krzyżową, sam zadowalając się kawałkiem czarnego chleba. Wprawdzie przeor sieradzki podejrzewa go, że jego i relikwje i odpusty i pieczęcie i świadectwa są fałszywe, ale oczywiście krzywdzi tylko pobożnego pielgrzyma. Jeżeli mimoto Sanderus woli się przeorowi na oczy nie pokazywać, to jedynie dlatego, by go nie przywołać do grzechu i bluźnierstw przeciw świętościom. Chociaż kto wie, czy już za dotychczasowe podejrzenia nie zostanie przeor potępiony bez ratunku.

Innego rodzaju osobliwościami, charakteryzującemi wiek, są „szpylmany“ księdza opata. To niedoszli klerycy, włóczęgi czepiający się możliwych duchownych, opilce. Każdy

z nich wolał „prasnać książkę, a chycić lutnię i z nią włóczyć się po świecie“. Nicponie to i „powsinogi okrutne“ — jak mówi o nich sam opat — ale umieją śpiewać i „trochę służby bożej liznęli“, więc jaki taki z nich pożytek nawet w kościele, a „w potrzebie i obrona“ dla księdza opata, bo niektórzy „sierzyste pacholki“. Jeden z nich był nawet w Ziemi świętej, szkoda tylko, że nic o niej powiedzieć nie potrafi. Następstwo to złośliwej „frybry“ — „jak go wzięła na Dunaju trząść, tak i wszystko wytrzęsła“.

Wszyscy ci ludzie, nawet i „szpylmany“ (tylko nie Sanderus, choć na starość budzi się w nim pociąg do żelaza i stali — zostaje golibrodą), wszyscy ci ludzie odznaczają się nie byle jaką siłą fizyczną, a Sienkiewicz z lubością — jak zawsze — mocarność ich przedstawia. Dzieweczki z krwi książąt mazowieckich łącznie łąmą podkowy, niejednen szlachcic potrafi rozedrzeć pancerz, Zbyszko wyciska sok w garści z świeżego kołka, Dobko z Oleśnicy rozciąga na turnieju w Toruniu dwunastu rycerzy i t. d. i t. d. Z dowodami niespożytej siły mięśni spotyka się czytelnik ustawicznie, życie bowiem obozowe, wojenne, zapasy i polowania wypełniają znaczną część kart „Krzyżaków“. Zupełnie to jasne. Ludzie ówczesni żyli życiem bardziej zewnętrznem, fizycznem, niż my dziś, silne ramie było równie szanowane, jak rozum, może więcej.

Polowań zwłaszcza w Krzyżakach mamy sporo, i na upatrzonego i na niedźwiedzia, z widłami tylko i z oszczepem, i na bobry i wielkie łowy na grubego zwierza na Mazowszu z olbrzymią nagonką.

Nie brak i innych przejawów życia świadczących równocześnie o wyobrażeniach ówczesnych, by tylko wspomnieć o sądzie bożym (Zbyszko i Rotgier), przyczem Sienkiewicz, zupełnie na wzór dawniejszych powieści, otoczył do czasu postać Zbyszka tajemniczością. (Zbyszko wyzwał Rotgiera na sąd boży — „wszystkie oczy zwróciły się na

Rotgiera i na wyzywającego rycerza, którego *nikt nie poznał*, albowiem na głowie miał hełm..., który zakrywał zupełnie górną część twarzy, na dolną zaś rzucał cień głęboki“).

Obrazów „rodzajowych“, charakteryzujących wiek XV, znajdujemy również w powieści niemało. Autor dba o to, by ludzi ówczesnych pokazać w rozmaitych sytuacjach, u siebie w domu i w gościnie, w kościele, w podróży, na dworze i w gospodzie. Zwraca przy tem uwagę na szczegóły. Pamiętamy „uczte“ dworu księżny Danuty w gospodzie tyńieckiej, owe misy, pełne dymiącej jajecznicy, okolone kiełbasami, i zachowanie się Zbyszka podczas wieczerzy, jak odkrawuje co najtłustsze kawały kiełbasy dla Danusi albo je wprost do ust jej wkłada. Pamiętamy, jak biesiadnicy kruszą potem w szczękach skorupy orzechów, jak później przytupują muzyce albo brzękają do wtóru misami.

Z szczególną pieczołowitością dbał Sienkiewicz o skreślenie współczesnych wyobrażeń religijnych. Bóg Ojciec według tych wyobrażeń to jakby potężny człowiek, nie spuszczaający oka z niczego, ale żądający też tego, co mu się należy. „Po prawdzie niemała to rzecz na cały świat dawać baczenie i w niczem nie zapomnieć, ale po pierwsze człek się tam czem może przypomina, kościołowi świętemu nie skąpiąc, a powtóre: co boska głowa, to nie ludzka“. Tak mówi Maćko, widzimy jednak, że skoro trzeba się Bogu „przypominać“, bardzo ów Bóg maćkowy podobny do człowieka. I Chrystusowi też się trzeba przypodobać, darem Go sobie ująć, aby Swej łaski nie skąpił. Zbyszko przyrzeka Mu dziesięcinę, ale uznaje wnet, że to za mało, więc przyrzuca nową obietnicę: воск dla kościoła — całocenny zbiór. „Spodziewał się, że... Pan Jezus szczególnie będzie rad z wosku na świece i, chcąc go prędzej dostać, prędzej mu też pomoże“. A Święci Pańscy? Z tych każdy ma swój urząd, swój dział — przyobiecać Mu, to można coś uzyskać. Trzeba tylko wiedzieć, do którego z Świętych

zwrócić się w każdej sprawie, bo tam w niebie „jeden do drugiego nigdy się nie miesza“, jako iż z tego „mogłyby niezgody wyniknąć“, a w niebie „nie przystoi się Świętym wadzić alibo się potykać“. Święci Kosma i Damjan są tedy od chorób, św. Apolonja od zębów, św. Liborjusz od kamienia, ale — nad tem biedzi się Maćko — który święty jest od ran? I postanawia — za radą Zbyszka — zwrócić się do zmarłej królowej Jadwigi, bo choćby i nie była ona od ran, to jednak „nie będzie się śmiał na nią oburzyć byle Święty, a skrzywi się, to jeszcze sam od Pana Boga oberwie, boć to przecie nie żadna zwyczajna nawojka, ale królowa polska...“ Wierząc w Chrystusa i Świętych, wierzy równocześnie lud i szlachta w dobie jagiełłowej w bożków pogańskich, tylko uważa ich za diabłów. Z tymi to lepiej być na dobrej stopie, bo nie dać im twarogu, czy pieczonej rzepy, czy piany z piwa, to pomszczą się na koniach, na żniwach, na mleku. To też Jagienka z przykazania Zbyszka stawia zawsze skrzatom miskę z jadłem pod progiem, a Zych tłumaczy: „księża krzyczą, pómstują! Panu Jezusowi przecie przez trochę klusków chwały nie ubędzie, a skrzat, byle był syt i życzliwy, to i od ognia i od złodzieja ustrzeże...“ Zgoda buduje!

Pogrążeni w przesądach na poły jeszcze pogańskich, są jednak ludzie z czasów Jagiełły zdolni do uniesień religijnych najczystszych, najszczerzych. Odkrycie Kielicha i Podniesienie napełniają zawsze duszę króla „uniesieniem, zachwytem, rozkoszą“, a księżna Danuta modli się tak żarliwie, że w czasie modlitwy świat przestaje dla niej istnieć („oczy księżny wzniosły się do góry, na twarzy jej obok pobożności i lęku odmalowała się rozkosz bez granic — i patrzącemu na nią zdawać się mogło, że to jakowaś błogosławiona, klóra w cudownem widzeniu ogląda niebo otwarte“).

Nie zapomniał autor i o zewnętrznym wyglądzie ówczesnej Polski — poznajemy (jak w „Trylogji“) bory, lasy,

łąki i moczary, urządzenie dworu pańskiego (księżny Danuty) i dworu szlacheckiego (w Bogdańcu), oglądamy domy, sklepy i ulice Krakowa, stroje.

Ugrupowanie osób spoczywa w „Krzyżakach” na tej samej zasadzie, co w „Trylogii” i w „Quo vadis” — są dwa obozy, z jednym z nich sympatyzujemy niepodzielnie. Podobną pozostała też intryga, o ile chodzi o plan ogólny, podobne są środki wzruszeń. Najsilniejsze wzruszenie wywołuje autor, jak niejednokrotnie już dawniej, obrazami śmierci.

Śmierć Danusi to jakby obraz malowany w świetle, pełen przedziwnej melancholji. Dochodzą pobrzęki kosy, kwiecie pachnie, cisza południa. Ale twarz Danusi, spoczywającej na noszach, blednie, na twarzy osiadają się gęste krople potu. Zbyszek targnął nagle niepokój. „Co ci jest? — spytał z okropnym przestachem. I uczuł, jak włosy zjeżają mu się na głowie, a mróz przechodzi przez kości. Co ci jest? powiedz!” — powtórzył. „Ciemno!” — szepnęła. „Ciemno? Słońko świeci a tobie ciemno? — zapytał zdyszczanym głosem. — Dopiero co mówiłaś przytomnie! Na imię boskie, rzeknij choć słowo!” Poruszyła jeszcze ustami, ale nie mogła już nawet szeptać... Wnet potem wychudzone jej dłonie jęły drgać i trzepotać się po kilimku, którym była okryta. Trwało to chwilę. Nie było już się co łudzić: konała!... Niewiasty i pachotkowie poczęli odmawiać litanję. „Powiew ustał, przestały szemrać liście na gruszy i tylko słowa modlitwy rozlegały się wśród wielkiej, polnej ciszy...” Danusia przy odgłosie tych modłów zasnęła snem wiekuistym. „Niewiasty zamknęły jej powieki, a następnie poszły po kwiaty na łąkę. Pachotcy udali się ich śladem — i tak chodzili w słońcu, wśród bujnych traw, podobni do duchów polnych, pochylając się co chwila... Aż gdy już mieli pełne naręcza, otoczyli smutnym korowodem nosze i poczęli je maić. Pokryli więc prawie całkiem kwieciami

i ziółmi zwłoki zmarłej, nie zasłaniając tylko twarzy, która wśród dzwonek i lilij biała cicha, ukojona snem nieprzespanym, pogodna i anielska... Na niebie całem nie było żadnej chmurki i świat cały wygrzewał się w *złotym blasku słonecznym*...”

W inny sposób przedstawiona śmierć królowej Jadwigi. Tam czytelnik odczuwa to, co czuł lud krakowski, udziela mu się *wzruszenie ogółu*. Pod Wawelem „jedno morze ludu — niespokojne, przerażone, ale milczące”. Wtem odzywa się dzwon na wieży... Co to? Niepokój podnosi zebrany włosy na głowach, a tymczasem żalosny jęk poczynają powtarzać inne dzwony... w całem mieście.. Przerażenie ogarnia lud. Nagle na wieży zjawia się czarna chorągiew z wielką trupią głową pośrodku... A wówczas ustała wszelka wątpliwość, pod zamkiem rozległ się ryk i płacz stu tysięcy ludzi. Niektórzy rzucali się na ziemię, inni darli na sobie szaty lub rozdrapywali twarze — inni spoglądali na mury w niemem osłupieniu, niektórzy jęczeli głucho...” i t. d. Z tą metodą spotykaliśmy się już po wielekroć u Sienkiewicza.

Natomiast czemś zupełnie nowem w *sposobie przedstawienia* jest śmierć Zygryda. Są tu straszliwe wizje przedśmiertne. Jest w nich groza, taka, jaka wieje z niektórych podań germańskich, północnych. Zygryda żre rozpacz. „Chwilami tężała i krzepła w nim myśl..., ale potem znów gorączka budziła go i zarazem budziła w nim jakieś głuche poczucie..., że nadszedł jakiś kres, że naokół jeno noc i noc i nicość i jakby otchłań okropna, wypełniona przerażeniem, ku której musi jednak iść. „Idź! idź! — szepnął mu nagle nad uchem jakiś głos. A on obejrzał się — i ujrzał *śmierć*. Sama kształtu kościotrupa, siedząc na kościotrupie końskim, sunęła tuż obok, biała i klekocąca kośćciami. „Jesteś?” — zapytał Zygryd. „Jestem. Idź! Idź!” Ale w tejże chwili spostrzegł, że z drugiej strony ma także towarzysza: strzemię w strzemię jechał jakiś twór ciałem

podobny do człowieka, ale z nieludzką twarzą, głowę miał bowiem zwierzęcą, ze stojącemi uszami, długą, spiczastą i pokrytą czarną sierścią. „Ktoś ty?“ — zawołał Zygfryd. Ów zaś, zamiast odpowiedzi, pokazał mu zęby i począł głucho warczeć... Towarzysze... nie odstępili go ani na mgnienie oka — i zawiedli ze środka drogi na skraj boru. Tam czarny upiór pochylił mu gałąź i pomógł przywiązać do niej rzemień uzdy. „Spiesz się!“ — szepnęła śmierć... I Zygfryd, zmorzony straszliwemi wizjami, popełnia śmierć samobójczą, wiesza się. Przeciwwstawieniem tej sceny, prze-rażającej grozą, jest koniec życia Juranda — skon świętego...

W „Krzyżakach“ jednak, podobnie jak w „Trylogii“, spotykamy się z dwoma rodzajami wzruszeń. Jednych dostarcza intryga: np. lękamy się o osobę bohatera lub bohaterki, bolejemy nad ich niepowodzeniami, cieszymy się gdy trudności przewyciężą. Są to wzruszenia — ściśle rzecz biorąc — poza granicami artyzmu, choć artyzm może siłę ich podnieść lub umniejszyć. Inne mają swe źródło w uczuciach autora, tych uczuciach, jakie on żywi wobec sprawy narodowej. Kunona Lichtensteina, Danvelda, Rotgiera, Zygfryda czytelnik nienawidzi nie tylko dlatego, że to są ludzie źli i przewrotni, że stają na drodze szczęścia bohatera i bohaterki powieści, ale i z tego powodu, że od nich i im podobnych grozi niebezpieczeństwo państwu jagiellowemu. To też czytając również epilog powieści: Grunwald, nie sam artyzm opisu ma czytelnik na oku, przeciwnie zapomina niemal o tym artyzmie, a wzrusza się wielkiem zwycięstwem, które położyło koniec „nędzom i trudom... całych stuleci“. Z opisu tego bije z szczególną siłą gorąca, namiętna miłość ojczyzny, wiara w ostateczny triumf dobrej sprawy, sprawiedliwości. Autor, w tem jedynem miejscu w „Krzyżakach“, nie może się powstrzymać, by nie przemówić wprost od siebie. Rozbiła się „fala zalewająca nieszczęsne krainy...“

„Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!...“

„Krzyżacy“ jako całość są jedną z najpotężniejszych powieści Sienkiewicza. Mimo wzruszającej intrygi panuje w nich wielki epicki spokój, poznajemy z nich naprawdę w szeregu obrazów życie XV wieku, wyobrażenia współczesne, sposób myślenia, poznajemy też, lepiej niż w „Trylogji“, zewnętrzną stronę życia rozmaitych warstw, rozmaitych stanów. Typ powieści (romans przygód) się nie zmienił, ale rozszerzyło się tło i uwypukliły się wydatniej szczegóły. Ścisłejsze (niż np. „Ogniem i mieczem“) przestrzeganie przedmiotowości wyszło również dziełu na korzyść.

Prócz omówionych powieści napisał jeszcze Sienkiewicz powieść współczesną „Wiry“ (1910), osnutą na tle rozruchów warszawskich z r. 1905, powieść historyczną z czasów Jana III p. t. „Na polu chwały“, dzieło dla młodzieży p. t. „W pustyni i w puszczy“ i począł pisać powieść p. t. „Legjony“, ale nie ukończył jej z powodu wybuchu wojny.

Przygody Stasia i Nel, to jakby Robinson polski w Afryce. Jest nawet Piętaszek (Kali), gospodarstwo (na górze Lindego), ale przede wszystkim jest w powieści to, co rozstrzyga o wartości wychowawczej i „Robinsona“ i „W pustyni i w puszczy“ — jej myśl przewodnia, choć ani razu nie wypowiedziana: radź sobie w najtrudniejszych okolicznościach, jak możesz, przy użyciu środków, jakimi rozporządzasz. Pomysłowość małego Polaka jest istotnie zdumiewająca. By pogoń znalazła ślady, każe autor Stasiowi rzucić sprytnie rękawiczki, każe mu wypuszczać ławce z napisami, później wysadzić skałę, zagrządzając wyjście Kingowi, poradzić sobie w wiosce murzyńskiej ze złem „Mzimu“, użyć rac w czasie bitwy i t. d. A cóż mówić o wychowawczej wartości bohaterstwa Stasia! Czynny to zdolne obudzić w młodych czytelnikach (a dla nich Sien-

kiewicz napisał tę powieść) uczucia najszlachetniejsze. Taka obrona Nel przed korbaczem Gebhra, zachowanie się wobec Mahdiego, oddanie Nel resztki wody wśród najokropniejszych mąk, wyprawa w nocy po chininę — to wszystko ze stanowiska moralnego, etycznego czyni wagi pierwszorzędnej. Wszelako nie brak także innych szlachetnych pierwiastków w tej prześliczej opowieści. Młodzi czytelnicy zrozumieją, jak i dlaczego trzeba leczyć się z zarozumiałstwa i chępliwości (uczy się tego Staś w zetknięciu z twardą dolą), poznają, co to jest i na czym polega godność osobista (stosunek Stasia do jego katów), oceniają wartość szlachetnych uczuć i postępów (wstawiennictwo Stasia i Nel za Fatmą). Słowem „W pustyni i w puszczy“ to dla młodzieży powieść wprost wymarzona, jedna z najdoskonalszych, jakie istnieją.

Dodajmy, że prócz powieści i nowel napisał Sienkiewicz jeszcze wiele artykułów, rozpraw, że pisał także utwory dramatyczne. Owocem podróży jego (bardzo licznych) są pełne humoru, werwy, świetne „Listy z Ameryki“ i spokojne, czasem tchnieniem melancholji owiane, ale niemniej piękne „Listy z Afryki“.

VI.

Właściwości talentu twórczego. — Podstawą twórczości rzeczywistość. — Obserwacja. — Dopelnianie rysów. — Postaci stworzone mocą wyobraźni. — Talent epiczny. — Obrazy malarskie. — Stanowisko autora. — Wyolbrzymianie postaci. — Uczuciowość. — Szczęście i cierpienie jako przedmiot wzruszeń. — Przedmiotowość. — Wpływ Sienkiewicza. — Znaczenie jego narodowe.

Rzućmy raz jeszcze okiem na twórczość Sienkiewicza i odpowiedzmy na pytanie, na czym polega wielkość pisarza, dlaczego dzieła jego budzą powszechny zachwyt, jakie są właściwości jego talentu twórczego? Odpowiedź będzie — po części — streszczeniem tego, o czym już wyżej była mowa.]

Sienkiewicz wychodzi zawsze od rzeczywistości. Podstawą dla niego jest obserwacja, pilne przypatrywanie się ludziom i stosunkom. Z obserwacji wyrosły jego nowele, Bez dogmatu, Rodzina Połanieckich.] Ale przypatrywać się można nie tylko ludziom żywym, można to czynić również, czytając stare kroniki, pamiętniki. Wówczas jednak — i to w silniejszej mierze, niż przy obserwacji współczesnych nam — potrzebna jest wyobraźnia, która postaci martwe wskrzesza, z kilku słów, odezwań się, czynów odbudowuje całość charakteru. Owoż Sienkiewicz, jakkolwiek z rzeczywistością nigdy nie zrywa, umie i to w sposób nadzwyczajny, wyobraźnią dopełniać rysów i w ten sposób stwarzać postaci czasem prawie nowe. O Skrzetuskim, Wołody-

jowskim, Ketlingu, Rochu Kowalskim historia zapisała słów ledwie kilka — Sienkiewicz postać Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego dopełnił, a Ketlinga i Rocha Kowalskiego naprawdę stworzył. Czasem (rzadko) pobudką dla niego była, obok obserwacji postaci żywej, lektura jakiegoś romansu, dramatu. Tak się ma rzecz z postacią Zagłoby. Istniał wzór żywy, ale znany był Sienkiewiczowi i Falstaf w dramatach Szekspira i Julian Żytkiewicz w jednej z powieści Czajkowskiego. Przypatrzmy się jednak dobrze imci panu Zagłobie, porównajmy go z Falstafem i Żytkiewiczem, a przekonamy się, że wyobraźnia Sienkiewicza dopełniła i przekształciła wzory tak, iż podobieństwo trzeba dopiero śledzić, a pan Zagłoba jest sobą, zawsze sobą, ma mnóstwo rysów, właściwości, których tamtym brak, jest świetniejszy, bujniejszy nawet od Falstafa i pozostanie zawsze prawdziwą ozdobą Trylogii. Ale Sienkiewicz umie nie tylko postać rzeczywistą dopełnić i przetworzyć, zdolny on jest również wymyślić charakter zupełnie oryginalny i tak go nakreślić, tak go wcielić, że czytelnik nie chce wierzyć, iż ma do czynienia tylko z tworem wyobraźni. A jednak tworam wyobraźni są i Kmicic i Azja Tuhajbejowicz i Winicjusz i najwspanialszy, najbardziej żywy, najsilniej wrażający się w pamięć Longinus Podbięta. To znów, obok Zagłoby, arcytwór Sienkiewicza.

Podobnie ma się rzecz z sytuacjami. Jedne są odtworzeniem tych scen, których Sienkiewicz był zapewne świadkiem, lub o których czytał w dziełach historycznych, i to odtworzeniem bardzo wiernem, inne znów przetwarzają, ale mnóstwo sytuacji wymyślił sam autor, a wymyślił tak, że czytelnika i zajmują w sposób wysoki i wzruszają go, nie budząc zupełnie wrażenia nieprawdopodobieństwa.

Postać, sytuację, którą przedstawia, Sienkiewicz doskonale widzi. Zwracaliśmy na to uwagę. Nietylko jednak widzi, owszem wrażliwy jest również (choć w mniejszym stopniu) na wrażenia słuchowe — ton głosu, jego barwa,

nateżenie uzupełniają często charakterystykę postaci. Wszelako wielu ludzi posiada tę zdolność odtwarzania sobie w wyobraźni rzeczy widzianych i słyszanych, ale nie potrafią się tem podzielić z drugimi. Sienkiewicz jest epikiem typowym: myśli obrazami i obrazy, jak malarz znakomity, kreśli. Oto osoba główna, oto postaci uboczne, tłum, w dali krajobraz, ugrupowanie mistrzowskie, wszystko wyraziste, uwypuklające się, pełne życia, barw. Jak każdy epik, Sienkiewicz staje raczej (choć nie zawsze) na stanowisku widza, przypatrującego się z rozkoszą, ze znanstwem kształtom, rysom charakterystycznym, światłom i cieniom, niż na stanowisku świadka, któryby współczuł z tem, co jest wewnętrzną treścią sceny (bitwy w „Trylogji!"). Umie zachować spokój wśród grozy, a gdy równowaga u czytelnika może być zachwiana, powróci mu ją z humorem.

Z takich obrazów barwnych, niezmiernie plastycznych, z łańcucha ich składają się wszystkie (z wyjątkiem „Bez dogmatu“) powieści Sienkiewicza. Spaja je intryga zajmująca w wysokim stopniu, a ściślej się wyrażając: intryga rozwija się w tych obrazach i przez te obrazy.

Autor, rozmiłowany w przejawach życia potężnych, wyolbrzymia nierzadko postaci swe, obdarza je siłą niemal nadludzką (Longinus, Ursus, Zbyszko), każe im dokonywać czynów herkulesowych, ale z przejęciem się kreśli również pasowanie się wewnętrzne, walkę duchową (Jeremi, Kmicic, Jurand), wielbi bohaterstwo, umie zdobyć się na wzniosłość.

Poza spokojem epickim kryje się u Sienkiewicza głęboka uczuciowość, uwidoczniająca się najsilniej w nowelach, ale znacząca się również w powieściach. Można powiedzieć z wszelkiem prawdopodobieństwem, że ilekroć autor wzrusza nas ludzką niedolą, łzami, budzi w nas litość, sam doznawał podobnych uczuć. Nim je wyraził (choćby nie wprost), musiał je przeżyć, a każdy, tworząc, przeżywa takie uczucia, jakich już wprzód kiedyś doznał.

O środkach wzruszeń była mowa niejednokrotnie. Najogólniej możnaby określić sprawę tę tak: Sienkiewicz wzrusza nas cierpieniem lub szczęściem ojczyzny lub jednostki. Ojczyzna cierpi, gdy nęka ją nieprzyjaciół zewnętrzny, szczęśliwa jest, gdy zwycięży wroga orężem, jednostka żyje w męczarni prawie wyłącznie z powodu nieszczęśliwej miłości, a raczej z powodu spotykanych przeszkód, rajskiej słodyczy zaznaje, gdy przeszkody te przezwycięży. Cierpienie jest najczęściej złem koniecznem, niepożądanem, rzadko wydaje owoce zbawienne (Kmicica i Winicjusza uszlachetnia).

Wielki epik jest równocześnie wielkim realistą, twórcą przedmiotowym. Wystrzega się dzielenia z własnymi uczuciami, najmniej w nowelach i w „Ogniem i mieczem“, najpilniej w „Quo vadis“ i w „Krzyżakach“. Uczucie przejawia się jednak czasem w kształcie satyry, ironji gryzącej (w „Szkieletach węglem“, w „Rodzinie Połanieckich“), najczęściej w humorze pogodnym, półśmieszku. Plastyka i humor — podkreślmy to raz jeszcze — to siła i tajemnica talentu i powodzenia Sienkiewicza, tem on podbija, zachwyca.

Znaczenie jego jako powieściopisarza jest wprost olbrzymie. Jak soczewka skupił on w sobie wszystkie blaski, wszystkie dodatnie strony dawniejszego naszego romansopisarstwa, skarby jego pomnożył i znów je hojną dłonią rozrzucił. Wpływ Sienkiewicza da się odnaleźć i w Żeromskim i w Reymoncie i we wszystkich najmłodszych. Kształcili się oni na jego obrazach, na jego języku i stylu — jest on mistrzem całego pokolenia umysłów twórczych.

Jako artysta godzien jest tedy Sienkiewicz stanąć obok najznakomitszych powieściopisarzy współczesnej Europy, ale dla Polski bodaj większe jest jego znaczenie narodowe. Po wydrukowaniu już tych kartek rozniosły telegramy bolesną wieść o śmierci autora Trylogji — na tułaczce, w Szwajcarii w Vevey — a choć po ziemiach polskich od dwu lat

hula huragan wojny, choć porywa tysiące młodych istnień, nie znalazł się Polak, którego serce nie zakrwawiłoby się na myśl, że niema już tego wpośród nas, który był nam przyjacielem, opiekunem, nauczycielem, który trudem całego żywota wiódł nas do ziemi obiecanej.

Kochał Sienkiewicz Polskę całą mocą swej duszy gorącej i miłość dla niej siał w sercach tysięcy i setek tysięcy. Wskrzesał jej przeszłość i postawił nam ją przed oczyma tak żywą, że znamy ją wybornie, że przeszła być dla nas tylko kartą z historii, a poczęła być czemś niezmiernie bliskiem, realnem, dotykalnem niemal i nad wszystko umiłowanem. Rzucił most złoty między tradycją narodową a chwilą bieżącą, spoił dobę, która minęła, z teraźniejszością, połączył ogniwem uczuć dziadów z wnukami.

I uczynił coś więcej jeszcze: odtworzył rycerską przeszłość narodu, rozpałił dla niej wyobraźnię, pokazał, czem byliśmy, czem być możemy, wskrzesał ducha rycerskiego w narodzie.

Ale nie w samej rycerskości widział ocalenie. W strunę heroizmu uderzał wciąż, sławił siłę dzielnego ramienia, rozumiał jednak, że samo ofiarowanie się na śmierć nie da nam nic, żądał od nas wiary, prostej a niezachwianej, nieugiętej jak dogmat, nie rozumującej a wiecznie żywej, wiary w przyszłość, w zmartwychwstanie. Kto takiej wiary nie miał, nie był dla Sienkiewicza Polakiem, jak nie jest chrześcijaninem, kto w Boga nie wierzy.

I wiara jednak sama, nawet wsparta rycerskością, nie zbawi nas — trzeba doskonalenia się wewnętrznego, ciągłej nad sobą pracy, wyzbycia się prywaty, zdolności do składania wszelkich ofiar na ołtarzu miłości ojczyzny. Tu uderza Sienkiewicz w ton Skargi, jak on — poucza, jak on — zaklina, a nadziei więcej wlewa w serce, niż rozpaczający nad nieszczęsem Królestwem kaznodzieja królewski, bo pokazuje, jak z najstraszniejszej toni zdołał się wyratować naród, gdy tylko odrodził się wewnętrznie.

Tak dał Sienkiewicz przemnogim swoim czytelnikom, wprost całemu pokoleniu współczesnemu, wspólny ideał, rozbitych, wątpiących, złączył myślą jedną a wielką, był organizatorem duszy społeczeństwa.

Ale był on także — jak go nazywano — „ambasadorem Polski“ we wszystkich państwach i wśród wszystkich ludów Europy i poza jej granicami. Dzieła jego przetłumaczono na wszystkie języki, z dzieł tych czerpali obcy wiadomości o Polsce i dowiadywali się, że w samym sercu Europy żyje dwudziestomiljonowy lud o przeszłości sławnej, bohaterskiej, pełen sił żywotnych, ten sam lud, który wydał z pośród siebie Czarnieckich, Sobieskich, ten sam, który piersią swą osłaniał chrześcijaństwo przed nawalą, bijącą coraz od Wschodu niezmierzonymi, zdało się, falami, ten sam, który od wieku umie się bronić przed „wirami jałowego piasku“...

Był jednak Sienkiewicz „ambasadorem Polski“ i w innym znaczeniu, zabierał zawsze głos, ilekroć narodowi naszemu groziła nowa krzywda, przemawiał do sumień narodów i ich władców, a wówczas mówił tak potężnie, jak mówi samo sumienie. Był tłumaczem myśli i pragnień Polski wobec świata, stwierdzał, że mamy prawo do życia, bo żyjemy, cierpimy, kochamy i — bronimy się.

Czem był dla Polski w czasie toczącej się jeszcze wojny — zbyteczna pisać. Wszyscy mamy w pamięci jego trud ofiarny, jego zaparcie się, jego niezłomność w spełnianiu obowiązku narodowego.

Zmogła go praca nad siły, zmogła troska o los ojczyzny. Pękło to wielkie, gorące serce. Ale zostały nam jego dzieła, i przez nie będzie on zawsze z nami. Czciłi go współcześni, czcią otaczać go będą przyszłe także pokolenia.

Najlepszą cześć jednak oddajemy poecie, pisarzowi, poznając go. Oby ta książeczka przyczyniła się do zrozumienia dzieł Sienkiewicza — bo takie jest jej zadanie.

PROTOPLASTA ZAGŁOBY¹⁾.

Z powieściopisarzy naszych dawniejszej doby wywarł na Sienkiewicza wpływ dość znaczny pod rozmaitemi względami Michał Czajkowski. Nie jest to wpływ o charakterze decydującym, już choćby dlatego, że Czajkowski posiadał zdolności twórcze średnie, Sienkiewicz — zupełnie niepospolite, ale podniętą świadomą czy nieświadomą, „potrąceniem“, była dla autora *Trylogii* lektura twórcy *Wernyhory* niejednokrotnie. Sprawy tej, interesującej niezmiernie, rozpatrywać tu nie będę — w notatce niniejszej chcę zwrócić uwagę na jedną tylko postać stworzoną przez Czajkowskiego, która dostarczyła kilku rysów do genialnej kreacji Zagłoby. Używając wyrażenia „dostarczyła“, nie mam na myśli korzystania takiego, w jaki np. nasi walterskożyści korzystali z Waltera Scotta — u nich była intencja naśladowania, u Sienkiewicza po nad wszelką wątpliwość intencji takiej nie było. Przeciwnie mamy tu — zdaje się — do czynienia z procesem psychicznym, który odbywa się poza progiem świadomości, z reminiscencjami, które dla samego autora zostały tajemnicą.

Postać, którą — z powyższemi zastrzeżeniami — pozwoliliśmy sobie nazwać protoplastą Zagłoby, jest JMCpan Julian Żytkiewicz, szlachcic hałaburda z romansu historycznego Michała Czajkowskiego *Stefan Czarniecki*, inaczej *Szwedzi w Polsce*. Poznajemy go po raz pierwszy w Piątku, dziedzicznej majątności pana Andrzeja Grudzińskiego, przy bra-

¹⁾ Drukowane w Pam. Liter XIV, 1916, str. 104—111.

mie dworu, otoczonego przez tłumy szlachty wielkopolskiej. Szlachta podzielona na zwolenników Karola Gustawa i Jana Kazimierza — pan Stolnik liczy się do pierwszych, zwłaszcza, że otrzymał wiadomość od Żytkiewicza o nastroju w Krakowskim. Ale nie dla wszystkich wieści pochodzące od JMCpana Żytkiewicza są miarodajnymi.

„Daj mi czysty spokój — zwraca się do Stolnika pan Łowczy — z tym panem Żytkiewiczem. Panie Stolniku, między nami mówiąc, to czysty obwieś, pijanica, hałaburda, kostera, jednym słowem, lepsi od niego wiszą na szubienicy“.

Dosadna charakterystyka, ale zbyt niesprawiedliwa ona nie jest, owszem do wianka cnót pana Żytkiewicza, wyliczonych przez Łowczego, możnaby dodać jeszcze kilka innych. Bezpośrednio zresztą po tej rekomendacji przedstawi się nam Żytkiewicz osobiście, „zataczając się w prawo i lewo“ i wołając:

„Ha! albo kto przeciw Karolowi?... milion paręset bomb!... zaraz mu łeb przytnę... Hej wino! miodu! milion paręset bomb!“ (I. 101—102)¹⁾.

Nie jest to wdzięczna postać: wąs rudy, „okiem kosi w bok zyza“, „szykurla, napadając na prawą nogę“. Służy sprawie szwedzkiej, Bóg wie dlaczego, bo zdrajcą go nie nazwiemy — ot, tak się złożyło. Więcej zresztą niż polityka obchodzą go inne sprawy doczesne, nadewszystko zdobycie każdej chwili żywota dobrej miary wina lub choćby kalmusówki. Nie lubi jednak, by posądzano go o lubowanie się w gorących napojach. Podkanclerzego, chwając się, zapewnia, że

„ledwie zakosztował dziś wina — to trudy i bezsenne noce tak mu głowę zamroczyły“.

Ale inni sądzą o nim inaczej, a żyd Aron, który musi mu przez czas jakiś napitków dostarczać, biada, srodze zmartwiony:

¹⁾ Cyt. wedł. wyd. petersb. z r. 1851.

„ten Żytkiewicz to kłopot na moją głowę, pije a pije jak smok... napije za sto dukatów“...

Nie lepiej mniema o nim i pan Podkanclerzy (I. 144), nie milczy zresztą i sam autor.

„Żytkiewicz... — czytamy — pod pozorem wstrzymywania szlachty, aby nie opuszczała Piątka, i robienia ładu, rabował szlacheckie wozy, chłopskie chaty, a gdzie znalazł jakikolwiek trunek, to wychylał z innymi, krzycząc: pijmy! żeby wróg nie miał co pić“...

Było to zatem przepłukiwanie piwnic z patryjotyzmu¹⁾.

Jakkolwiek jednak Żytkiewicz potrafi nawet walczyć „kwartą, pełną miodu“ (I. 145), specjalnością jego jest łgarstwo. „Łgałeś, łgałeś i przełgałeś się“ — mówi do niego Służewski, a pan Komornik powstrzymuje go słowami:

„Panie cioteczny, stój, gdybyś dawał cerograf na to, że nigdy prawdy nie powiesz, pozwoliłbym, ale na to, że nie będziesz łgał, nie pozwalam“ (II. 41).

Łgarstwo to niezbyt wybredne i stale tego samego typu. Więc JMCpan Żytkiewicz zna najpierwsze osoby w Polsce i nie tylko w Polsce osobiście, jest z nimi per ty, chodził z nimi do szkoły. Draby Lubomirskiego wzięli pana Żytkiewicza w niezbyt czułą opiekę, „ale kiedy Jurko mnie poznał — prawi Ż. — tośmy we dwójkę wychylili z sobą dwa tuziny butelek węgryzyna; przeprosił, uściskał, a drabom kazał wyrznąć łoży“.

„...a skąd się Waćpan wziął u Jezuitów? — pyta go Aron.

— To do ciebie nic nie należy, miljon paręset bomb! ty tego nie wiesz, że Jurko, Jezuici i ja to jedna ręka.

— To Waćpan znasz ich Jenerała?

— I jakże nie! to mój szkolny towarzysz.

— On Włoch, tam się uczył w swoim kraju.

— I cóż z tego, miljon paręset bomb! wszakżci Włochy nie na niebie, ale na ziemi.

¹⁾ Pan Juljan, gdy głodny, zły niemiłosiernie (I. 251), ale zato lubi zjeść dużo.

— Alboż Waćpan tam był?

— Pytaj mnie, gdzie ja nie byłem?...“ (I. 176).

Ale i z Lubomirskim kolegował również pan Żytkiewicz, spowiada się z tego Podkanclerzemu i jego towarzyszym:

„w jego rodowitym pałacu piliśmy kalmusówkę, tęga jak ogień, Jerzy..., bo my to dawni koledzy rozmawialiśmy z sobą zwyczajnie tak: Jerzy, Julianie .. Marszałek koronny powiedział: Julianie, jedź żywo, nie żałuj koni...“ (I. 103).

I z Gnoińskim łączy go stara przyjaźń.

„Nie widziałeś, panie, pana Gnoińskiego?“ — zagaduje go Radziejowski. — „Mikołaja? milion paręset djabłów, to mój przyjaciel szkolny, na jednej ławce nas wyciągano, i jakże? u niego nocowałem, na jednym łóżku spaliśmy z sobą“. — Ja pytam pana Żytkiewicza o starostę hrubieszewskiego Samuela Gnoińskiego... Radziejowski się zczerwienił, a Żytkiewicz, chcąc poprawić swoją postawę, przestąpił z nogi na nogę... „Milion paręset bomb, z panem Samuelem, wszak to mój najlepszy przyjaciel, razem z sobą włóczyliśmy się po jarmarkach i do jednego buziaczka zalecankiśmy cięli... (I. 104).

Zmiana stosunków wprowadzi zmianę także w koneksjach JMCPana Żytkiewicza — wówczas będzie „przyjacielem Stefusia (Czarneckiego), polubieńcem Kazimierka (Jana Kazimierza)“ (II. 109) i powiernikiem Lanckorońskiego. Naturalnie, że Han czuł zawsze do niego sympatię:

„Hetman stękał, pocziwe Stanisławisko mówił do mnie z płaczem: Julianie, na pamięć twojej matki zaklinam ciebie, opiekuj się mojem dziecięciem; milion paręset bomb, myślę sobie: Han, mój przyjaciel, wszystko zrobi...“ (II. 292).

Pan Żytkiewicz jednak to z tego typu kolorystów, którzy czasem sami poczynają święcie wierzyć w plody bujnej swej wyobraźni. Aron dobrze go poznał, gdy mówi o nim:

„On Julian Żytkiewicz to taki łgarz, jak co z siebie albo z drugiego zełże, to wierzy, że tak było i dałby się zabić za to“ (I. 203).
uwierzył też pan Julian i w rzekomą krzywdę, wyrządzoną mu przez Samuela Gnoińskiego, uwierzył, że był kiedyś bar-

dzo urodnym, że dziewczęta lgnęły do niego, że po świecie jest sporo Żytkiewiczów — acz pod pseudonimami żyjących:

„Znam go, to Florek Kulikowski, mój syn rodzuniuteński milion paręset bomb, pamiętam, jak dziś; mamunią była dziarska niewiasta, pożał Boże i grzechu, a tatunio imienny zwyczajnie wolarz, tabacznik, nic dziwnego, że imość pokochała wojaka; bo też to człowiek umie i na bandurze zagrać i zaśpiewać i potaćnić; ale też przyznajcie, że podobny do mnie jak kostka w kostkę, jak mastka w maskę...” (I. 147).

Szlachcic, patrzący „zyzem“, ma się zresztą i teraz jeszcze za „niczego“ i wyznaje, że „w starym piecu djabeł grzeje“, a doprawdy to jeszcze jest i „nie tak stary“ i niejedna wielka pani chciałaby go „cmoknąć“, ale on jak ten cygan, „daj mu mejszpasy, on woli słoninę“ (I. 152). Tak to wigor w starych kościach jest jeszcze (jejmość Radzikowa!), pewno dzięki temu, że trzeźwości zawsze pan Julian hołdował.

Awantura to dla niego raj, byle się zbytnio nie narażać. „W szynkowej izbie szum, hałas, tartas, harmider“ — to Żytkiewicz „rej wodzi“. „Łyków“ ma za nic, wywieszaniem im grozi, drabanta potrafi „urznąć płazem korda“, nawet urządzić generalny atak na mieszczaństwo w karczmie i wołać po wątpliwem bardzo zwycięstwie: „daliśmy bobu tym huncwotom“, ale wogóle męstwo go nie znamionuje (poza chwilami zapалу przemijającego) — powiedzmy otwarcie: jest tchórzem. Aron, który go poznał na wylot, powiada mu wprost:

„Nu, to Jegomość pan Żytkiewicz teraz tchórzy już?

— A co to ja żyd, żebym tchórzył — oburza się przyjaciel Lubomirskiego — milion paręset bomb! dawaj mi tu, kogo chcesz, a zobaczysz, czy cofnę kroku, czy zmrużę oko...” (I. 177).

Gdy zaś niebezpieczeństwo minie, jak wówczas, gdy go związano i wiedziono do ciupy, choć przedtem dusza była na ramieniu („puść mnie Waszmość“ — perswadował Wąsowiczowi), potrafi się srożyć i grozić (II. 28).

Jest to więc postać w całym tego słowa znaczeniu humorystyczna i komiczna zarazem. Dzięki dobrej osobliwej, w której żyje, wypadkom, w które go los wplątał, bierze udział w rozmaitych imprezach, przygodach, aż mu i za wiele tego. Co krok to niebezpieczeństwo, łam znów głowę, wymyśla nowe łągarstwa, by ocalić skórę. Ma on świadomość swej doli, świadczy o tem jego monolog. Oto widzimy go w klasztorze przy kościele św. Piotra i Pawła w refektarzu za stołem „przed kuflem wiszniaku“. Rozgląda się po portretach Ojców bractwa Lojoli, popija systematycznie i wygłasza sentencje, jako też refleksje nad swym żywotem:

„Milion paręset bomb! w pięknym że mnie gronie zostawili!... wiszniak dobry, ale te bohomazy, ani gęby do gadania ani uszów do słuchania nie mają; żaden nawet nie powie: łzesz Julianie. Przyznam się, że weselej było w ciupie, przynajmniej draby słuchali, kiedym im gadał... Szubienicą pachnęła sprawka! Jak to mówią: kto ma wisieć, ten nie utonie — mnie widać na odlew przysądzono. No gdybym teraz i lata pana cześnika Matuzala żył, miałbym o czem gadać. Jeszcze parę tygodni nie upłynęło, a już się było u króla jegomości szwedzkiego, posłem do Krakowa, przyjacielem... Radziejowskiego, wiernym poddanym Jana Kazimierza, współnikiem żyda, marszałkowskim więźniem, a teraz kto wie, czy nie zostanę Jezuitą? Cóż robić? na czym wozie człowiek jedzie, trzeba żeby tego piosnkę śpiewał... Nalał w szklanke wiszniaku i łyknał... Milion paręset bomb, coż powiemy Herubkowi, jak się przyjdzie spotkać? góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze...“.

(tu obmyśla zafrasowany pan Julian nowe łągarstwa, by zakończyć zupełnie już niewesołą refleksją: dno przeziera w kuflu...) (I. 172).

Ten opój, kostera, łągarz i tchórz potrafi jednak oddać ludziom, którym grozi niezastufone nieszczęście, nieocenione usługi i wywieść w pole samego Samuela Gnoińskiego, narażając się nawet na pomstę. Gnoiński przeszedł na stronę Karola Gustawa. Jest to w powieści charakter czarny, Samuel zdradza kraj z pychy, dla własnych ko-

rzyści. Jest też rywalem bohatera powieści, udaje mu się sprowadzić do swego zamku w Krupie Joannę Lanckorońską i tu chce hetmanównę zmusić do ślubu. Ona traktuje go z dumą i pogardą, on po raz pierwszy w życiu uderza w ton pokory, prosi, by mu wybaczyła to chwilowe więzienie, ale gdy panna go odpycha, wpada w gniew i woła:

„Moją waćpanna będziesz... nie chcesz z dobrej woli, muszę być Gnoińską“, ale jeszcze „nie śmiał... za rękę wziąć dziewczycę; jakaś wyższa moc kładła hamulec na jego gniew rozpasany“.

Zjeżdża jednak ksiądz „czy gwałtem czy dobrowolnie przyprowadzony, niewiadomo“ — na szczęście zapóźno. Gnoiński bowiem musiał na wezwanie Izraela pociągnąć przeciw konfederatom, a tymczasem Żytkiewicz — wykradł hetmanównę (przebraną) i potrafił ją dowieźć do Uchania. Ba, „świadomy okolicy, jakby się w niej urodził, nałożył na mil sześć drogi, ale tak gracko się wywijał manowcami, przyłaskami, iż w oczy nie zdybał nikogo“. A czego nie napowiadał prześlicznej hetmanównie po drodze! wpadł po prostu w zapał, przechodził sam siebie. Było tam i o hanie i o przedziwnych podróżach, do piramid zabłądził! Co więcej, dokazawszy czynu nielada, rozmyślał się w swej roli, postanowił nie odstąpić już hetmanówny i towarzyszyć jej w roli opiekuna choćby do Warszawy — „co się przyrzekło, to trzeba i dotrzymać“.

Od tej pory też JMCpan Żytkiewicz poczyną nam się przedstawiać w nieco innem świetle. Dotychczas był opojem, awanturnikiem i kosterą — teraz w towarzystwie ludzi znacznych poczyną jakby szlachetnieć. Łgać naturalnie nie przestanie, o „napitku“ nie zapomni, ale Wąsowicz nie wzbrania się już teraz przed jego uściskami — przecie pokazało się, że ten człowiek coś wart. Brać szlachta słucha jego przedziwnych przygód, boć

„w gronie ludzi... taki człowiek to nieoszaczany klejnot: gada za wszystkich... a śmiechem i żartami... łączy i jednoczy całe grono“.

Idzie zaś JMCi panu Żytkiewiczowi po staremu jak z płotka — złapią go na czemś, co z prawdą na bakier, nic to:

„ni razu nie zmieszał się na zaprzeczenie, jak gracz przed chartami z obrotów się wymykał, przypadał, kominki dawał, a nie zostawił chartom w pysku ani omyka, ani turzycy nawet; tak on w mowie się wykręcał obrotami i kominkami. Kiedy już, już chwytano go na łgarstwie o Czarnem morzu, zamydlił mowę i ni stąd ni zowąd, jednym susem skoczył do wywodzenia rodu Mniszka albo tam innego szlachcica, a kiedy go i tam złapano na gorącym uczynku, to rozpoczął mowę o źródle Nilu...“ (II. 317).

Ale dobre przygody urojone i rzeczywiste (ostatnich było znacznie więcej), trzeba spocząć na stare lata w spokojnym kącie. Do tego też wzdycha pan Żytkiewicz pod koniec:

„nie czas już mi tłuc kości po świecie; choć to jeszcze, jakby trzeba za króla Jana Kazimierza, siadłbym na konia i tego Herubka na drobnebył kawałki porąbał, ale teraz milion paręset bomb Herubek i sam zginie, a ja wyproszę sobie u Jaśnie Wielmożnej Panny Hetmanówny... pasieczysko gdzieś tu na-Rusi; założę pasiekę i będę pasiecznikiem...“ (II. 318).

Z zapowiedzi panny Joanny wiemy, że nie zapomniła ona o swym wybawcy. Co więcej doczekał JMCpan Żytkiewicz tej szczęśliwej chwili, że gdy już Polska wolna była od nawały szwedzkiej i gdy odbywał się „uroczysty festyn“ z powodu „ślubowań“ Joanny Lanckorońskiej ze starostą bolestraszyckim w przytomności króla, królowej, wojewody ruskiego, wileńskiego i innych dostojników, na tym obchodzie był i nasz pan Julian i słuchał sentencji Krzysztofa Wąsowicza przy kielichu: szanujmy majestat tronu, nie wadźmy się między sobą.

Co Zagłobę łączy z Żytkiewiczem, co oswobodziciel Kurcewiczówny zawdzięcza oswobodzicielowi Lanckorońskiej,

osobno wykazywać nie trzeba — zestawianie rysów charakteru, stwierdzanie analogji byłoby zbyt łatwe. Analogja sięga jednak, jak widzimy, dość daleko, w pierwszej chwili wydaje nam się nawet, że mamy do czynienia prawie z kopją. Tak nie jest. Zagłoba jest postacią artystycznie pełniejszą, bardziej złożoną, a w wykonaniu wyczelowaną po mistrzowski, czego o Żytkiewiczu powiedzieć nie można. Obok zasadniczych podobieństw, licznych, są i zasadnicze różnice, nie mniej liczne, więc *sui generis* poczucie etyczne u pana Zagłoby, bardzo silne poczucie patriotyczne (choć patriotyzm to skłonny zawsze do rebelji, bodaj słownej), zdolność żywienia uczuć przyjaźni aż rozrzucającej, co tak jaskrawo się znaczy po śmierci i Longina i Wołodyjowskiego. Tego wszystkiego u Żytkiewicza nie spotykamy, brak w jego naturze owych pierwiastków szlacheckich, które tak przywiązują czytelnika do Zagłoby. Ale Zagłoba jest postacią nie tylko szlachetniejszą, jest także bardziej komiczną przez pozory dostojności, godności, przez wysokie mniemanie o splendorze szlacheckim (zaszczyt robi Bohunowi, pijąc z nim), przez swe wywody z zakresu wyższej polityki, przez rycerską umiejętność „plantowania” językiem, wreszcie przez szerszy zakres łgarstw — subtelniejszych. Dodajmy, że Zagłoba ma swe świetne powiedzenia, krotchwile, dowcipy błazeńskie ale i nie błazeńskie i że jest panem w królestwie forteli. Transfiguracja wewnętrzna Zagłoby jest też istotniejsza, nie tylko sąd o nim pana Snitki jest różny od sądu Zaćwilichowskiego — zmienia się naprawdę on sam.

Żytkiewicz jest przeto surogatem kreacji Zagłoby, stosunek jest mniej więcej taki, jak Cześnika z *Zemsty* do Góronosa z *Sarmatyzmu*. Nie mniej jednak o pokrewieństwie genetycznem wątpić nie podobna, mimo, że Sienkiewicz, tworząc postać Zagłoby, miał — powszechnie się o tem słyszy — również żywy wzór przed oczyma.

ŻYWIÓŁ SUBJEKTYWNY W TRYLOGJI SIENKIEWICZA¹⁾.

Niema eposu, w którymby w ten lub ów sposób nie zaznaczył się żywioł subiektywny. Stwierdzono to dawno i pisano o tem niejednokrotnie. Objawić się może element podmiotowy pośrednio lub bezpośrednio. Pośrednio znajduje odzwierciedlenie już w samym obiorze tematu, we wprowadzeniu pewnych typów, w przewadze pewnego rodzaju obrazów i nastrojów, w tonie ogólnym, nadto w metodzie pojętej w najszerszem tego słowa znaczeniu. O tych wszystkich względach nie mam zamiaru tu mówić — chodzi mi bowiem w niniejszym szkicu jedynie o te rysy subiektywizmu autora, które znalazły w Trylogji wyraz bezpośredni, lub osłoniły się tylko szatą epicką, ale zbyt przejrzystą, by poza nią czytelnik nie dostrzegł oblicza twórcy.

Przystępując do pisania „Ogniem i mieczem“, nie uzbroił się Sienkiewicz w jakąkolwiek doktrynę. Nie wyszedł z teorii, że autor powieści historycznej powinien skreślić same tylko obrazy, że z osobą swoją powinien się ukrywać, że od siebie przemawiać mu nie wolno. Dowodem choćby ten fakt, że wielokrotnie wymienia źródła, z których korzysta, wskazując je bądźto ogólnikowo, jak zaraz na samem czele powieści („współcześni kronikarze wspominają...”), bądź nazywając je imiennie (O. I. 224, II. 126 i t. d.)²⁾. Z światem, który przed-

¹⁾ Drukowane w „Muzeum“ XXXII, 1917, str. 455—465.

²⁾ „Ogniem i mieczem“ znaczą przez O, dodając liczbę tomu i stronę. „Potop“ przez P., „Pana Wołodyjowskiego“ przez W. Cytuję według wydania jubileuszowego z r. 1896 jako najbardziej rozpowszechnionego.

stawia, z wyobrażeniami ówczesnemi nie identyfikuje się bynajmniej, nie dąży do tego, owszem przeciwstawia dwa poglądy na świat — współczesny mu i epoki, którą odtwarza. Jaskrawo uwydatniło się to w powiedzeniu: „przed tym Chry-stusem znalazł (Skrzetuski) wszystko, cokolwiek mógł zna-leźć człowiek tamtych wieków“ (O. I. 219). Autor staje tedy ponad środowiskiem, ponad postaciami, które czytelnikowi pokazuje, ponad ich wierzeniami, uczuciami, namiętnościami. Nie znaczy to, by wogóle uczuć żadnej z osób Trylogji nie podzielał, ale o ludziach, zdarzeniach, motywach działań ma Sienkiewicz swój sąd. I sąd ten bardzo często wypowiada.

Zajmuje stanowisko jakby historyka i to nie rejestru-jącego jedynie fakty i wiążącego je w łańcuch przyczyn i skutków, lecz historyka, który oświetlając rzecz z pewnego punktu, przyznaje słuszność tej lub owej stronie, stawia lub odpiera zarzuty, wygłasza tezy.

„Nieszczęsna Ukraina rozdzieliła się na dwie po-łowy; jedna spieszyła na Sicz, druga do obozu koronnego; jedna opowiadała się przy istniejącym porządku rze-czy, druga przy dzikiej swobodzie; jedna pragnęła za-chować to, co było owocem wiekowej pracy, druga pragnęła jej owo dobro odjąć... Straszliwy zatarg, nim wyszukał sobie hasła religijnych, które dla Niżu obce były zupełnie, zrywał się jako wojna socjalna“ (O. I. 72).

Nietylko sam autor zabiera głos, nietylko o sporze, o roli obu „połów“ w sporze tym sąd wydaje, lecz nadto walczy z pewną grupą historyków, z tymi mianowicie, którzy podają jako przyczynę wybuchu powstania na Ukrainie ucisk wyznaniowy. W innem miejscu osądza całą akcję Chmiel-nickiego jako akt zemsty osobistej („mściciel własnej krzywdy na milionach“), wyjaśnia, jakie było stanowisko Chm. wobec Tuhaj-beja i rozsnuwa wywód, dlaczego „tak być musiało“? (O. I. 95). W innem przedstawiwszy moment, w którym za-padła decyzja wojny i bezpośrednio po nim następujący

(rozlegający się huk dział), dodaje: „Rozpoczął on (huk dział) także epokę w dziejach dwóch narodów...” (O. I. 103). Ten sąd historyka obniżony uwagą dodatkową: „ale o tem nie wiedzieli ni pijani niżowcy, ni sam hetman zaporoski”. Gdzieindziej (O. II. 127), stara się wyjaśnić, dlaczego Zaporozże stanęło przy Chmielnickim, a równocześnie (choć niewprost) bierze w obronę Polskę przed zarzutami szczególnego ucisku ludu. Przyznaje, że ucisk był, ale że brzemień owo ciążyło nad „potomkami Chama” w całej Europie. Nawskrós apologetyczny charakter ma dialog Skrzetuskiego z Chmielnickim, dialog, w którym w usta namiestnika wkłada Sienkiewicz własne sądy, obronę Rzeczypospolitej wobec czynionych jej zarzutów. Czytelnik czuje, rozumie, jaka jest rola w powieści tego dialogu, i nie wątpi ani na chwilę, że przemawia naprawdę nie Skrzetuski, lecz autor, i że polemizuje nie z Chmielnickim, lecz z historjografią rusińską.

Ale obok apologetyki jest i krytyka tego, co w ówczesnej Polsce było ujemnem i szkodliwem. Z krytyką występuje Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem” (poza krótkimi wzmiankami) dwukrotnie, raz pośrednio, drugi raz przemawiając wprost od siebie. Pośrednio — w scenie rozmowy księcia Jeremiego z „własną duszą wyniosłą”. („Ach! to właśnie duma i ambicja magnatów, to czyny na własną rękę, to samowola tego (klęsk ówczesnych) przyczyną. Wróg najgorszy to nie Chmielnicki, ale nieład wewnętrzny, ale swawola szlachty, ale szczupłość i niekarność wojska, burzliwość sejmów, niesnaski, rozterki, zamęt, niedołęstwo, prywata i niekarność — niekarność przedewszystkiem. Drzewo gnije i próchnieje od środka...” (O. I. 306). Jak dalece opinię księcia podziela autor, dowód w tem, co mówi już wprost od siebie z racji charakterystyki Ossolińskiego jako polityka, wytykając Polsce wady w ustroju, zwracając się przeciw magnatom, nadużyciom, swawoli szlacheckiej (O. II. 271).

Na ogół przecież nierad zwraca Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem“ uwagę na wady szlacheckiego społeczeństwa, zajmuje go bowiem głównie sprawa inna: sporu Rusi z Polską i zagadnienie, kto był w tym sporze bardziej, kto istotnie winny, i jak w danem położeniu należało postąpić?

Inaczej w „Potopie“ i w „Panu Wołodyjowskim“. I tu Sienkiewicz zabiera głos bardzo często, przemawiając bezpośrednio od siebie, i tu wygłasza sądy, ale wszystkie one zaprawne są bolem, goryczą, jakby pod natchnieniem Skargi powstały. Przykładów przytoczyć można cały szereg. Więc: uniwersały królewskie zwołują pospolite ruszenie... „Nie-stety! mało było takich — rzuca autor uwagę od siebie — którzy usłuchali uniwersatów, ci zaś nawet, co poszli za głosem obowiązku, ściągali się tak opieszale, że naprawdę nikt oporu nie dawał“ (P. I. 44), albo „magnaci więcej o sobie, niż o Rzeczypospolitej myśleli..., swawola i samowola podnosiły coraz bardziej głowę i mogły urągać prawu, tyle siły czuły za sobą...“ (P. I. 58), albo „nie brakło niechęci ni zawiści, nie brakło magnatów między sobą zwaśnionych“ i t. d. aż do słów „we własnych wczasach i dostatkach zakochanych“ (P. I. 101). Porów. też (P. I. 61) o niezgodzie wewnętrznej, (W. 106) o prywacie, „o zepsutem z małemi wyjątkami do kości szpiku możnowładztwie“, (W. 295) o konfederacjach wojskowych, buntach, bezmyślności, (W. 305) o nierządzie i t. d. Raz — w sposób praktykowany już w „Ogniem i mieczem“ — wkłada Sienkiewicz własny sąd o przeszłości Polski w usta prymasa (P. II. 249¹⁾),

¹⁾ Jaki wpływ wywarły i na poglądy Sienkiewicza i na sposób wyrażania ich kazania Skargi, to widoczne na pierwszy rzut oka: „W skarbie naszym“ dno skrzyni widać, żołnierz niepłatny, u nieprzyjaciela łafy szuka; sejmy, jedyny fundament tej Rzeczypospolitej, na niczem się rozchodzą, bo jeden swawolnik, jeden zły obywatel, dla prywaty swej, rady pomieszać może. Jakaż to wolność, która jednemu przeciw wszystkim opanować pozwala... I gdzieżeśmy to doszli w zażywaniu tej wolności?... A oto jeden

w innym miejscu obronę tej przyszłości (uwydatnienie dodatkich stron charakteru narodu) w usta Marji Ludwiki (P. II. 245).

Charakteryzowanie postaci przez autora (t. zw. metodą bezpośrednią) przestaliśmy uważać za objaw subiektywizmu w tworzeniu, a patrzymy na ten sposób raczej jako na środek techniczny, przekazany spuścizną z czasów jeszcze przedwalterskotowskich. Wszelako i charakterystyka podana przez autora może nosić znamiona mniej lub więcej subiektywne. U Sienkiewicza ów subiektywizm w charakteryzowaniu postaci występuje niekiedy bardzo wybitnie, szczególnie jednak wyraziście zaznacza się w „Ogniem i mieczem“, gdy autor mówi o księciu Jeremim i Chmielnickim. Dlaczego? bo z charakterystyką łączą się wówczas sądy, czasem rozumowanie, czasem nawet rezonowanie. O księciu Jeremim mówi przeto autor, że był to człowiek serca tkliwego, łaskawy i t. d., ale dla buntów straszny i niemiłosierny, w gniewie i karaniu nie znający wprost miary. I natychmiast usprawiedliwia te rysy ujemne: „Ale w owych czasach tylko ta srogość pozwalała się krzawić i plenić ludzkiemu życiu i pracy, jej tylko dzięki powstawały miasta i wsie... Dzikiej krainie i jej mieszkańcom takiej potrzeba było ręki...“ (O. I. 53). (W podobny sposób usprawiedliwia W. Scott Ludwika XI. w „Quentin Durward“). Do osoby księcia powraca Sienkiewicz często i zawsze niemal, charakteryzując go, dołącza uwagi typowo podmiotowe. Więc np.: „Książę nie spostrzegł może, że torem innych „królów“ politykę na własną rękę prowadził, ale gdyby się

ślaby nieprzyjaciół... wiarę prześladowe... kościoły hańbi... Oto, na co wam wyszły wasze sejmiki, wasze wetowanie, wasza swawola... Króla, przyrodzonego obrońcę ojczyzny, naprzód uczyniliście bezsilnym, a potem zasię narzekaliście, iż was nie bronił... Nie chcieliście swojego rządu, a teraz nieprzyjaciół wami rządzi...“ (P. II. 249). Ów ton kaznodziejski, tu tłumaczący się jasno (boć to słowa prymasa), jest jednak tonem, który rozbrzmiewa w „Potopie“ niejednokrotnie, gdy S. przemawia od siebie.

w tem i obaczył, byłby jej nie odstąpił, bo to jedno czuł dobrze, że honor Rzplitej ratuje“ (O. I. 266). Jest w tem znów chęć usprawiedliwienia księcia, obrona jego postępowania. Podobnie subiektywnie zabarwiona charakterystyka Chmielnickiego. Autor piętnuje egoizm hetmana zaporońskiego „niezmierny“, „któremu równego historia nie zaznacza“ (O. I. 139), podkreśla niejednokrotnie, że Chmielnicki „nigdy nic poza sobą nie widział“, że „we własnem potwornem samolubstwie utopił własny lud“ (O. II. 126.; porówn. O. I. 146, 296). Słowem sympatje i antypatje autora odślaniają się przy charakteryzowaniu postaci — w większej mierze w „Ogniem i mieczem“, w słabszej w „Potopie“ i „Panu Wołodyjowskim“. Bo nie są one i tam zakryte, by tylko przypomnieć uwagi o Opalińskim (I. 107), lub Lubomirskim (II. 276 281).

„Rozumowana“ jest charakterystyka Ossolińskiego. Autor podnosi zalety kanclerza i przyznaje, że „każdemu innemu (państwu) zapewniłby siłę wewnętrzną i długie lata potęgi“, dodając w dalszym ciągu: „Był to genialny teoretyk, który nie umiał być genialnym praktykiem — i wpadł w koło błędne bez wyjścia. Wpatrzony w jakąś myśl, mającą wydać owoce w przyszłości, szedł ku niej z uporem fanatyka, nie bacząc, że ta myśl, w teorii zbawienna, może wobec istniejącego stanu rzeczy wydać w praktyce straszliwe klęski“ (O. II. 271). To oczywista rezonowanie, pouczanie, polemika — zakończona niezmiernie znamiennymi słowy „ale król wierzył w niego jeszcze“. Z wieku XVII przenosimy się do gabinetu autora, Sienkiewicz rozumujący przesłania chwilowo świat, który stworzyła jego wyobraźnia.

Raz przeprowadza nawet autor paralełę między dwoma postaciami, między Januszem Radziwiłłem a Lubomirskim, paralełę schematyczną: duch Janusza R. — duch Lubomirskiego. R. szedł do korony — L. byłby ją przyjął, R. mógł być wielkim lub zbrodniarzem — L. był tylko war-

chołem, R. zmarł winniejszym — L. szkodliwszym (P. II. 276). Paralela uprzedza więc nawet wypadki roztoczone w powieści. Słowem autor nie krępuje się zupełnie tem, czy czytelnik może sam wysnuć wnioski, z jakimi on przed nim występuje, zapomina chwilowo o fabule, przemawia jak historyk, jak polityk, jak moralista, liczy na to, że czytelnikowi tok wydarzeń historycznych nie jest obcy, odwołują się do jego wiedzy.

Te wszystkie momenty, któreśmy podnieśli, dałyby się sprowadzić do wspólnego mianownika: mianowicie będą to momenty rozumowe. Źródłem rozumowania jest u Sienkiewicza uczucie, gorące uczucie polskie, ale uczucie zbudziło refleksję, a refleksja wyraziła się w formie sądu. Autor wypowiada swe poglądy, zapatrywania, feruje wyroki, potępia, broni, polemizuje. Nie wystarcza mu sama fabuła i konkluzje, które czytelnik mógłby z niej wysnuć, Sienkiewicz chce uczyć i przekonywać, chce prostować opinie, wstrząsać sumieniami, wskazywać niedostatki, pośrednio przeto nawoływać do poprawy. Niewątpliwie na takie stanowisko autora wpłynęły lektury pisarzy politycznych niepodległej Polski, w szczególności Skargi (widzieliśmy, że uderza w jego ton), ale zapewne również nie pozostała bez wpływu historjografia nasza po r. 1863, dopatrująca przyczyn upadku Polski przedewszystkiem w anarchji. Sienkiewicz Trylogję, szczególnie jednak „Potop“ i „Pana Wołodyjowskiego“ uważa jakby za środek, za „trybunę“, z której może przemawiać do swego społeczeństwa i nawoływać, by „co się skaziło“ naprawić. Jest to tedy subiektywizm nie „artystyczny“, nie wyływający z przejęcia się dziełem wyobraźni twórczej, lecz jest to stanowisko zajęte a priori, do którego w znacznej mierze dotwarza się fabułę (jak w „Potopie“). Wszystko to jest echem walterskotyzmu ¹⁾.

¹⁾ Sprawie tej poświęcę osobne studjum. Walter Scott wywarł na Sienkiewicza wpływ bezpośredni i pośredni — bardzo rozległy. (Studjum tego autor nie napisał. Przyp. wydawców).

Ale jest w Trylogii również żywioł subiektywny innej kategorii, nie o charakterze „intelektualistycznym“, lecz uczuciowym, nie dygresje polityka-apologety czy polityka-moralisty, lecz wyraz tych emocyj, których autor doznawał przy tworzeniu.

Są tu rozmaite stopnie i odcienie, rozmaita intensywność i rozmaita — metoda.

Czasem autor daje się unieść uczuciu. Jako Polak nie może zapanować nad oburzeniem, grozą, która go przejmuje i — wybucha. Tak po scenie, w której pokazał ohydą rolę Radziejowskiego: „Niebo było jasne i pogodne, żaden piorun nie spadł i nie skruszył na proch zdrajcy, który swój kraj, jęczący już pod dwiema wojnami i wyczerpany, wydawał na tej granicy w moc nieprzyjaciela“ (P. I. 116). Niemniej siły mieszczańską rozpaczliwie brzmiące słowa „Rzeczpospolita leżała w prochu i w krwi u nóg kozaka...“ (O. I. 138).

Kiedy indziej płomień patryotycznego zapалу, ogarniający duszę autora, rozsadza ramy, przekształca charakter epickiego opowiadania, odejmuje mu widniejący gdzie indziej spokój i zabarwia opisowość elementem lirycznym:

„Umysły płonęły żądzą zemsty... i żądzą odwetu... za krew tylu tysięcy męczeńską śmiercią zmarłych, za hańbę i upokorzenia... Imię strasznego księcia rozbłysło słonecznym blaskiem sławy, było na wszystkich ustach, we wszystkich sercach, a z tem imieniem w parze rozlegało się od brzegów Bałtyku aż po Dzikie Pola złowrogie słowo: Wojna!

„Wojna! wojna! zwiastowały ją znaki na niebie i rozpłomienione twarze ludzkie i błyskanie mieczów i nocne wycie psów przed chatami i rzenie koni krew wietrzących. Wojna! Herbowy lud po wszystkich ziemiach, powiatach dworach i zaściankach wyciągał stare zbroice i miecze...“ i t. d. (O. I. 296).

Wojna! wojna!... Nie było w Litwie kąta ziemi... Jako żywo przychodzą na myśl owe, przepojone również uniesieniem głębokiem, słowa Mickiewicza.

Liryczny na poły charakter ma „powrót Laudy“ („Ach! co za widok!...“), takż jest charakter poszczególnych momentów w pogrzebie Wołodjowskiego.

Niejednokrotnie wzruszony (i pragnący wzruszyć) autor nie może się powstrzymać od dania wyrazu rozrzewnieniu, i wówczas spotykamy się bądź z wykrzyknikiem, bądź z kilku słowami, pełnemi rzewnego nastroju. („Ach gdyby w tym tłumie wiedzano...“ (P. III. 225) „A w rejestrze niebieskim...“ (P. III. 262), epilog obrazu śmierci Podbiپیęty „Aniołowie niebiescy...“ i t. d.).

Nastrojowych momentów znajdziemy w Trylogji, szczególnie jednak w „Ogniem i mieczem“, sporo. Charakter ich przypomina niekiedy nastrojowość Czajkowskiego. Autor powiada, że coś było dziwnem, nie zwyczajnem, niezwykłem („Rok 1647 był to dziwny rok“, „Dziwna to była ziemia...“ i t. p.), poczem po takiej zapowiedzi (lub bez niej) następuje opis nastrojowy z zabarwieniem subiektywno-lirycznym, wzruszeniowem:

„Step to był pusty i pełny zarazem, cichy i groźny, spokojny i pełen zasadzek, dziki od dzikich pól, ale i od dzikich dusz...“ (O. I. 2),

albo: „a to ci powiadam (słowa Chmielnickiego), że dzień ten (dzień sądu) idzie już przez Dzikie Pola.

Nastąpiła chwila ciszy; słychać było tylko syczenie płomienia...

Z dalekich oczeretów dochodziło żałosne wycie wilków...“ jakby symbol tego, co już się zbliża (O. I. 9),

albo: „znowu słychać tylko granie ptactwa. Niby wesoło, a jakiś smutek wśród tej radości, niby gwarno a pusto—o! a szeroko, a przestronno! Koniem nie zgonić, myślą nie zgonić... chyba te smutki, tę pustoszą, te stepy pokochać

i tęskną duszą krążyć nad niemi, na ich mogiłach spoczywać, głosu ich słuchać i opowiadać..." (O. I. 68).

Zupełnie w stylu Czajkowskiego.

Kilkakrotnie posługuje się Sienkiewicz efektami kontrastowymi, jak wówczas, gdy po słowach Skrzetuskiego do chorążego Zaćwilichowskiego „może jeszcze pogodne słońce nam zaświeci“ dodaje od siebie: „ale słońce zachodziło właśnie, a ostatnie jego promienie padały czerwonym blaskiem na białe włosy chorążego“ (O. I. 77), albo gdy po strasznej scenie rozszarpywania ciał Tatarczuka i Barabasa czytamy: „Na niebie patrzył na nią księżyc cichy, jasny pogodny..." (O. I. 99), albo gdy po wstrząsającej do głębi scenie zdrady Radziwiłła autor kończy rozdział trzema słowami: „Uczta była skończona“.

Inną grupę stanowią określenia, epitety, nazwania, porównania, z których można poznać, jakie uczucia żywi autor względem poszczególnych postaci. Więc odzywać się będzie podziw, uwielbienie, niechęć i nienawiść, pogarda. Osobę i imię Wiśniowieckiego otacza groza i podziw („ubezwładniło ich straszliwe imię Wiśniowieckiego“ (O. I. 46), „tylko straszna potęga, straszne imię księcia Jeremiego wstrzymywało jeszcze krwawy wybuch“ (O. I. 195), „a ów groźny lew położył się na progu zbuntowanego kraju“ (O. I. 230), „było to cofanie się lwa“ (O. I. 288), w cieniu tej olbrzymiej postaci nikli coraz bardziej..." (O. I. 297), „musi (Chm.) zdeptać tego lwa albo sam zginie“, „zaś lew nie tylko się bronił, ale każdego dnia sam wypadał coraz straszliwszy“ (O. II. 232) i t. d.); określenia odnoszące się do Chmielnickiego będą przeważnie ironiczne („ten kozacki dyplomata“ (O. I. 139), „tak myślał samozwańczy hetman zaporoski“ (O. I. 232), „ten wódz ludowy“, nb. i w związku z tem, że pozwolił wybierać jasyr z własnego ludu (O. II. 126), Chm. porównany z Lucyperem (O. II. 130) i t. d.); nawet wobec postaci Bohuna niezawsze jest autor

obiektywny, bo i o nim wyraża się raz pogardliwie, mianowicie w (O. I. 195) („wpadł we wściekłość, ryczał jak dziki zwierz, krwawił ręce na własnym krwawym łbie...“).

Tak liczne w dziełach innych epików-autorów powieści refleksje psychologiczne, wiodące ród swój z romansu miłosnego, w Trylogii pojawiają się tylko zupełnie wyjątkowo (w. P. „Miłość jako nasionko leśne z wiatrem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrośnie, to chyba razem z sercem wyrwać ją można“ (I. 60), w W. „Nieraz w uczuciach ludzkich coś tak nieznacznie jakby maluchny cierni kłuje i czasem albo się goi, albo też jątrzy coraz bardziej i choćby największą miłość, bolem i goryczą zaprawia“ 72).

Podmiotowym elementem w każdym eposie (o ile się tam pojawia) jest humor. O Trylogii mówiono niejednokrotnie, że jest pełna nieocenionego humoru, że dzięki temu — obok nuty heroicznej i fabuły niepospolicie zajmującej — znalazła przemnogich czytelników i wielbicieli. Tak jest istotnie, ale humor uległ w niej jakby zobjektywizowaniu: w Trylogii można mówić o postaciach humorystycznych, o sytuacjach humorystycznych, z objawami humoru w ściśle subiektywnym znaczeniu słowa spotykamy się stosunkowo rzadko, odmiennie przeto jak np. w „Panu Tadeuszu“. Postaci w Trylogii są humorystyczne dzięki temu, co czynią, jak się zachowują, dzięki położeniu, w jakim się znajdują, od siebie autor wyjątkowo tylko postać, jej charakter, jej postęпки w sposób humorystyczny oświetla. W „Panu Tadeuszu“ wszystkie osoby, bo nawet ksiądz Robak, ukazują się nam bowiem przez chwilę jedną w pół-świecie humoru, w Trylogii wśród olbrzymiej galerji figur, postaci takich jest nieskończenie mało.

Najczęściej z humorem odzywa się Sienkiewicz o Zagłobie. „Ile zjadał i wypijał, daremnie spisywać, bo rzecz wiarę ludzką przechodzi“ (O. I. 299), albo kiedy na widok rzekomego wojska, a w istocie wesela chłop-

skiego „Panu Zagłobie odwaga uderzyła niespodzianie do głowy, jak wino (O. II. 37), albo gdy mołojcy „kopnęli się co ducha do beczek“, „Pan Zagłoba nie rozchmurzył się odrazu — nawet gdy mu dano kwartę miodu, mrucał jeszcze zcicha: a szelmy, a łajdaki! Nawet gdy już wąsy zanurzył w ciemnej powierzchni napitku, brwi jego nie rozmarszczyły się jeszcze...“ (O. II. 38), a dalej: „Pan Zagłoba spojrział po żołnierzach: ruszyli wszyscy wąsami jak zające, różne sobie rozkosze w tańcu i napitkach obiecując, więc choć nie śmieli prosić, by jechać, zlitował się nad nimi Pan Zagłoba...“ (O. II. 39) — nb. wiemy że sam miał ochotę zażyć onych rozkoszy różnych; albo „Wołodyjowski odbył... kilka pojedynków — Pan Zagłoba kilka pijatyk — i było niebezpieczeństwo, że całkiem rozpić się może...“ (O. II. 140), albo „zachęcał mały rycerz... usilnie Pana Zagłobę, by mu w ekspedycjach towarzyszył... ale stateczny szlachcic opierał się wszelkim namowom...“ (O. II. 147), nb. wiemy, że opierał się nie z powodu stateczności; albo w chwili groźnego niebezpieczeństwa, kiedy mały rycerz krzyknął: w konie! — „Pan Zagłoba nie dał sobie tego dwa razy powtarzać...“ (O. II. 185). (Porówn. P. II. 52, P. III. 42, 64, W. 10, 15 i t. d.). Słowem, ilekroć mowa o Panu Zagłobie, autor ma stale uśmiech na ustach, uśmiech przywiązania, pobbżania i wesela. Inne kreacje, nawet humorystyczne, jak Podbipiętę, Wołodyjowskiego, Kiemliczów, Anusię traktuje Sienkiewicz w podobny sposób tylko wyjątkowo, wydobywając humorystyczne efekty prawie wyłącznie z dialogów (typowe przykłady: dialog Anusi ze Skrzetuskim w Łubniach i Wołodyjowskiego z Zagłobą w klasztorze). Ale czasem i te postaci oblewa światłem humoru. Tak Wołodyjowskiemu przypisuje „chytrość“ (P. III. 10), spiera się a Anusią. („Ale nie powiedziała prawdy, bo jej wcale nie było wszystko jedno“ (P. III. 257), nawet Kmicica podejrzewa o zawarcie znajo-

mości z pantoflem Olenki). „Niechcimi — bo któż ich nie ma — mówili, że żony we wszystkim zbytnio słucha...” (P. III. 278). Przykładów takich możnaby przytoczyć jeszcze kilka, ale tylko kilka.

Odrębne zabarwienie humorystyczne ma scena tańców w Chreptiowie, kiedy autor, jak gdyby przypatrując się z boku niesłychanym hołubcom Nowowiejskiego i przysłuchując donośnym nie na żarty okrzykom młodzieży, stwierdza z pewnem współczuciem aż trzykrotnie, jakto „złakł się poważny Nawiragh, zlekli sie dwaj uczeni Anardraci i z nadzwyczajnem zdumieniem poczęli na się spoglądać”. Widzimy uśmiechniętą twarz autora wskazującego nam oczyma przerażonych teologów.

Raz staje Sienkiewicz jakoby na stanowisku naiwnych wyobrażeń współczesnych, dzielając je pozornie, kiedy po scenie ścięcia trzech głów tureckich przez pana Longina dodaje od siebie „A wszyscy dawno zmarli Podbipiętowie, począwszy od przodka Stowejki, uradowali się w niebie — że taki był z Zerwikapturów — Podbipiętów żyjący ostatni” (O. II. 236). Ale jest to wypadek odosobniony, wyjątkowy (znów odmiennie jak w „Panu Tadeuszu”).

To, co po za tem jest w Trylogii z żywiołu subiektywnego (poza względami zaznaczonemi na wstępie i nutą heroiczną zasadniczą), to mówi nam już raczej o środkach technicznych, jakimi się autor posługiwał, nie odśłania nam bowiem ta reszta ani rozumowego, ani uczuciowego stosunku autora do przedmiotu. Wszelako i o tej „reszcie” wspomnieć trzeba, owe bowiem środki techniczne, mające znamię zewnętrzne subiektywizmu, nadają pewną barwę powieści, zacierając nawet miejscami charakter heroicznego eposu, a łącząc Trylogję z innym rodzajem produkcji.

I tak na sposób walterskotowski, nie bacząc, że niszczy tem (a w każdym razie osłabia) możność wczuwania się w dobrą dziejową, we współczesność „przenoszenia się” w tę

współczesność, mówi Sienkiewicz nierzadko o tem, co się stało później, w lat dziesięć, czy w pół wieku po opisywanych zdarzeniach. Więc zaraz w rozdziale drugim „Ogniem i mieczem“ zaznacza, że „później dopiero zapłonęły serca nienawiścią ku Chmielnickiemu“; w tomie II-gim, mówiąc o Marku Sobieskim, dodaje, że blask tej „Gwiazdy na niebie Rzeczypospolitej“ wziął w siebie Jan, „a ona zgasła przedwcześnie w dniu klęski“ (s. 238); w rozdz. 5-tym tomu II-go „Potopu“ w sposób typowo walterskotowski opowiada o Szczuczynie, jakim ów Szczuczyn jeszcze nie był, „uchodził za miasto, ale nim nie był rzeczywiście, nie miał albowiem jeszcze ani wałów, ani ratusza, ani sądów, ani kolegum pijarskiego, które dopiero za czasów króla Jana III powstało...“ (s. 44); gdzieindziej, przytoczywszy pieśń „Sieczże Szwedów, siecz“, dołącza uwagę, iż „nie przewidywał nikt, że później tę samą pieśń, zmieniwszy Szwedów na Francuzów, będą śpiewały też same wojska Lubomirskiego, zbuntowane przeciw swemu prawowitemu królowi i panu“ (P. II. 278); (w P. III.) ponownie zapowiada, jaka będzie późniejsza działalność Lubomirskiego (s. 47) i t. p.

Dzięki takim uwagom ciągle obcujemy z autorem bezpośrednio, ciągle nam się autor przypomina. Ale nie tylko dzięki takim uwagom, autor bowiem często rzuca zdania od siebie w kształcie najrozmaitszym, jak „nie spodziewał się Jeremi, że te okrzyki...“ (O. I. 224), „kto wie, czy drugi Jeremi...“ (P. I. 110), „któż z ludzi doświadczonych mógł wątpić...“ (P. I. 105), „Gdyby tej szlachcie kazano...“ (P. I. 121) i t. d. i t. d.

Echem dawnej tradycji literackiej, utrzymującej się mocą nałogu, jest rozpoczynanie rozdziałów pewnemi formułkami — w tym rodzaju, jak „W chwili, gdy rozpoczyna się powieść nasza...“ (O. I. 2), albo „Aby wyjaśnić, co zaszło w Rozłogach, należy nam cofnąć się nieco w prze-

sztłość...“ (O. I. 155), albo „Co tedy działo się z panem Andrzejem?“ (P. II. 194) i t. p. Echem znów rodzaju gawędziarskiego, gdzie autor z natury rzeczy wciąż okazuje swe oblicze, z czytelnikiem rozprawia, odwoływa się na to, co powiedział, będą takie uwagi, połączenia zdań, wtręty, jak „prawdę mówiąc“ (W. 3 9), „jako się rzekło“ (O. I. 26, 198, 231, P. I. 63, W. 381), „jak wiadomo“ (O. I. 211), dodawanie do imienia osoby powieści przydawki „nasz“ (z namiestnikiem jechał „nasz znajomy“ O. I. 23, „nasz pan Jan“ O. I. 59), przyznawanie komuś racji („miał słuszość pan Jan“ (P. III. 9), „Pan Zagłoba miał słuszość“ (P. III. 20), lub zwracanie uwagi czytelnika raz jeszcze na obraz, opis, scenę“ tak to bawili się w Lubomli“ (P. I 25“), takie to było kmicicowe wojsko“ (P. I. 45) i t. d. Drobiazgi to, ale nadające dziełu barwę swoistą.

Naogół — jak widzimy — dadzą się wyróżnić wśród elementów podmiotowych w Trylogii cztery kategorie. Poza zasadniczym tonem heroicznym, o którym tu mowy nie było, żywioł subiektywny zaznacza się najwydatniej (ilościowo) w sądach o dziejowej przeszłości Polski. Apologetą jest Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem“, politykiem-moralistą w „Potopie“ i „Panu Wołodyjowskim“. Punktem wyjścia są zagadnienia dziejowe, autor przemawia do rozumu czytelnika, jakkolwiek uczucie zadrga w tych wywodach niejednokrotnie. Celem jednak głównym owych wszystkich „dygresyj“ jest obudzenie refleksji.

Uczuciowość autora objawi się silniej w innej grupie podmiotowych elementów, tam, gdzie na samego twórcę poczyna oddziaływać jego dzieło, (sytuacja, jaką kreśli), gdzie daje się porywać uczuciu dzięki temu, co kreśli. Wtedy to zjawiają się apostrofy, okrzyki boleści, grozy, pogardy. Zasadnicze źródło jest jedno — miłość ojczyzny.

Humor, jak spostrzegliśmy, humor nie ukryty w postaciach i sytuacjach, lecz objawiający się bezpośrednio, ze-

wnętrze, jest tym elementem, który w Trylogji na plan pierwszy się nie wysuwa. O ile chodzi o typ humoru, to jest to typ ten sam, co w „Panu Tadeuszu”: z przywiązania płynie pobłażanie, pobłażanie objawia się półuśmiechem. Ale z pobłażaniem można patrzeć na tych, co nie są wolni od słabostek i śmieszności, wszelako pod względem etycznym w gruncie rzeczy przedstawiają typ dodatni. I dlatego to — niezupełnie zgodnie z romansem walterskotowskim i jego potomstwem — postaci o charakterze amoralnym nie pojawiają się w aureoli światła humoru. Podobnie postaci tragiczne.

W skład elementów subiektywnych wchodzi wreszcie również te środki techniczne, które w dawnym romansie ułatwiały autorom prowadzenie akcji, informowały bowiem czytelnika, lub też — o ile przybierały zabarwienie gawędziarskie — nawiązywały nić między autorem a czytelnikiem. O stanowisku autora wobec przedmiotu nie mówią nam one jednak nic zgoła, przeto o tyle tylko zasługują na uwagę, o ile (przez nawiązywanie do techniki minionej) łączą Trylogję z formami dawnymi.

Kończąc, podkreślić należy, że rola żywiołu subiektywnego jest w Trylogji bardzo wydatna. I to może jest jednym z powodów, dlaczego Sienkiewicz tak silnie oddziałł na współczesne pokolenie i dlaczego wśród pewnych grup znalazł tak namiętnych przeciwników.

WOJSKO POLSKIE U SIENKIEWICZA¹⁾.

„Co jest narodów na świecie — mówi Maćko z Bogdańca w gospodzie tynieckiej — to u Krzyżaków służy”. A na pytanie, którzy najlepsi, odpowiada: „Jak do czego. Do kuszy najlepszy Angielczyk, którego pancerz na wylot strzałą przewdzieje, gołębia na sto kroków utrafi. Czechowie okrutnie toporami siekają. Do dwuręcznego brzeszczota nie masz nad Niemca. Szwajcar rad żelaznym cepem hełmy tłucze, ale najwięksi rycerze są ci, którzy z francuskiej ziemi pochodzą. Taki będzie ci się bił z konia i piechotą, a przytem będzie ci okrutnie waleczne słowa gadał, których wszelako nie wyrozumiesz, bo to jest mowa taka, jakobyś cynowe misy potrzasał, chociaż naród jest pobożny...”

O Czechach i Morawcach odzywa się Sienkiewicz w „Krzyżakach” raz jeszcze, tym razem od siebie, mówiąc, że lud to „dziki”, „w spotkaniu zaciekły” ze żywiołem ich jedynym grabież i rzeź. Tak charakteryzuje oddziały najemne i ochotnicze. Nie brak też w „Krzyżakach” charakterystyki litewskich wojsk witołdowych, co choć się „pod naporem rycerstwa ugną”, serca mają „chobre” i żmudzkich — w kożuchach i skórach na nagim ciele, z bronią pierwotną, bijących się kupą bezładną, ale tak sprawnie władających kiścieniami z młodych dąbczaków, że byle im się udało rozeznać szyk nieprzyjacielski, już tam żyw z rąk ich nikt nie wyjdzie.

¹⁾ Wygłoszone jako wykład w „Uniwersytecie żołnierskim” we Lwowie 8 kwietnia 1919, drukowane w „Placówce” (Lwów) z 27/IV i 4/V 1919.

Te obrazy były Sienkiewiczowi w „Krzyżakach“ potrzebne jako tło porównawcze. Boć głównie zajmuje go naród polski i wojska polskie i — krzyżackie. Są to dwa typy psychiczne sobie przeciwstawione, dwa światy. Poeta chce być bezstronnym, uwydatnić ujemne i dodatnie strony obu typów, chce być artystą przedmiotowym.

Więc Krzyżacy. Znamionuje ich pycha niepomierna. Przed wojną, nie troszczą się o wieści z Polski, bo „pewni są, iż jednym zamachem zawojują i obalą na wieki wieków całe Królestwo, tak aby ślad po niem nie został“. Ale umieją być i pokorni. Poznał ich na wylot rycerz z Taczewa i wie, że gdy Krzyżak „słodki jako miód“, to źle z nim z pewnością. „Ale niech jeno poczuje za sobą moc a nikt ci się więcej nie napuszy i u nikogo nie znajdziesz mniej zmiłowania“... „Dzierż że go za łeb i nie puszczaj, bo inaczej gorze ci!“: Zawsze zaś gotów do zdrady: „jeśli cię..... obłapi a z przodu w gębę cię całuje, to z tyłu gotów cię w tym samym czasie nożem żgnąć“... „który to obyczaj — dodaje mówiący te słowa Jędrzek z Kropiwnicy — zgoła jest świński i nam Mazurom, przeciwny“. Pokazuje też nam Sienkiewicz owoce zdrad niemieckich, ohydnych okrucieństw, wprost bestjalstwa, ale jako artysta przedmiotowy pokazuje również, z jaką pogardą śmierci biją się wojska krzyżackie, jak atakują, jak w największym niebezpieczeństwie umieją zachować spokój i zimną krew.

A jakież są wojska polskie w tej dobie jagiełłowej? — bo naród polski, szlachta, rycerstwo, to wcale w przedstawieniu Sienkiewicza nie jagnięta, tylko zdrady i okrucieństwa w nich niemasz. Otóż „zatwardziali“, jak powiada Maćko, są ci wojownicy polscy onej doby. „Którzy z dalekich krajów świeżo przyszli — przyznaje — ohotnie na nas uderzali, ale popróbawwszy raz i drugi już nie z takim sercem. Zapał odgrywa u tych rycerzy jagiełłowych ogromną rolę — pamiętamy, z jakim krzykiem rozpaczy

i z jaką furją rzuciły się setki na widok padającej chorągwi krakowskiej z Orłem w koronie. Ale „w tej rozpaczce był nie strach, ale wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze. Rzucili się jak lwy rozżarte ku miejscu najstraszniejsi mężowie z obu armij i rzekłbyś burza rozpętała się koło chorągwi... Lecz trwało krótko. Ni jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy, i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita chorągiew“...

Ale te wojska jagiełlowe umieją dokazywać cudów nietylko pod wpływem zapału. Jeśli Krzyżacy są nieustępliwi i potrafią nie dbać o życie, to cnotę tę posiadają także polscy wojownicy — siłą, wytrwałością na głód, zimno i trudy przewyższają rycerzy zakonnych, hart u nich większy, a ich „pogardę śmierci i niezmierną w boju uporczywość“ podziwiają francuscy i angielscy rycerze. Gdy pod Grunwaldem „mąż zwierzał się z mężem...“, pękały pod uderzeniem brzeszczotów i obuchów hełmy, naramienniki, pancerze, oblewało się krwią żelazo...“, Krzyżacy, acz miazdzeni w boju, nie dziwili się, bo wiedzieli, jaki to lud „nieużyty“ i „natarczywy“ ale „gości zagranicznych ogarnęło podobne do strachu zdumienie“.

Ani jednej skazy na tych wojownikach jagiełlowych: bohaterska odwaga, wytrwałość żelazna, ofiarność krwi własnej i strzeżenie rycerskiej czci. Wiemy, jak jej strzegli Zbyszko i Maćko z Bogdańca. Czy niema uczuć zawziętości, mściwości? Owszem te są. Sienkiewicz znów jest przedmiotowym. Ale czytelnik poznaje źródła tych uczuć i rozumie, że inaczej być nie mogło.

Kilka tylko wierszy poświęcił poeta w „Krzyżakach“ żołnierzom - kmieciom, ale te wystarczą, by ocenić tych krzepkich jak drwale mocarzy. Każdy z nich „stęknął“ przy rozmachu, „a potem jął walić ile mu sił i pary w piersiach starczyło“. Szli z nimi w parze pacholkiwie miejscy.

„Krzyżaków“ napisał Sienkiewicz po „Trylogji“, ale już i w „Trylogji“ dbał pilnie o przestrzeganie przedmiotowości. I jak w „Krzyżakach“ przewodnikiem był mu Długosz, tak w pierwszej części „Trylogji“, w „Ogniem i mieczem“ oparł się na kronikach, diarjuszach i pisarzach współczesnych i na „Szkicach“ Kubali, w dalszych jej częściach znów na źródłach współczesnych i na opracowaniach. Wszelako tą sferą zagadnień zajmować się tu nie będziemy, chodzi tylko o podkreślenie, że studja poczynił sumiennie, że dbał o to by móc odtworzyć prawdę.

Metodą kontrastową posłużył się i tutaj: wojskom polskim przeciwstawieni w „Ogniem i mieczem“ Kozacy, w „Potopie“ Szwedzi, w „Panu Wołodyjowskim“ Turcy. Ta metoda kontrastowa znana była w romansie od czasów Waltera Scotta. On ją wprowadził w swych słynnych dziełach: w „Waverleyu“, w „Old Mortality“, w „Rob Royu“. Za jego przykładem poszedł Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, przeciwstawiając Polakom Moskali, pokazując, że to zupełnie inny typ, inna psychika, przejawiająca się także w innych metodach walczenia. U Moskali działa sprawność maszyny, masa, u Polaków każde indywiduum jest osobną jednostką bojową, każdy myśli w danem położeniu nad sposobem przystosowania się do sytuacji i nad wytworzeniem warunków, któreby tę sytuację polepszyły. I Mickiewicz i Sienkiewicz kształcili się nietylko na W. Scocie, ale i na Homerze. Wszelako u Homera niema naprawdę przeciwstawiania Greków Trojanom, psychika dwu stron walczących jest w *Iliadzie* analogiczna. Dumas z Homerem nie wiele ma wspólnego, stoi zaś o całe niebo niżej od Waltera Scotta; jego heroizm jest melodramatyczny, jego technika migawkowa, słowem przypomina jeszcze silnie „roman d'aventures“ (romans przygód), ale za przykładem Scotta w późniejszych zwłaszcza swych romansach metodą zestawiania i przeciwstawiania umie się posłużyć. Ale Sienkie-

wicz wnosi tu nowy żywioł: u niego przyłącza się myśl, troska obywatelska, z tych jego przeciwstawień czytelnik ma wysnuć wnioski, naukę, czasem zaczerpnąć otuchy, czasem przejąć się uczuciem dumy, czasem odbyć rachunek sumienia. Wszak sam wyznał, że pisał Trylogję „dla pokrzepienia serc“.

I z tych przesłanek uczuciowych, obywatelskich wychodząc, nie odbiegając od prawdy historycznej, tak ustawiał sceny, tak inscenizował wypadki, w których głównymi aktorami są masy wojskowe, walczące po obu stronach, by czytelnik bez dalszej pomocy autora snuł tę nić, której wątek dzierży już nie fantazja, lecz rozum i uczucie patriotyczne.

Jak przedstawił w „Trylogji“ wojska wrogie? Kozacy — to w „Ogniem i mieczem“ dzicz, z wszystkimi cechami barbarzyńców. Straszną jest scena mordu Tatarczuka i Barabasza, kiedy to „kilka tysięcy ludzi rzuciło się na skazanych i darło ich w sztuki, wyjąc i walcząc z sobą o przystęp do ofiar“, kiedy nieszczęsnym „wrywano kawały ciała“, poczem „pijani rozpoczęli bójkę ze sobą“. A ślady krzywonosowej ręki?: długie szeregi „świec kozackich“ „to jest ludzi ze wzniesionemi nad głową rękoma, poprzywiązywanych do żerdzi wbitych w ziemię, obwiniętych słomą, oblaných smołą i zapalonych od dłoni“... Wszystko to z niewiaści do „Lachów“. Współczesne źródła świadczą, że przesady w obrazach tych okrucieństw niema. Ałtamani kozaccy to „ludzie prości a chytry“, pytani o radę milczą „głównie z obawy wyrwania się z głupstwem“; piją zaś jak i ich podwładni, w kłótni przyskakują sobie „z pięściami do oczu“. Ale gdy się otrąbi wyprawę, pijaństwo ustaje, „towarzystwo staje się wojskiem podległym wojskowej dyscyplinie“, w bitwie jest żołnierz zaporoski „cięty i wyćwiczony“, mistrzem zaś okazuje się w „otaborzaniu się“ z nadzwyczajną szybkością. W chwili paniki wszelako jakgdyby obłąd

ogarnia umysły tych sprawnych żołnierzy, w bitwie pod Beresteczkiem „deptano po trupach wśród ryku, zgiełku, wrzasku, jęków, łłumy... spychały się w bagna..., wyjąc do nieba o miłosierdzie...

Symbol tego ducha Kozactwa, Chmielnicki, gotów się połączyć z każdym wrogiem Polski, by móc rzezać panów i duków, ale potrafi, jak i Krzyżak, udawać pokornego, gdy trzeba, by w chwili stosownej znów rzucić na polskie wsi smolne pochodnie i znów znaczyć gościńce „kozackimi świecami“... Jeden tylko argument przemawia do tego typu: argument siły. To sąd Wiśniowieckiego i Sienkiewicza.

Inaczej przedstawiają się nam wojska szwedzkie, jak wszelkie wojska — wykładnik psyche swego narodu. Żołnierz szwedzki jest chciwy łupu, bo bogactw w swej ubogiej ojczyźnie nie widział, srogi jest wobec opornych, gdy powstają przeciw niemu ci, którzy poprzednio — według niego — uznali jego zwierzchnie prawa, ale nie jest okrutnym dla okrucieństwa. Imponuje i zwycięża męstwem i dyscypliną. Oto oglądamy „milczące czworoboki, na jedno skinięcie wodzów rozciągające się z regularnością machin w linie i półkola..., najeżone rurami muszkietów i włóczni“. „Prawdziwi“ to „ludzie wojny, zimni, spokojni, istni rzemieślnicy, którzy do mistrzostwa doszli w rzemiośle“...

Tę dyscyplinę nadzwyczajną podziwiamy także wśród nieprzeliczonych, przytłaczających mnogością zastępów sułtana. Panuje tam ład i posłuch wprost wzorowy. „Baszowie gięli się, jak trzcina pod wichrem, przed wolą sułtańską, przed nimi gięło się wojsko“...

A jakże jest w wojsku polskim? Nie jagiełłowa to już doba — upłynęły trzy wieki. W społeczeństwie rozkład zawiści wśród tych, co niem chcą przewodzić, „zamarło dobra publicznego serce“. Cnót dawnych szukać chyba tylko jeszcze w piersi szarych mas szlachty zagonowej mieszczan, i — żołnierza polskiego. Ale i masa żołnierska nie jest bez

skazy — potrafi być niekarną. „Żołnierstwo oświadczyło królewskim wodzom, że chce iść na Zbaraż i gdzieindziej bić się nie będzie, a gdy potop szwedzki zalał ziemię polską, wojska polskie wraz z hetmanami występują się obcym. Na szczęście przejrzały wczas (obałamucone wprzód jak i inne) i pożegnały protektorów szwedzkich ostrzami szablic. Na szczęście też nie wszystkie protektorom owym się wystugiwały.

Są w tem wojsku polskiem jednostki bohaterskie, święte, jakby przedstawiciele tej najpiękniejszej części żołnierstwa. Jest Skrzetuski i Wołodyjowski — postaci historyczne przecież, jest Sobieski, który jako hetman jeszcze „sam był gotów polec i mniemał, że polec to najprostszy obowiązek żołnierza, a gdy ów śmiercią swoją może znamienitą przysługę oddać, to mu śmierć jest łaską i wielką nagrodą“... Żyje też w tych wybranych sferach dyscyplina żołnierska, a gdy Stankiewicz ciska z trzaskiem dół Radziwiłła buławę pułkownikowską, boć jawnemu zdrajcy służyć nie będzie, czyni to „w uniesieniu rozpaczy“, Wołodyjowski zaś, ciskając swoją, jest „błady jak trup“.

Sienkiewicz bo dba pilnie o to, byśmy żołnierza polskiego w 17-tym wieku poznali w rozmaitych typach, w rozmaitych skupieniach, a także, jak zobaczymy, w rozmaitych położeniach. Pod tym względem w różniczkowaniu posuwa się dalej, niż wszyscy jego poprzednicy. W. Scott, któremu wiele zawdzięcza, rozróżniał stale dwa tylko typy: wojsk królewskich i przedziwnie zbrojnych, ale desperackich w męstwie insurgentów; Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ dał obraz walczącej szlachty zaściankowej (więc jakby dawnego pospolitego ruszenia), ale wojsko regularne pokazał nam tylko przy wkroczeniu na Litwę (jakby z oddali, uderzając przytem w ton liryzmu) i podczas uczt w Soplicowie. Czasy, w których się akcja odbywa i zamiar twórczy poety, t. j. chęć pokazania tła dziejowego w perspektywie

z przybliżeniem tylko pod koniec poematu tego tła, ale nie w ten sposób, by tłem ono być przestało, te względy nie dozwoliły Mickiewiczowi odtworzyć mas żołnierskich w zróżniczkowaniu i w rozmaitych sytuacjach bojowych. Z tych, na których W. Scott oddziałał bezpośrednio, u nas w Polsce Rzewuski i Kaczkowski nie przekroczyli ram zakreślonych przez mistrza, dając tylko dwa typy polskiego żołnierza: wojsk regularnych i ochotniczych (Rzewuski konfederatów barskich w „Listopadzie“, oddziałów partyzanckich w „Rycerzu Lizdejce“, Kaczkowski: konfederatów — w szeregu powieści) jak to przed nimi już, również pod wpływem Scotta czynił z powodzeniem Michał Czajkowski („Wernyhora“ i inne romanse).

Dumas, który zresztą w skromnej tylko mierze oddziałał na Sienkiewicza, zaciekał czytelnika więcej sytuacjami niż typami skupień.

U Sienkiewicza, jak wspomnieliśmy, zróżniczkowanie tych typów jest znaczne, takie jak je zrodziła epoka dziejowa, przyczem jednak poeta dba nie tylko o wydobycie artystycznej barwności, ale również — jak już wspomnieliśmy — o podsuniecie czytelnikowi materiału myślowego, o zmuszenie do snucia wniosków.

Odróżnia więc wyraźnie pospolite ruszenie od wojska regularnego, ale i pospolite ruszenie z ziem kresowych jest inne, aniżeli z tych części Polski, które od dawna wojny nie zaznały. Ostatnie oglądamy choćby pod Ujściem. Jest to „obóz bezładny, do zbiegowiska jarmarcznego podobny, hałaśliwy, pełen dysput, rozpraw nad rozporządzeniami wódzów i niezadowolenia“... Naturalnie tacy przed nieprzyjacielem pierzchną. Ale pospolitacy kresowi mogą stanąć nawet obok regularnego żołnierza, bo oni wiedzą, że bitew nie wygrywa się dysputami, ani rozprawami nad rozporządzeniami wódzów, oni też obok wojsk regularnych dźwigają na swych barkach obronę Rzeczypospolitej.

Także dając nam obrazy z życia wojsk stałych i od-
tworząc ducha tych wojsk, z miłością, z podziwem obejmuje
wzrokiem rycerstwo kresowe. Cóż za niestłuchana karność
panuje na Zadnieprzu u księcia Jeremiego w Łubniach, jaka
karność na stancy kresowej u Wołodyjowskiego, jakie tu
i tam ćwiczenie rycerskie, jaka gotowość na śmierć. A for-
teca kresowa — Kudak i czuwający w niej „cyklop“ Gro-
dzicki, przenoszący swą placówkę nad pokoje królewskie.
Gdy podjazdy kozackie nocą, podstępnie posuwają się pod
zamek, nagle błyskawica na wałach rozdziera ciemności
i huk straszliwy wstrząsa skałami Dniepru. „Posępny cy-
klop“ daje znać, że strzeże bram Rzeczypospolitej. „Pies
jednooki — mruczy Chmielnicki — widzi w nocy“...

Tak, kresowi rycerze u Sienkiewicza widzą i w nocy...

Kresowym rycerzem jest również Kmicic. Ale to już
typ inny. Jego wataha „uspakajająca“ niewinnych „tycz-
ków“, jego kompanja złożona z warcholów, wywołańców,
choć ludzi dzielnych, to te samozwańcze oddziały żołnier-
skie, które walcząc z nieprzyjacielem i doprowadzając go
nawet do rozpacz, więcej przecież szkody niż pożytku
przynosiły Polsce, bo i swoim były przyciężkie i narażały
na szwank imię żołnierza polskiego. Nie lepsi są zapewne
jego późniejsi „wolentarze“, „duchy burzliwe i niespokojne,
które pod innym wodzem zmieniłyby się w kupy drapieżni-
ków“... Bo byli i tacy, więc artysta przedmiotowy nie mógł
ich w ogólnym obrazie oddziałów zbrojnych pominąć, jak
nie pominął artysta mający szlachetną tendencję na oku
straszliwych „partyj“ szlacheckich i chłopskich, bohaterskich
górali, co z ciupagami poszli na Kraków, bohaterskiej cze-
ladzi, co z niestłuchaną brawurą rzuciła się do odbicia uko-
chanej, zajętej przez obce wojska stolicy.

Nie pominął i tych emulacyj pomiędzy poszczególnymi
formacjami zbrojnymi, ośmieszając one emulacje przez użycie
łagodnej ironji.

Że żołnierz polski był niesłychanie sprawny na broń białą — toć rzecz znana. Sienkiewicz z lubością, z mistrzostwem nadzwyczajnem kreśli te pojedynkowe zapasy, podejmując technikę homerową, ale w atakach mas, w niebywale plastycznym przedstawieniu tych ataków nie ma godnego siebie poprzednika. W szczególności o ile chodzi o żywą wizję, czem była jazda polska, husarja, czem jej natarcie, to naprawdę objawił nam dopiero Sienkiewicz. Czasem to opis wprost, czasem relacja.

Dość przypomnieć opowiadanie Wołodyjowskiego o tem, na co patrzył pod Warszawą.

„Poszła do ataku litewska husarja, w której i Roch służył pod Połubińskim, żołnierzem wielkim. Widziałem ich gdy szli, jako ciebie widzę, bo stałem z laudańskimi na wyżynie pod szaniami. Było ich tysiąc dwieście ludzi i koni, jakich świat nie widział. Szli na pół stają wedle nas i mówię ci, ziemia drżała pod nimi. Widzieliśmy piechotę brandeburską, na gwałt zatykającą piki w ziemię, aby pierwszemu impetowi się oprzeć. Inni walili z muszkietów, aż dymy zasłoniły ich zupełnie. Spojrzymy: Husarja już rozpuściła konie. Boże, co za impet! Wpadli w dym... znikli! U mnie żołnierze poczną krzyczeć! „Złamią! złamią!“ Przez chwilę nie widać nic. Aż zagrzmiało coś i dźwięk się uczynił, jakby w tysiącu kuźni kowale młotami bili. Spojrzymy: Jezus, Marja! Elektorscy mostem już leżą, jako żyto, przez które burza przejdzie, a oni już hen za nimi! Jeno proporce migocą! Idą na Szwedów! Uderzyli o rajtarję — rajtarja mostem! Uderzyli na drugi regiment — mostem! Tu huk, armaty grzmia... widzimy ich, gdy wiatr dym zwieje. Łamią piechotę szwedzką... Wszystko pierzcha, wszystko się wali, rozstępuje, idą jakgdyby ulicą... Bez mała przez całą armję już przeszli!... Zderzą się z pułkiem konnej gwardji, wśród którego Carolus stoi... i gwardję jakoby wicher rozegnał...

Tu przerwał Wołodyjowski opowiadanie, bo Kmicic pięściami oczy zatkał i krzycheć począł:

— „Matko Boża! Raz widzieć i polec!”

I czytelnikowi te same słowa wymykają się z ust.

Ale wogóle z „Trylogji” poznajemy wszystkie sposoby walki żołnierza polskiego tych czasów, jego trud i móżół, jego pomysłowość i niezmężoność, cały blask jego bohaterstwa.

Zaznajamiamy się w szczegółach z przedziwną legendową partyzantką Czarnieckiego, z jego błyskawicznymi pochodami, kiedy to żołnierzyki jego „szli nie jak ludzie, ale jak stado ptaków drapieżnych, które zwietrzywszy bój w oddali, lecą z wichrem na prześcig,” i ze słynną walką podjazdową kresowego rycerza Wołodyjowskiego, z jego sposobami wprowadzania nieprzyjaciela w zasadzkę, i z pochodami na pana Ruszczyca i z przeprawą żołnierską „przez błotniska i moczary „o chłodzie, wodzie i głodzie“ „ale bez słowa szemrania, „choć trud był prawie nad siły,” choć koniom róg poślaził z „kopyt, choć piechota sama ciągnąć musiała działa...”

Raz tylko pokazał nam poeta żołnierzy bawiących się, ale zato jak! Zda się, że stanica kresowa się zawali — huk straszliwy wystrzałów głuszy wszystko, szyby drżą, ściany się trzęsą od krzesania podkówkami, lecą wióry z podłogi, co chwila rozlegają się gromkie okrzyki, tak gromkie, że aż zwierz w przyległych puszczech kryje się ze strachu w gąszczu, a Zagłoba musi uspokajać dwu przełęcznionych Anardzatów po łacinie „Apud Polonos numquam sine clamore et strepitu gaudia fiunt”.

Tak się wyładowuje fantazja polskiego żołnierza, jego temperament niezmiernie bujny; a że te tańce odbywają się w wigilję wojny z całą potęgą turecką, więc tak się objawia również — jego pogarda śmierci.

Żołnierzy bawiących się pokazał nam Sienkiewicz raz tylko, za to trzy razy żołnierzy polskich jako obrońców w oblężonej twierdzy: w Zbarażu, Częstochowie i Kamieńcu Podolskim.

Zdobywanie twierdzy i obrona to ulubiony motyw bohaterskiego eposu i romansu historycznego. Niezrównany wzór mieli twórcy wszystkich narodów w obrazach obrony oblężonej Troi w *Iljadzie*. Do Homera na naukę poszedł Wergiljusz, kiedy opisywał atak Turnusa na muzy i walki pod murami miasta, w ślady obu wstąpił Tasso, kreśląc czyny wojsk godfredowych pod murami Jerozolimy. Tasso wywołał mnóstwo naśladowców. Na jego wzór pisał u nas — obok innych — Kochowski swe „*Dzieło boskie albo pieśni Wiednia wybawionego*“ a nieznany autor z XVII wieku olbrzymi poemat w 12.000 wierszy, niewydany dotychczas p. t. „*Oblężenie Jasnej góry*“, z całym aparatem tassowym, z wizjami, cudami i czarami. Żywiół cudownościowo-fantastyczny odrzucił w swych opisach oblężenia dopiero W. Scott i od niego to poczynawszy, romans historyczny wyzywa się nadzwyczajności, natomiast wyolbrzymia czyny bohaterów, tworzy postaci nadludzkie niemal, o siłach gigantycznych, o mocy niespożytej. U Sienkiewicza widoczny jest w omawianym zakresie wpływ lektury Homera, W. Scotta, ale najwidoczniejszy jest wpływ źródeł dziejowych, w szczególności w opisie oblężenia Zbaraża wpływ pilnego studjum Księgi pamiętniczej Jakóba Michałowskiego, a w opisie obrony Częstochowy — księdza Kordeckiego *Gigantomachji*. Oczywiście nie jest to niewolnicze kopjowanie — przeciwnie, poeta dotwarza pewne obrazy, sceny, których we wspomnianych źródłach brak, jak np. heroiczne czyny Podbiپیęty lub Kmicica, ale wogóle tok wypadków odtworzony jest wiernie, charakter walk zachowany, wściekłość ataków i bohaterstwo obrony odpowiada temu, co było naprawdę. I znów nie dla samej rozkoszy artystycznej tworzenia, ale i na

naukę potomnym. I widzimy pod Zbarażem jak granaty kreśląc łuki ogniste po niebie lecą z chichotem piekielnym, jak piechota polska leje wprost w twarze i piersi Kozaków płomień i ołów, jak szeregi kozackie choć klute, rąbane, drą się na wały, jak przychodzi do walki na białą broń, jak twarze są nieprzytomne z wściekłości, jak żywi walczą na drgającej masie pobitych i konających, jak już nie słychać komendy, jeno krzyk ogólny, straszny, w którym ginie wszystko: i grzechot strzelb i charczenie rannych i jęki i syk granatów. I widzimy, jak ta garstka obrońców trawionych głodem, z wypiekami na twarzy, ocala polski gród, tak, że Skrzetuski może z błyskawicą w oczach powiedzieć królowi: „dwadzieścia szturmów odpartych, szesnaście bitew w polu wygranych, siedmdziesiąt pięć wycieczek...”

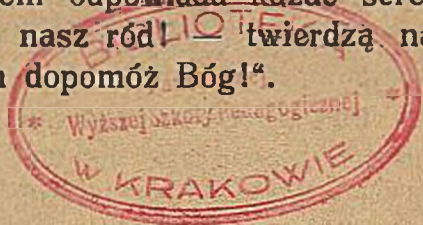
I widzimy jak broni się Częstochowa, znów garstka przeciw tysiącom, choć nieprzyjaciel nie przebiera w środkach walki, bo i wieści zatrważające rozsiewa, jak zasypuje ogniem budynki klasztorne, jak wznieca pożary, wywołując tem tylko opór silniejszy, jakby huk, fale ognia i żelaza miały własność podsycania zapалу. I widzimy kobiety „z rozpuszczonymi włosami, z rozpaloną twarzą,” dające przykład odwagi, a obok nich na wałach młodzieniaszków i dzieci...

I staje się cud: obleżona Częstochowa wyrывa z martwoty całą Polskę, jednoczy ją i objawia światu w nowej postaci — potęgi mocy. Bo „jako gdy wspaniały lew, który przed chwilą przeszyty pociskami leżał jak martwy podniesie się nagle, a wstrząsnawszy królewską grzywą ryknie potężnie, wnet myśliwców przejmuje strach błądy i nogi ich zwracają się ku ucieczce, tak owa Rzeczpospolita powstawała coraz groźniejsza, jowiszowego gniewu pełna, światu całemu stawić czoło gotowa: w kości zaś napastników zstąpiła niemoc i strach. Nie o zdobyczy już myśleli, ale o tem jeno, by z lwiej paszczęki głowy całe do domowych pieleszy unieść...”

Blisko lat trzysta mija od tej chwili, a oto znów Rzeczpospolita Polska znalazła się w podobnem położeniu¹⁾.

I znów palą się wszystkie jej ściany, znów lecą z piekielnym chichotem granaty, znów krwawi się dostojna pierś polskiego żołnierza-obrońcy... I znów po latach trzystu blisko wyrosła nowa Częstochowa — Lwów bohaterski, bo jemu to, miastu naszemu, przypadła podobna rola, jak jasnogórskiej twierdzy i on ma z martwych obudzić uśpione siły Polski, zjednoczyć ją, by okazała wrogom i światu czym jest, jakie w niej moce ukryte.

I znów żołnierzowi polskiemu przypadło to święte, zaszczytne zadanie, co pod Zbarażem i Częstochową, trwać i wytrwać „do krwi ostatniej kropli z żył“ w myśl hasła na które głośnem biciem odpowiada każde serce polskie: „Nie damy ziemi skąd nasz ród! — twierdzą nam będzie każdy próg — tak nam dopomóż Bóg!“.



Wypożyczalnia Książek
Lwów, ul. Webernów (Gulorego 7)

¹⁾ Ustęp niniejszy (aż do końca, jak i cały artykuł) pisany w marcu 1919 r., w czasie bombardowania Lwowa. (Przyp. wydawców).

TREŚĆ.

	Strona
SŁOWO WSTĘPNE	III—VII
HENRYK SIENKIEWICZ	1—117
I. Pokolenie po r. 1863. — Młodość Sienkiewicza. — Nowele. — Postaci w nowelach, dola ich. — Tło czasu. — Tendencja. — Krzywdy ludzka. — Uczucie miłości. — Miłość ziemi. — Żywioł rycerski. — Realizm. — Rodzaje wzruszeń. — Humor. — Ironja. — Przedmiotowość. — Obrazy przyrody. — Niewola tatarska. — Zapowiedź Trylogji	1
II. Trylogja. — Dlaczego Sienkiewicz obrał wiek XVII? — Prawda i zmyślenie w Trylogji. — Sądy o czasach i o ludziach. — Intryga w powieści w Trylogji. — Wprowadzenie w tok opowiadania. — Grupowanie postaci. — Wprowadzenie nowej postaci. — Sposób charakteryzowania osób. — Plastyka figur. — Sceny zbiorowe. — Postaci humorystyczne. — Kult siły. — Obrazy bitew. — Środki wzruszeń (trwoga o los bohatera, nagle niebezpieczeństwo, nagle ocalenie. — Przedmiot wzruszeń (bohaterstwo, klęski i triumfy, miłość). — Znaczenie scen humorystycznych. — Oddanie ducha wieku. — Przedmiotowość. — Znaczenie Trylogji dla Polski	27
III. Ta trzecia. — Bez dogmatu. — Brak wiary, brak woli. — Płoszowski odbiciem „schyłkowców“. — Wpływ powieści. — Rodzina Połanieckich. — Typ powieści. — Bohater powieści jako przeciwieństwo Płoszowskiego. — Powrót na rolę jako teza. — Inne postaci. — Walka z kłamstwem. — Realizm.	67
IV. Quo vadis. — Co łączy powieść z Trylogją. — Mistrzostwo w kreśleniu charakterów. — Świat pogański. Nero, Petronjusz, Chilo Chilonides. — Przemiana Winicjusza. — Sceny zbiorowe. — Świat chrześcijański. Apostołowie, Ligja, Ursus, Kryspus. — Sceny zbiorowe z życia chrześcijan. — Życie Rzymu starożytnego. — Plastyka. — Myśl przewodnia powieści	78

- V. Krzyżacy. — Pęd do mocy. — Sposoby kreślenia postaci. — Miłość rodu, żądza ziemi, poszanowanie czci rycerskiej. — Rozmaitość postaci. — Postaci humorystyczne. — Obrazy rodzajowe. — Wyobrażenia religijne. — Wzruszenia wywołane obrazami śmierci. — Obraz życia XV. wieku. — Wzmianka o innych powieściach. — W pustyni i w puszczy. — Wychowawcza wartość powieści. — Listy 97
- VI. Właściwości talentu twórczego. — Podstawą twórczości rzeczywistość. — Obserwacja. — Dopełnianie rysów. — Postaci stworzone mocą wyobraźni. — Talent epiczny. — Obrazy malarskie. — Stanowisko autora. — Wyolbrzymianie postaci. — Uczuciowość. — Szczęście i cierpienie jako przedmiot wzruszeń. — Przedmiotowość. — Wpływ Sienkiewicza. — Znaczenie jego narodowe . . . 112
- PROTOPLASTA ZAGŁOBY 118—126
- ŻYWIOŁ SUBJEKTYWNY W TRYLOGII SIENKIEWICZA . 127—142
- WOJSKO POLSKIE U SIENKIEWICZA 143—156

2876

Wypłata książek

Lwów, ul. Weimarska (Luborskiego 7)

TEGOŻ AUTORA:

WYPISY POLSKIE

na klasę IV szkół średnich (wspólnie z Franciszkiem Próchnikiem). Wyd. VII.
Książnica-Atlas.

WYPISY POLSKIE

na klasę V szkół średnich. Wydanie III. (Wypisów polskich K. Wojciechowskiego
i Fr. Próchnickiego Wydanie VIII). Książnica-Atlas.

WYPISY POLSKIE

na klasę VI szkół średnich (wspólnie z Ign. Chrzanowskim). Wydanie V.
Książnica-Atlas.

WIELCY PISARZE POLSCY

Wypisy na VII klasę szkół powszechnych. Wydanie II. Książnica-Atlas.

JĘZYK POLSKI

Wskazówki metodyczne do nauczania języka polskiego w gimnazjum, wspólnie
z St. Szoberem i Bogdanem Nawroczyńskim. Skład główny: Książnica-Atlas.

IGNACY KRASICKI

Wydanie II, zmienione i uzupełnione, Lwów 1922, nakładem Zakładu Narod.
im. Ossolińskich.

BOLESŁAW PRUS

Wydanie II, z Słowem wstępnym Józefa Kallenbacha. (W druku).

